

1

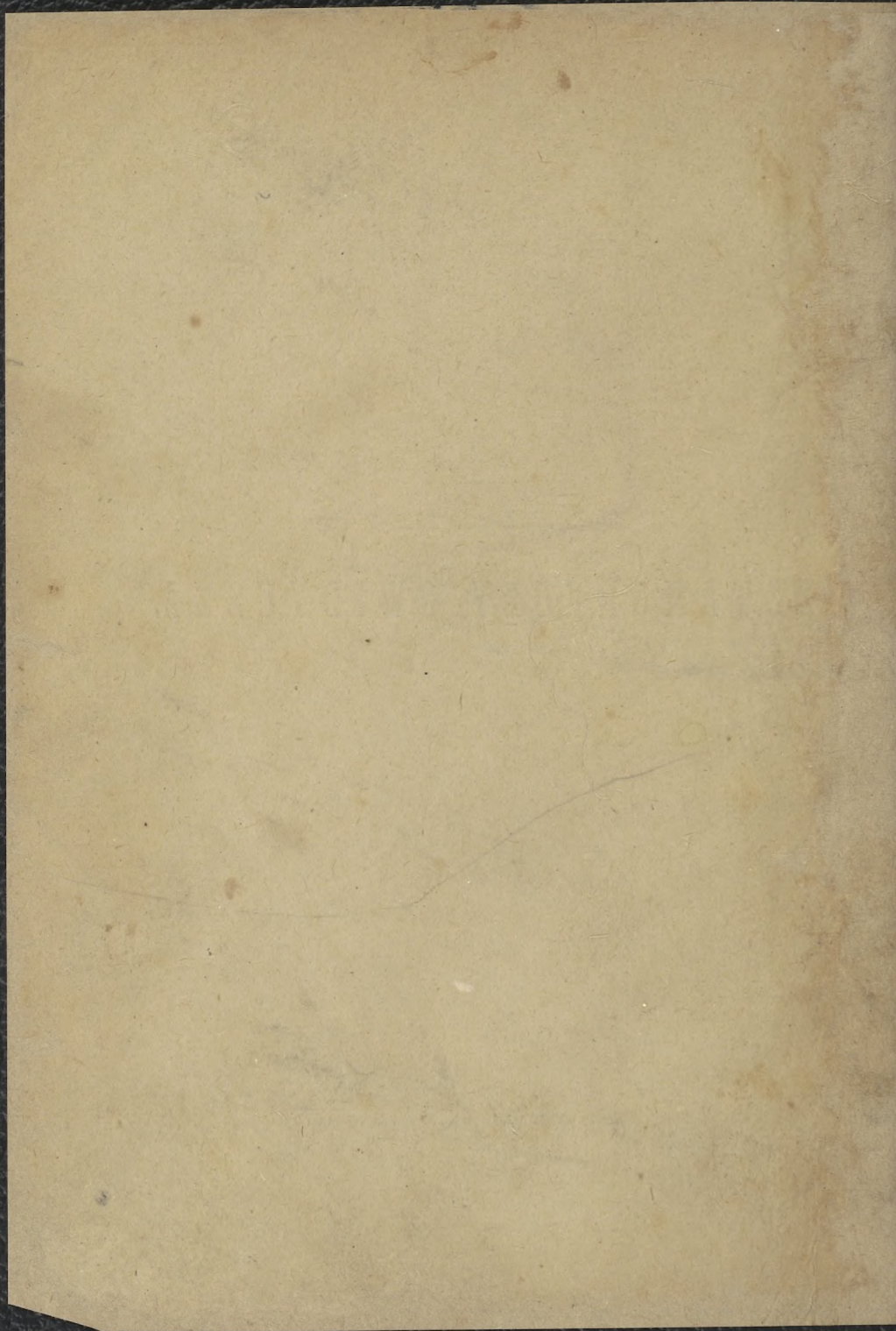
CZEŚĆ II.

TOM III-ci i IV-ty

METAMORFOZY OWIDYUSZA.

---

UWAGA. Niniejszą kartkę wkleić należy po karcie tytułowej tomu trzeciego.



1.571.393

48.13

KSAWERY de MONTEPIN.

# PODPALACZKA

POWIEŚĆ W SZĘŚCIU TOMACH.

PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO

W. J.

964

KSIEGARNIA  
MATEJEWICZ  
w Pułtusk.



TOM III-ci.

KSIEGARNIA  
S. B. ...  
w Pułtusk.

WARSZAWA.

Nakładem Księgarni H. Olawskiego.

1891.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 15 Октября 1890 года.



1.541.393

1992/11/346

Druk Jana Cotty, w Warszawie, Senatorska 29.



## TOM TRZECI.

### I.

Kareta wioząca ze stacyi milionera wraz z córką, przybyła na ulicę Murillo w południowej godzinie. Mniemany Paweł Harmant wszedł do gabinetu, ażeby tam zmienić podróżne swoje ubranie, zejść następnie na obiad.

Maryja znajdowała się w doskonałym usposobieniu. Wesołość dziewczęcia i jej pochlebne pieszczoty wywoływały uśmiech na usta przemysłowca.

— Czy widziałas się z Jerzym Darier? — zapytał nagle podczas rozmowy.

— Raz jeden.

— Cóż on chciał?

— Pomówię jutro ojcu z tobą o przyczynie jego wizyty.

— Dlaczego nie teraz?

— Ponieważ owładnięta radością widzenia ciebie, nie chcę przerywać jej rozmową o interesach. Bardzo wczesnie jutro wychodzisz? — pytała.

— O! wczesnie! Po trzytygodniowej niebytności potrzebuję przekonać się jak daleko postąpiły roboty w budowlach fabryki. Odebrałem listy od architekta w których donosił mi że wszystko dobrze idzie; obiecuje mi on wykończyć

budynki w ciągu tego miesiąca, nic jednak zastąpić nie jest w stanie własnego mego nadzoru.

— A o której godzinie wyjedziesz jutro z rana?

— Dlaczego pytasz mnie o to?

— Ponieważ chcę wiedzieć — odparła Marya z żartobliwym uśmiechem.

— Oznajmiłem budowniczemu, że przybędę w południe.

— Zatem, nie wyjedziesz ztąd przed jedenastą godziną?

— Mylisz się me dziecko — rzekł Harmant — przed udaniem się do Courbevoi, mam ważne interesa do załatwienia.

— O której więc przyjdiesz na śniadanie?

— Śniadanie w mieście spożyję.

— Nie... ty nie zasmucisz mnie ojczy — mówiła z przymleniem, nie zasmucisz o tyle, bym w pierwszym dniu po twym powrocie miała być osamotnioną. Odłożysz swe interesa na po południu. Siądziemy do stołu jak zwykle o dziesiątej a potem wyjedziesz. Wszak prawda, że zrobisz o co proszę?

— Mógłbyś mi odmówić w czemkolwiek? — odrzekł tajemny Paweł Harmant, okrywając córkę pocałunkami — lecz powiedz mi — dodał — z kąd i dlaczego ów kaprys z tw strony?

— To tajemnica.

— Nie mógłbyś poznać jej teraz?

— Nie! jutro o niej się dowiesz.

— Lecz proszę.

— Mówmy o czem innem — wyrzekła Marya niecierpliwie; — jesteś zadowolony ojczy ze swej podróży?

— W zupełności. Mam kilka ważnych obśtalunków do wykonania w . bryce. Potrzeba mi będzie jednocześnie wynaleść zdolnych rysowników.

Dziewczę z uwagą nasłuchiwać poczęło.

— Nie czekając na wykończenie budowy — mówił przemyślnie dalej — urządzę tymczasową pracownię rysankową, tu obok mego mieszkania, na piętrze, w pobliżu biblioteki, tym sposobem będę miał pod ręką pracowników.

4

— Otrzymałeś ojciec zapewne liczne prośby o miejsca w fabryce?

— Bardzo liczne... Sam je osobiście rozdzielię, przekonując się co do wiarygodności dowodów.

— Nie podobna ci jednak będzie dozorować mularzów i rysowników a jednocześnie być w Paryżu i Courbevoie.

— Ma się rozumieć — odrzekł milioner z uśmiechem — nie posiadam daru wszędobytności. Oprócz nadzorców będę potrzebował jakiego młodego człowieka, poważnego, inteligentnego i biegłego w mechanice, któremu mógłbym powierzyć kierunek robót i zastąpienie mnie samego w nadzorze.

— Co znaczy drugiego ciebie nieprawdaż?

— Tak.

— Miałebyś kogoś już na widoku? — badała dalej.

— Dotąd nikogo jeszcze, a wybór będzie trudny ponieważ tu chodzi o osobistość godną zupełnego zaufania. Poszukawszy dobrze jednakże...

— Znajdziesz... jestem pewna.

— A być może masz/ jakiegoś protegowanego? — pytał ją się Harmant.

— Być może — odparło dziewczę filuternie. — Lecz jesteś zmęczonym mój ojciec — dodała po chwili — idź, spocznij, a jutro dłużej porozmawiamy.

Tu ojciec z córką rozeszli się, on z zaciekawionym dwuznacznymi półsłówkami dziewczyny, ona zadowolona, iż co do miejsca upragnionego przez Lucyana Labroue, nie nastąpiła dotąd żadna jeszcze decyzja ze strony właściciela fabryki.

. . . . .

Lucyan po ostatniej bytności w pałacu przy ulicy Murillał się do Jerzego Darier, aby mu zakomunikować szcze- widzenia się z Maryą.

— Ach! — zawołał młody adwokat, wysłuchawszy go agą — jeżeli przed tem lękał się o rezultat, nie wątpię

o nim teraz. Co kobieta chce, Bóg chce! Posada dyrektora robót jest ci zapewnioną.

Wróciwszy do siebie syn inżyniera, opowiedział Łucyi wszystko szczegółowo.

— Nie omyliłam się więc co do panny Harmant — zawołała dziewczę, rozpromienione radością; jest to anioł dobroci, co obiecała, dotrzyma.

Nazajutrz, o wczesnej, rannej godzinie Paweł Harmant siedząc przed biurkiem w swej bibliotece, porządkował papiery i rozdzielał korespondencje. Pomiedzy przesyłkami nadeszłymi w czasie jego nieobecności, znajdował się list z marką Stanów Zjednoczonych. Otworzył go z niepokojem, poznawszy na kopercie pismo Owidyusza Soliveau.

List zawierał kilka następujących wierszy:

„Kochany Kuzynie!

Od chwili twego wyjazdu walczę z ciękami przeciwnościami, los jak gdyby zawział się na mnie. Interesa tyle głośnych zakładów Jan Mortimer ispółka, zmniejszają się z dniem każdym. Twój wyjazd zadał cios straszny fabryce, i j potrwą tak dłużej grozi mi to zupełną ruiną. Żałuję, żem wyjechał wraz z tobą do Francyi, choćby ze względów finansowych, pominawszy łączące nas związki pokrewieństwa. Z dniem każdym uczuвам coraz więcej, iż niepodobna mi żyć zdala od ciebie. Zatem, kto wie? być może iż zobaczymy się rychlej niż sądzisz. Twój na zawsze drogi mój Pawle całkiem tobie oddany.

Owidyusz Soliveau.“

Przeczytawszy ów list, Jakób Garaud zbladł nag i zmiął go gniewnie w swych palcach.

— A więc — wyszepnął głosem jaki świszcząc wydził mu przez zaciśnięte zęby, a więc ów nędznik chce do wadzić do ruiny i tę nową moją fabrykę podobną do tamtej



ką mi wydarł. Dom Mortimer i współka chwieje się... to widoczne. Owidyusz dąży do bankructwa!.. Ależ w tak prędkim czasie, jakim sposobem, dlaczego? Ha! namiętność jego do gry wyjaśnia mi wszystko! Głupiec ten przegrywa i traci. Karty w jego ręku skruszyłyby w proch królewską fortunę. Wkrótce zostanie nędzarzem, jak wprzód... Fabrykę Jana Mortimera jeden z najpotężniejszych zakładów w Stanach Zjednoczonych, stopił na zielonym stoliku! I w chwili gdy mi się być sądził na zawsze zwolnionym od tego łotra, on mi zagroził przybyciem. Pisząc: *Być może zobaczymy się rychlej niż sądzisz*. Rzecz jasna... Jeśli to mówi, katastrofa jest bliską! W kilka miesięcy przepuścił milion! Ach! gdybyż sobie w łeb palnął przed przybyciem do Francji, lub gdyby który z Yankesów kulą roztrzaskał mu czaszkę. Lecz nie... to nie nastąpi... zły los ścigać mnie poczyna. Przyjedzie, aby mi na nowo stawiał bezwstydną swe propozycje!

Tu mniemany Harmant rzucił w ogień list Owidyusza i zabrał się do pracy, ponure myśli jednakże oblegały mu umysł.

Marya w dniu tym zarówno wcześniej powstała, ubrawszy się z pośpiechem, zadzwoniła na kamerdynera.

— Osobę, która była tu wczoraj z listem od pana Darrier — rzekła do służącego, stojącego u drzwi z poszanowaniem — a która dziś przyjdzie, aby się widzieć z mym ojcem, wprowadzisz do małego salonu, gdzie oczekiwać będę.

— Dobrze pani.

— Powiadom o tem odźwiernego.

— Natychmiast.

Z uderzeniem dziewiętej córka Pawła Harmant udała się do salonu.

Pół godziny upłynęło a protegowany się nie ukazywał. Maryę niecierpliwić to zaczęło. Zamiast usiąść przed ogniem kominka, jak to zwykle czyniła, stanęła w oknie, wychodzącym na dziedziniec, z kąd widać było sztachety, otaczające pałac, jego drzwi i ulicę. Czowała jak gdyby całe wieki dzieliły ją

od chwili, gdy te drzwi otwarłszy się dadzą przejście Lucyanowi Labroue.

Zdawałaż ona sobie sprawę z tego uczucia jakie rodzić się zaczęło w jej sercu? Nie wiemy. Starania jednak szczególniej łożone przez nią w dniu dzisiejszym około ubrania, niecierpliwość w oczekiwaniu, nie pozwalają nam temu zaprzeczyć.

## II.

O kwadrans na dziesiątą zadźwięczał dzwonek przy kratkach pałacu i Marya ukryta po za koronkową firanką, ujrzała Lucyana wchodzącego w dziedziniec. Jednocześnie drugi dzwonek poruszony ręką odźwiernego, oznajmił przybycie odwiedzającego i kamerdyner Teodor ukazał się na wschodach by go przeprowadzić.

Marya przyłożyła rękę do serca, ku któremu uczuła nabeigający gwałtowny napływ krwi, a razem silny kaszel począł rozrywać jej piersi. Zmuszoną była usiąść, aby pochwycić oddech.

Dwie minuty upłynęły, po których Lucyan ukazał się we drzwiach salonu.

Marya z wysileniem postąpiła ku niemu.

— Mój ojciec powrócił, panie Labroue — poczęła drżącym, przytłumionym głosem — mogę pójść z panem zaraz do niego.

— Czy pani mówiłaś mu już coś o mnie — zapytał Lucyan.

— Nie... dotąd nic jeszcze. Przekonałam się tylko, iż nie przyrzekł nikomu jeszcze tego miejsca o jakie pan się starasz. Chcę działać w pańskiej obecności — dodała — i oto chwila w której nam szturm przypuścić należy.

— Nie wyobrazisz pani sobie jak jestem zaniepokojony — rzekł Labroue, przykładając rękę do czoła.

6  
— Czyżbyś się pan obawiał?

— Tak.

— Ależ czego?

— Iż to może się nie udać... Ach! racz pani wspomnieć, że cała ma przyszłość na los rzuconą zostaje.

— Uspokój się pan — mówiła Marya z uśmiechem — masz we mnie wiernego sprzymierzeńca i za skutek dobry poręczam.

Przy tych słowach podała mu drobną swą rękę, która w jego dłoni zdrząła.

— Pójdźmy — ozwała się — bądź pan spokojnym, licz na mnie.

To mówiąc, wyszła z salonu, prowadząc za sobą młodzieńca w stronę pokoju, przytykającego do biblioteki.

— Zaczekaj pan tu chwilkę — wyrzekła — i miej w pogotowiu list od pana Darier.

Drżenie nerwowe opanowało Lucyana.

Dziewczę puknęło z lekka do drzwi biblioteki, a następnie tam weszło.

Przemysłowiec jak wiemy, zajęty porządkowaniem na biurku papierów, zwrócił się w tą stronę.

— Ach! to ty drogie dziecko — zawołał — cóżeś tak rano dziś wstała?

— Rano... mówisz ojczy? czyliż podobna spać o wpół do dziesiątej...

— Już wpół do dziesiątej?

— Jeżeli nie dziesiąta — mówiła z uśmiechem.

— Przyszłaś zapewne wezwać mnie na śniadanie? — pytał Harmant.

— Nie; siądziemy doń dzisiaj po dziesiątej, przyszłam ażeby pomówić z tobą ojczy o interesach.

— O interesach? mówisz to tak poważnie... Być może potrzebujesz pieniędzy na sprawunki dla siebie, mów, a natychmiast ci je wyliczę.

— Nie potrzebuję pieniędzy.

— A więc — rzekł żartobliwie milioner — chodzi tu zapewne o ową tajemnicę, jakiej nie chciałaś mi wczoraj wyjawić.

— Tak właśnie?

— Mów zatem, słuchać cię jestem gotów.

Maryja usiadła obok ojca.

— Wyobraź sobie... — poczęła — że przyszedł mi pewien kaprys... zachcenie.

— O! ty niewiesz je często, lube, rozpieszczone dziecię.

— Tak... lecz ten, nie jest podobnym do innych. Przyrzecz mi naprzód, mój ojcze, że uczynisz o co prosić cię będę.

— Wiesz dobrze, że jeżeli tylko rzecz jest możebną do wykonania, zadość uczynię twemu żądaniu. Czyliż ci kiedy w czem odmówilem?

— To prawda. Otóż więc przyszedł mi kaprys, fantazyja, ażeby pierwszy z oficjalistów, jakiego przyjmiesz do swej fabryki, został ci przedstawionym przezemnie.

— To znaczy — rzekł uśmiechając się Harmant — że wzięłaś kogoś pod swoją wysoką protekcję i pragniesz mi go przedstawić?

— Doskonale ojcze odgadłeś... tak... w samej rzeczy. Wspomniałeś mi, że wkrótce potrzebować będziesz dyrektora do robot w fabryce — mówiła dalej — kierownika do rysunkowych warsztatów jakie chcesz tu w mieszkaniu tymczasowo utworzyć. Potrzeba ci będzie do tej czynności naukowego, inteligentnego i praktycznego człowieka, na którym mógłbyś się oprzeć z całym zaufaniem... Mówiłeś to, nieprawdaż?

— Tak i powtarzam obecnie. Miałabyś wypadkiem odnaleźć podobnego feniksa?

— Odnalazłam go! — zawołała dziewczę — a sądzę, iż możesz ojcze w tym razie poprzestać na mojej i pana Darier rekomendacyi.

— A! zatem i adwokat popiera zarówno twego protegowanego.

— Tak, mnie on polecił wniesienie przed twój wyrok tej sprawy i wygranie jej. Zresztą działamy tu oboje z panem Darier w twoim, mój ojcze interesie. Osobistość, którą ci przedstawiamy przewyższa twoje nadzieje, nigdy nie zdołałbyś odnaleźć kogoś lepszego... kogoś zacniejszego... nie! — nigdy!..

— Jakże gorąco bronisz tej sprawy!—zawołał Harmant, bacznie wpatrując się w swą córkę — znasz zatem tego o którym mówisz.

— Znam ojcze... Pan Darier mówił mi o nim, przysłał mi go tu następnie. Widziałam go, rozmawiałam z nim, poznałam jego wysoką wartość; jestem pewną, że się nie mylę w tym razie.

— Zatem jest to przyjaciel Jerzego Darier?

— Szczery, serdeczny przyjaciel, towarzysz z kolegium; pan Darier poręcza za nim jak sam za sobą. Powierzając mu ojcze to miejsce, mam przekonanie, że wniesiesz szczęście do twego nowego przedsięwzięcia, obok czego, spełnimy dobry uczynek, ów bowiem protegowany pana Jerzego został dotknięty ciężkimi rodzinnymi nieszczęściami, odgadłam to z kilku słów jakie mu się pomimowolnie wymknęły; potrzebuje on zdobyć stanowisko odpowiednie zacnemu swemu charakterowi, i swym wysokim zdolnościom, stanowisko to ty mu udzielisz u siebie... nieprawdaż?

— Ależ ty jesteś biegłą jak widzę uczennicą mojego adwokata — rzekł Harmant, całując swą córkę, bronisz sprawę z tak silnem przekonaniem, iż zdolną byłabyś wygrać wszystkie procesy...

— A tenże wygram? — zapytała żywo.

— Zobaczymy me dziecię... Nie należy dawać sercu przewagi nad głową. Osobistość która ma zostać mą prawą ręką, mym *alter ego*, winna być obdarzoną rzadkimi, specjalnymi przymiotami. Pragnąłbym zadość uczynić życ Darier'a a nadewszystko twojemu, obok tego jednak

się upewnić, czy wzmiankowana osoba jest zdolną do wypełniania czynności, jakie z zupełnem zaufaniem chcę złożyć w jej ręce i czy mogę bez obawy i niebezpieczeństwa oddać mu mą władzę? Napiszę przeto bezzwłocznie do twego protegowanego, ażeby przybył dla widzenia się ze mną.

— To niepotrzebne, mój ojcze.

— Jakto... dlaczego?

— Ponieważ on oczekuje w drugim pokoju — mówiła, śmiejąc się, Marya — z listem rekomendacyjnym od pana Darier...

— A więc to zmowa na mnie, jak widzę—wołał żartobliwie milioner.

— Zmowa, w której i ty, ojcze, udział wziąć musisz— odpowiedziała z przymileniem — ponieważ jestem pewną, iż nie odmówisz zobaczenia się z najlepszym przyjacielem swego adwokata.

— Naturalnie, że go przyjmę, a ztąd rozmowa, jaka miała mieć miejsce jutro, nastąpi zaraz.

Marya uradowana pobiegła ku drzwiom.

— Wejdz pan, wejdz, panie Lucyaniel—wołała—mój ojciec cię oczekuje.

— Labroue, pełen obawy, z listem w ręku, przestąpił próg gabinetu. Harmant obrzucił go bystrem spojrzeniem. Wynik tego pierwszego egzaminu musiał być dla przybyłego pomyślnym, ponieważ nachmurzona twarz przemysłowca nieco się rozjaśniła.

— Przynosisz mi pan list od Jerzego Darier? — zapytał.

— Tak, panie, oto jest...

— To mówiąc, podał kopertę.

— Jesteś pan jednocześnie poleconym mi i przez moją córkę — mówił Harmant — co skłania mnie do uwzględnienia pańskiej prośby; interesa wszelako, mimo to, są interesami, niecierpić one w niczem nie mogą, pan dobrze wiesz o tem, ztąd niepodobna nic stanowczego orzec w tym razie, dopóki w wielu okolicznościach bliżej z panem nie pomówię.

— Uwaga pańska jest najzupełniej słuszną—rzekł Lucyan—chwila rozmowy, którą chcesz mi pan udzielić, gorąco jest przezemnie upragnioną, ważność albowiem oczekujących mnie obowiązków nie należy do liczby tych, któreby jedynie w drodze łaski otrzymać można było.

— A! jak on to dobrze powiedział — pomyślała Marya i zwracając się do Harmanta, wyrzekła: — Ojcie, zostawiam cię z tym panem, będę oczekiwała niecierpliwie pomyslnego rezultatu z twej strony.

— Dobrze, idź, moje dziecię...

Dziewczę wychodząc, rzuciło spojrzenie, w którym widniała zachęta do odwagi i nadziei dla młodego człowieka. Lucyan skłonił się jej z uszanowaniem.

Po odejściu córki przemysłowiec wskazał ręką krzesło przybyłemu i Labroue, owładnięty wzrastającym wzruszeniem, w miarę, jak zbliżała się chwila, mająca rozstrzygnąć o jego przyszłości, zajął miejsce naprzeciw milionera.

### III.

Pragniesz pan otrzymać miejsce dyrektora robót w moich warsztatach?—zapytał Harmant.

— Tak, panie—rzekł Labroue — i zapewnić cię mogę, iż pojmuję wysoką ważność w całej rozciągłości, jaka jest przywiązana do tego obowiązku. Przed tem jednakże — dodał — racz pan przeczytać list, który mam zaszczyt doręczyć. Napisany on został przez osobę znającą mnie zbliska, ztąd służyć może niejako za dowód...

Jakób Garaud, odebrawszy list, otworzył go i przebiegł pierwsze wyrazy, poczem położył takowy na biurku przed sobą.

— Jerzy Darier—rzekł—poleca mi pana jako człowieka zasługującego na najzupełniejsze zaufanie, pisze mi o panu



w sposób poważny... Byłeś więc wychowawcą szkoły sztuk i rzemiosł?

— Tak, prócz tego oddawałem się studjom specjalnym w mechanice zastosowanej do dróg żelaznych, która to kwestya, sądząc z ogłoszeń w dziennikach, zdaje się być głównym celem otwarcia pańskiej fabryki. Nie poprzestając na teorii—mówił Lucyan dalej — starałem się wykonywać ją w praktyce. Mogę stanąć przy warsztacie z pilnikiem i młotem w rękę, aby pokazać robotnikom, w jaki sposób którą ze sztuk wykonywać i jak ją następnie obrobić.

— Świadczy to wysokiej pańskiej inteligencji, którą pochwalam—rzekł przemysłowiec;—nie potrzebuje więc pytać—dodał—czy jesteś rysownikiem?

— Gdybym nim nie był, nie śmiałbym przedstawiać się panu—odparł Labroue.—Znajdując się obecnie bez zajęcia, wykonywam rysunki i plany dla domu Simon i spółka w St.-Ouen.

— A!—rzekł mniemany Harmant, wpatrując się powtórnie w młodzieńca — pan wykonywawsz rysunki dla domu Simon i spółka?

— Tak, panie.

— Ileż lat masz obecnie?

— Dwadzieścia siedem.

— Zamieszkujesz w Paryżu?

— Tak.

— Jesteś więc paryżaninem.

— Niezupełnie, ponieważ urodziłem się w Alfortville.

Wyraz *Alfortville* padł jak strumień zimnej wody na skronie mniemanego Harmanta. Usłyszawszy tę nazwę, drgnął nagle i z podwojoną uwagą wpatrywać się zaczął w mówiącego.

— Czy ojciec pański żyje?—zapytał po chwili.

— Nie, panie.

— A matka?

— I matki nie mam, zmarli oboje. Matka przy wydaniu mnie na świat... ojciec, gdym był jeszcze maleńkim.



Niepokój Jakóba Garaud wzrastał do tego stopnia, iż stawał się prawie widocznym.

— A! zatem pan nie masz rodziny—wyjąkał, usiłując pokryć zmieszanie.

— Nie mam, panie, nikogo.

— Czem się zajmował pański ojciec? — pytał dalej Garaud.

— Mój ojciec był zdolnym, znanym powszechnie inżynierem, posiadał wielką fabrykę w Alfortville.

Harmant zbladł jak widmo.

— Jakże się pan nazywasz? — pytał przytłumionym głosem.

— Lucyan Labroue — odrzekł młodzieniec.

— Lucyan Labroue!... — powtórzył milioner, czując, iż dreszcz wstrząsa nim całym, a włosy stają mu na głowie.

— Tak, panie — odparł zagadniony, patrząc ze zdziwieniem na osłupienie przemysłowca.— Czyś pan znał mojego ojca?

Pytanie to, zamiast onieśmielić i zmieszać Jakóba, wróciło mu odrazu całą przytomność umysłu, nakazując stawić czoło odważnie położeniu, w jakim się znalazł wobec syna ofiary, którą okradł i zamordował.

— Tak jest—rzekł śmiało — znałem pańskiego ojca, zostawałem z nim w stosunkach handlowych i przyjacielskich razem, pamiętam, że się nazywał Julian Labroue.

— Tak, panie.

— Pojmiesz więc moje chwilowe wzruszenie, spowodowane nagłą wiadomością, że jesteś synem człowieka, którego wysoce poważałem, kochałem i o którego tragicznym zgonie dowiedziałem się z gazet w New-Jorku.

— Ach! zatem pan znasz szczegóły śmierci mego nie-szczęśliwego ojca?

— Znam, panie... został zamordowanym w swej własnej fabryce, podczas pożaru...—szeptał Jakób Garaud, drżąc cały.  
— Rzecz dziwna... — myślał jednocześnie — groźne być może

losu zrządzenie, które sprowadza do mnie jako proszącego syna mojej ofiary.

Zachwiałwszy się chwilowo pod ciosem nieprzewidzianym, mniemany Paweł Harmant zważył się jednak nie dozwolił. Obliczywszy w oka mgnieniu wyniknąć mogące następstwa, powziął stałe postanowienie.

— Zamordowanym zostałem... tak! — powtórzył Lucyan z westchnieniem — zamordowanym w podpalonej fabryce ręką zbrodniarza...

— Jeśli mnie pamięć nie myli—mówił Garaud z przerażająco zimną krwią—zbrodniarką była kobieta, odzwierciedlająca fabryki...

— Sędziowie uwierzyli dowodom, skazując Joannę Fortier za potrójną zbrodnię. Co do mnie, ja w jej winę nie wierzę!—odparł Labroue.

Jakób żadrzał powtórnie.

— Dlaczego pan nie wierzysz?—zapytał — sądzisz więc, iż tę kobietę niesprawiedliwie skazano?

— Tak, panie.

— Zda mi się jednak, o ile pamiętam, że dowody zebrane przeciw niej, aż nadto stwierdzały jej winę.

— Pozory niejednokrotnie w błąd sprawiedliwość wprowadzają.

— Zkąd i dlaczego pan to przypuszczasz? — pytał milioner dalej.

— Ponieważ otrzymałem w tym względzie zeznania mej ciotki, która mnie wychowała, a zkąd wypływa, iż ktoś inny miał cel w zadaniu śmierci mojemu ojcu.

— Kto inny?—powtórzył przemysłowiec, opanowany nagle wzrastającą trwogą.—Któżby więc?

— Nadzorca fabryki—rzekł Lucyan — człowiek ambitny a chciwy. Mój ojciec, mając szczególne zaufanie do tego człowieka, powierzył mu tajemnicę swych nowych wynalazków, dla przywłaszczenia sobie których on spełnił potrójną zbrodnię!

— Jakże się nazywał ów nadzorca? — pytał stłumionym głosem Harmant.

— Nazywał się Jakób Garaud.

— Jakób Garaud! — powtórzył nikczemnik—tak, przypominam sobie to nazwisko... Lecz o tym człowieku mówiono, że zginął w płomieniach, stawszy się ofiarą swego poświęcenia.

— Ja nie wierzę ani w poświęcenie, ani w śmierć jego — zawołał żywo młodzieniec—lecz jedynie w łotrowską komedię, jaką odegrał ten nędznik!

— Posiadasz pan na to dowody?—zapytał mniemany Harmant, owładnięty trwogą.

— Na nieszczęście nie, panie. Jakób Garaud pisał jednakże do Joanny Fortier, w której był zakochanym, ważny list, zawierający wyznanie, a raczej zeznanie swej zbrodni.

— Czemuż więc Joanna Fortier wobec sądu nie użyła tego listu na swoją obronę?

— Ponieważ nie posiadała go już natenczas... pożar go pochłoniął.

Mniemany Harmant w zadumie pochylił głowę.

— Wszystko to ważnem być może—rzekł—ale spoczywa jedynie na przypuszczeniach.

— Tak... — odparł Lucyan—istnieją jednak przecucia, które nie myślą synowskiego serca. Światło prędkiej, czy później rozproszy tę ciemność. Nadejdzie dzień kary na zbrodniarza. Ja pomścę, pomścić muszę śmierć mojego ojca!

Zimny pot oblał czoło mordercy. Rodzaj zawrotu, opamiętawszy mózg jego, mieszał w nim myśli. Siłą woli jednakże starał się odzyskać przytomność i równowagę.

— Ei! —zawołał po chwili — cóż możesz pan teraz uczynić? Dwadzieścia dwa lata upłynęło od spełnienia tych zbrodni w Alfortville. Przypuściwszy, że Jakób Garaud nawet je dokonał i żyje, przedawnienie okrywa go bezpieczeństwem.

— Co dla mnie znaczy przedawnienie? — zawołał Labroue.—Gdyby Jakób Garaud żył dotąd, a los dozwolił mi się

z nim spotkać; nie od prawa natenczas zażądałbym sprawiedliwości... Ów łotr zubożony przez zbrodnię, zmienił zapewne nazwisko i wytworzył sobie rodzinę. Zdemaskowanie go wobec najbliższych, a ztąd okrycie go hańbą, zadowolniłoby mą zemstę.

Milioner wstał żywo, a pochwycony strasznym niepokojem, gorączkowo przechadzać się zaczął wzdłuż i wszerz biblioteki. Po kilku minutach zatrzymał się wreszcie.

— Nie ganię—rzekł—pańskiej gotowości do pomszczenia śmierci swego ojca, wątpię jednakże byś dosięgnął celu. Lecz wróćmy—dodał—do naszej pierwotnej rozmowy. Obecnie więc znajdujesz się pan bez rodziny, bez zajęcia, bez majątku?

— Tak, panie.

— Pragniesz otrzymać w mym domu miejsce, któreby ci zapewniło byt nie tylko obecnie, lecz i w przyszłości?

— Tak.

— A zatem powierzam ci obowiązek dyrektora w mojej fabryce.

— Ach! panie... — zawołał Labroue — i w uniesieniu wdzięczności pochwyił rękę Jakóba Garaud.

Ręce te były złodowaciami.

Milioner cofnął się, chcąc uniknąć podziękowań.

— Posiadasz — rzekł — głęboką naukową wiedzę, jesteś zdolnym, o czym świadczą twe prace, wykonywane dla domu Simon i spółka, przyjmuję cię więc. Staniesz się drugim mną w fabryce. Twój tytuł dyrektora robót zapewni ci absolutną władzę nad warsztatami. Będziesz sam wybierał i przyjmował rysowników, nadzorców, robotników, którzy zostawać będą pod twymi rozkazami. Nie trać więc czasu ani chwili. Chcę, ażeby w ciągu trzech dni warsztat rysunkowy został czasowo urządzonym i otwartym tu, w mojem mieszkaniu, przywiozłem bowiem z podróży roboty, które wykonane być muszą w jak najkrótszym czasie. Będziesz mi potrzebnym w każdej godzinie dnia, a ztąd wypadnie ci mieszkać tu przy mnie.

— Jestem gotów zastosować się do pańskiego żądania.

— Przeznaczam ci na początek dwanaście tysięcy franków rocznej pensji. Uważasz-że to za wystarczające dla siebie?

— W zupełności, panie... nie marzyłem o tak wysokiej cyfrze.

— Przyjmujesz więc?

— Z głęboką wdzięcznością—odrzekł Labroue.

#### IV.

— Rzeczą zatem ułożoną — ciągnął dalej mniemany Har-  
mant; — od jutra pocziesz czuwać nad urządzeniem zakładu  
w wielkiej sąsiedniej sali, przytykającej do biblioteki, która  
pomieści w sobie dwunastu rysowników. Dziś jadę obejrzeć  
budowlę w Courbevoie, zabiorę cię z sobą, ażebyś powziął wyo-  
brażenie o ważności mojej fabryki.

— Pobiegnę na śniadanie i wrócę natychmiast — rzekł  
Lucyan.

— To niepotrzebne, zjesz z nami śniadanie.

— Panie... to nadmiar łaski... — odparł młodzieniec.—  
Dzięki tobie, przyszłość, która tak ponuro rozwijała się prze-  
demną, jasno mi teraz świeci. W jakiż sposób zdołam wyra-  
zić mą wdzięczność za to, coś dla mnie uczynił?

— Podziękuj raczej mej córce, swemu przyjacielowi Da-  
rier, oraz własnym zdolnościom — rzekł milioner z powagą.—  
Rzeczą już ułożoną, powtarzam, a teraz wiesz zapewne drogę do  
salonu?

— Wiem, panie.

— Zechciej więc poczekać tam na mnie w towarzystwie  
mej córki. Powiedz jej, że za pięć minut przybędę, oraz że  
zostajesz u nas na śniadaniu.

To mówiąc, były nadzorca otworzył drzwi biblioteki.

Labroue wyszedł upojony radością, zwracając się w stronę salonu,

Po jego odejściu Jakób Garaud upadł na krzesło złamany, zgnębiony. Przez kilka sekund siedział tak bezsilny, owładnięty trwogą, poczem podniósł nagle głowę. Twarz jego była purpurową, wzrok dziki, błędny.

— Lucyan Labroue! — wyszeptał stłumionym głosem — syn zamordowanego przezemnie człowieka... Chłopiec, który powinienby być bogatym, przywieziony do nędzy przez moją zbrodnię... I on... on przyszedł prosić mnie o robotę!... I moja własna córka go proteguje... pod jej opieką przedstawionym mi został! Czyliż fatalność go tu sprowadza lub ręka Opatrzności? Lucyan Labroue, tutaj... w mym domu?! Lucyan Labroue, wierzący w niewinność Joanny, w zbrodnię Jakóba Garauda! Lucyan Labroue, pragnący po dwudziestu dwóch latach pomścić śmierć swego ojca skandalem... wyjawieniem wszystkiego publicznie, wszystkiego, co zniesławiłoby mogło me dziecko i odrazu zgruchotać gmach tak pracowicie przezemnie w ciągu lat tylu wzniesiony! Nie... nie! — wołał, zrywając się nagle — to nastąpić nie może, to nie nastąpi! Ten młody człowiek już mnie nie opuści, opuścić nie powinien... mym obowiązkiem jest zatrzymać go przy sobie, ażebym mógł znać wszystkie jego czyny, śledzić myśli jego... a w ostatnim razie powstrzymać go, jakem powstrzymał jego ojca, gdy przyzywając pomocy, chciał odkryć, że Jakób Garaud, był podpalaczem, mordercą!...

Po strasznym tym monologu, ów nędznik gotów do nowej zbrodni, gdyby ta potrzebną się okazała do jego ocalenia, upadł powtórnie na krzesło bezsilny, pogrążony w głębokiem milczeniu.

\*

S. 119

\*

Lucyan, wszedłszy do salonu, znalazł tam Maryę. Dziewczę oczekiwało z niepokojem rezultatu rozmowy pomiędzy nim a ojcem.

Spostrzegłszy go wchodzącego z obliczem rozradowanym, podbiegła szybko ku niemu.

— Wszak wszystko dobrze, nieprawdaż?—pytała.

— Tak—odrzekł—od dziś stanowią część personelu nowej fabryki, otrzymałem miejsce dyrektora robót.

Marya ze zbytku wzruszenia, zachwiałszy się nagle' zmuszoną była wesprzeć się o krzesło.

Lucyan poskoczył, chcąc ją podtrzymać.

— Pani jesteś cierpiąca?—szepnął.

— Nie... nie! to nadmiar radości... czuję się być tak szczęśliwą...

— Lecz pani pobladła!

— To wkrótce przeminie... wybacz pan temu chwilowemu wzruszeniu. Jam tak gorąco pragnęła, ażeby ojciec pańskiej prośbie zadość uczynił... Oto widzisz pan—dodała—mimnęło już osłabienie, jest mi dobrze zupełnie. I przybrawszy pozorny spokój, usiadła.

— Pozostaje mi teraz wyrazić pani najgłębszą moją podziękę za twą szlachetną protekcję — mówił Lucyan dalej;—dzięki jej, otrzymałem skutek pożądaný. Nie zapomnę o tem nigdy i wdzięcznym pani przez całe życie pozostanę.

— Zobaczymy, czy pan pamiętać będziesz! — odpowiedziała z uśmiechem, podając mu rękę.

Syn Juliana Labroue ujął tę drobną rączkę, wyciągniętą ku niemu i do ust ją poniósł, składając na niej pocałunek, pełen uszanowania. W chwili tej dziewczę uczuło nagłe wstrząśnienie serca.

— Ach! ja go kocham — pomyślała — kocham, czuję to, czuję! — Zatem wkrótce zapewne zaczniesz pan pełnić swój obowiązek?—pytała, siłą woli powściągając wzruszenie.

— Od jutra, pani.

— Ależ budynki jeszcze niewykończone.

— Pan Harmant oddaje mi wielką salę obok biblioteki na urządzenie w niej tymczasowo pracowni dla rysowników.

— A dziś, co pan robić będziesz?

— Mam z ojcem pani jechać do Courbevoie.

— A więc zostaniesz pan u nas na śniadaniu?

— Tak, pani; pan Harmant polecił mi o tem panią uprzedzić.

— Doskonale!—zawołała uradowana—biegnę wydać rozkazy; przebacz pan, iż na chwilę pozostawię cię samym.

I wyszedłszy z salonu, rozkazała kamerdynerowi położyć jedno nakrycie więcej do śniadania, poczem udała się do biblioteki dla złożenia ojcu podziękii.

Były nadzorca siedział w postawie, w jakiej go opuściliśmy. Spostrzegłszy wchodzącą córkę, wstał i podszedł ku niej.

— Jakże? — zapytał—rozmawiałś ze swym protegowanym? Jesteś zadowolona?

— Ochl tak, mój ojczu! — wołało dziewczę, rzucając mu się w objęcia—więcej zadowolona niż sądzisz... Kocham cię za to stokroć razy więcej!

Garaud spojrział ze zdumieniem na twarz dziewczyny, łzami zroszoną. Nachmurzył czoło i jednocześnie myśl straszna, przerażająca, zawiadnęła jego umysłem.

— Pójdźmy na śniadanie — rzekł, pokonywając obawę.

— Tak, pójdźmy — odpowiedziała Marya—a nawet towarzyszyci ci będę do Courbevoie.

— Jak to, chcesz tam jechać?

— Chcę tego.

— Dobrze więc, pojedziemy.

Ojciec wraz z córką, połączywszy się z Lucyanem w salonie, przeszli następnie do jadalni.

Podczas śniadania Harmant wypytywał nowego dyrektora o szczegóły jego rzemiosła. Syn Juliana Labroue odpowiadał w sposób, dający poznać zdolność i głęboką wiedzę w jego specjalności. Marya była rozpromieniona. Po śniadaniu kamerdyner wszedł z oznajmieniem, iż powóz oczekuje przed pałacem. Odjechali we troje do Courbevoie, gdzie bawili kilka godzin, oglądając roboty około budowli i urządzenia fabryki,



poczem o czwartej powrócili do Paryża. Lucyan pożegnał ojca i córkę, otrzymawszy polecenie przybycia nazajutrz o dziewiątej rano. Młodzieniec odetchnął, czując się wolnym nareszcie, a tym sposobem mogąc powiadomić o wszystkim Jerzego Darier, a następnie Łucyę, swą narzeczoną, zaniepokojoną może długą jego nieobecnością. Chwilowo zapragnął pobiedz przedewszystkiem na ulicę Bourbon; obawiał się jednak, czy w spóźnionej porze zostanie w domu Jerzego; poszedł więc najprzód na ulicę Bonapartego. Młody adwokat tylko co z sądów powrócił. Była to godzina, w której zwykle klientów przyjmował u siebie, ztąd Lucyan zmuszony był czekać, aż ci wyszli nareszcie, poczem wszedł do gabinetu.

— Przychodzisz z pomyślną wiadomością — rzekł Jerzy, podając mu rękę.

— Zkąd wiesz o tem? kto ci powiedział?

— Wyraz twej twarzy.

— A więc nie zawiodło cię to tym razem. Jestem uszczęśliwiony, dzięki ci, mój Jerzy; przychodzę, aby ci wynurzyć głęboką mą wdzięczność.

— A! i ja cieszę się wraz z tobą — rzekł Darier. — Twa radość płaci mi stokrotnie za to, co uczyniłem. Opowiedz mi, proszę, wszystko jak było.

Lucyan powiadomił szczegółowo przyjaciela o życzliwym przyjęciu ze strony przemysłowca, oraz o wszystkim, co uczyniła Marya dla poparcia jego prośby.

— Osądziłem więc dobrze to dziewczę — rzekł Jerzy; — nieoceniona to istota, serce zacne, szlachetne, pełne najwznioślejszych przymiotów!

— Tak, rzeczywiście, to anioł! — poparł Labroue.

## V.

— Otóż więc pozyskałeś tyle upragnione stanowisko — mówił dalej młody adwokat — kto wie, czy nie zostaniesz kiedyś współnikiem Farmanta.

— Nazbyt unosi cię wyobraźnia — odrzekł, śmiejąc się, Lucyan; — nie żywię tak wysokich ambicij. Jedyne moje pragnieniem jest, bym corocznie mógł coś zaoszczędzić, a z tej sumki podźwignąć zwałiska warsztatów, odziedziczonych po ojeu na gruntach w Alfortville, wtedy to czułbym się w zupełności zadowolonym.

Obaj przyjaciele wkrótce się pożegnali. Lucyan wsiadł do powozu, by jaknajrychlej przybyć na ulicę Bourbon, gdzie przewidywał, iż Łucya oczekuje go z niepokojem. Młode dziewczę tym razem nie było samem w stancyjce, Joanna Fortier, roznosicielka chleba, którą wszyscy w piekarni zwali *matką Eliza*, znajdowała się przy niej.

Na godzinę przed tem, wdowa, którą dziwny, nieprzełamany instynkt ku Łucyi prowadził, zastukała do drzwi mieszkania młodej szwaczki z zawiniątkiem w rękę.

— Ach! to wy, matko Elizo! — zawołało dziewczę, drzwi otwierając, chyba że nie przynosisz mi chleba?

— Nie! moja droga panienko — odrzekła Joanna — przysłałam cię prosić o wyświadczenie mi małej przysługi.

— Wszystko uczynię dla ciebie matko najchętniej, spocznij tu proszę — dodała — podczas gdy będę wykończyła tę suknię, która ma być na jutro gotową, opowiesz mi co cię tu do mnie sprowadza.

Wdowa usiadłszy, zatrzymała pełne miłości spojrzenie na młodem uroczem dziewczęciu.

— Przybywam z prośbą do ciebie, panno Łucyo — poczęła — ośmielona twą obietnicą, iż przy wolnym czasie uszyjesz mi suknię.

— Z całego serca... masz pani potrzebne ku temu materiały?

— Właśnie przechodząc przed magazynem nowości, kupiłam bardzo tanio resztkę wełnianego towaru, którą przynoszę... patrz pani.

Tu roznosicielka chleba odwiązywać paczkę zaczęła.

— Dobrze... połóż to pani na stoliku — odrzekło dziewczę, robotą pilnie zajęte — skoro ukończę ten stanik, wezmę pani miarę... Wszak możesz chwilkę zaczekać?

— Jak najchętniej; ukończyłam już dzienny mój obchód, jestem wolną do jutra rana, nie spiesz się więc, proszę.

— Lubię szyć prędko — Łucya odparła. I szybko miga-  
jąc igłą, rzucała od czasu do czasu ku drzwiom spojrzenie,  
wysłuchując się w najmniejszy szelest na schodach.

Ta nateżona uwaga dziewczęcia i niepokój widoczny  
w całej jej postaci nie uszła baczności Joanny.

Chcąc poznać tego przyczynę, badać dziewczę należało,  
a czyliż służyło jej prawo do czegoś podobnego? Poprzestała  
więc na zadaniu kilku zapytań.

— Jak dawno pani zajmujesz się szyciem? — zapytała  
nagle, pragnąc dowiedzieć się czegoś z przeszłości młodej ro-  
botnicy.

— Od lat sześciu, matko Elizo.

— Uczylaś się tego w Paryżu?

— Tak, pierwszą naukę szycia udzielano mi w przytuł-  
ku, gdzie zostałam wychowaną.

Na te słowa Joanna zadrżała.

— Zostałaś wychowaną w przytułku? — powtórzyła  
żywo.

— Tak — odrzekło smutnie dziewczę. — Nie znałam ni  
mego ojca, ni matki. Oddano mnie niemowlęciem do przytułku  
dla opuszczonych dzieci.

— W Paryżu? — pytała drżącym głosem roznosicielka.  
Pochylona nad szyciem Łucya, nie dostrzegła silnego  
wzruszenia, jakie widniało w obliczu przybyłej.

— W Paryżu — odpowiedziała.

— Jak dawno to było?

— Dwadzieścia jeden lat temu ..

— Dwadzieścia jeden lat — powtórzyła  
odległa ta data nasuwała tyle wspom-

— A ileż panno Łucyc masz!

— Według tego, jak mi powiadano, zdaje się, że zaczęłam dwudziesty drugi rok życia.

— Czy nie mówiono ci, gdzie spędziłaś pierwszy rok, do chwili umieszczenia cię w przytułku?

— Nie, nic mi o tem nie mówiono.

— I nie wiesz, czyli zostałaś tam oddaną przez rodziców lub krewnych?

— Nie wiem.

— Lecz o tem w przytułku wiedzieć powinni?

— Być może, iż wiedzą... wszak to nie powód, ażeby mnie o tem powiadano.

— Dlaczego?

— Ponieważ reguła zabrania wyjawiania dzieciom tajemnicy ich urodzenia. W razie żądania jej odsłonięcia, osoba, która złożyła dziecię, lub druga przez nią upoważniona, winna oznajmić dzień i godzinę, w którym dziecko do zakładu oddanem zostało, oraz wyjawić wskazówki, dołączone na bieliznie, lub ubraniu niemowlęcia, dla ułatwienia poszukiwań.

— Zatem — ciągnęła dalej wdowa — pani nie wiesz zarówno, czyli te drobne wskazówki istniały obok ciebie.

— Istniały, wiem o tem.

— Gdybyś więc poznać je zapragnęła?

— Nie objaśnionoby mnie, jestem przekonana.

— Lecz i to imię Łucyi jakie ci nadano?—mówiła z drżeniem Joanna.

— Imię to żadnego nie stanowi dowodu, zostałam oddaną do przytułku w dniu świętej Łucyi, ztąd to być może tak mnie nazwano.

— A zatem ona wypadkowo nosi to imię — myślała ze ściśnionym sercem nieszczęśliwa kobieta — a ja tak ślepo wienikły więc moje nadzieje!

— Czyłam stanik — wyrzekła Łucya, skłaniając się teraz miarę, matko Elizo.

— kroki dały się słyseć na wscho-

dach. Łucya podbiegła ku drzwiom, a uchyliwszy takowe, nasłuchiwać poczęła.

Kroki idącego ucichły na trzeciem piętrze.

— To nie on — szepnęło dziewczę, wracając z nachmurzoną twarzą.

Joanna spostrzegła ów nagły smutek dziewczyny.

— Pani oczekujesz kogoś? — spytała.

— Tak, matko Elizo, kogoś, którego i ty znasz zarówno.

— Kogóż takiego?

— Pana Lucyana, widziałas go tu u mnie kilkanaście razy.

— A! tego młodego człowieka mieszkającego naprzeciw.

— Tak, mego narzeczonego... oczekuję go z niepokojem, który zrozumiesz, skoro ci powiem, że dzisiejszego rana miał on otrzymać stanowczą decyzję względem miejsca o jakie się stara, a od którego nasze przyszłe szczęście zawisło. Gdyby otrzymał ów obowiązek, zaślubi mnie w tym roku, Lucyan mi to przyrzekł.

— Pojmuję teraz twoją obawę, drogie dziecię, pojmuję — rzekła roznosicielka — nie trzeba jednak zbyt się niepokoić. Jeżeli opóźnia się twój narzeczoney z przybyciem, to niezawodnie jakaś ważna sprawa zatrzymać go musiała... nadzieje wkrótce, bądź pewną, pośpieszy z dobrą wiadomością.

— Ach! aby nie ze złą tylko — smutno zawołała dziewczyna.

— Czemu trapić się przedwcześnie?

— Czemu? — powtórzyła Łucya z westchnieniem — zły los od tak dawna nas ściga!..

— Zły los?.. ja ci zaręczam że wiadomość tym razem będzie pomyślną.

— Oby Bóg dał!.. ostatnia to moja nadzieja! Pójdź pani — dodała — wezmę ci miarę.

To mówiąc, poczęła rozmierzać tasiemką objętość ramion, pleców, piersi i rąk przybyłej.

Kroki powtórnie dały się słyszeć na wschodach.

— Ach! teraz ja się nie mylę!.. — zawołało dziewczę, drżąc i bledniejąc z wzruszenia... — to on!

Zaledwie wymieniła te słowa, syn Juliana Labroue, jak wichur wpaść do stancyjki. Twarz jego jaśniała radością.

— Zwycięztwo! ukochana Łucyo — wołał rozpromieniony — zwycięztwo!

— Otrzymałeś więc to miejsce? — szepnęła, patrząc z zażawionemi oczyma w mówiącego.

— Otrzymałem wszystko, czego pragnąłem, o co się starałem, pan Harmant wraz z córką zatrzymali mnie u siebie na śniadaniu... jeździłem wraz z nimi obejrzeć budynki w Courbevoie. Wróciwszy ztamtąd, pobiegłem do Jerzego Darier aby mu o wszystkim opowiedzieć i nakoniec spieszę do ciebie ukochana niosąc ci szczęście, jakie wkrótce wspólnem naszym szczęściem się stanie!

## VI.

Radość od tak dawna nieznana, zapromieniła w stancyjce ubogiej robotnicy.

— Widzisz jak zwodniczym był sen twój — wołał Lucyan, ująwszy ręce dziewczyny i okrywając je pocałunkami. — Pozyskałem mniejsze dyrektora robót, z dwunastoma tysiącami franków rocznej pensyi!

— Z dwunastoma tysiącami franków?! — powtórzyła Łucya, zaledwie mogąc temu uwierzyć. — Ach Lucyanie, to majątek... bogactwo!

— Jeżeli nie majątek, to wstęp ku niemu — odrzekł, śmiejąc się wesoło. — Od jutra rozpoczynam mą czynność, a w ciągu roku ukochana Łucya zostanie mą żoną, zaś, za pięć lub sześć lat, przy wspólnej naszej oszczędności, rozwinę własne me skrzydła, będąc w możności odbudowania części spalonych warsztatów na gruntach Alfortville, pozostałych po drogim mym ojcu.

Joanna usłyszawszy to, zadrżała, jak zadrżał tegoż rana na te wyrazy mniemany Harmant.

— Ojciec pański zamieszkiwał w Alfortville? — spytała przytłumionym głosem.

— Tak — odrzekł.

— Jakże się nazywał? — badała dalej.

— Julian Labroue; zginął pod morderczym ciosem zabójcy przed dwudziestu jeden laty w czasie pożaru fabryki...

Wdowa uczuła, iż nogi chwieją się pod nią, niewypowiedziana trwoga ogarnęła ją całą. Ona, niewinna, lecz osądzona za potrójną zbrodnię, ona, ta zbiegła z więzienia w Clermont, znalazła się naprzeciw syna Juliana Labroue, ofiary swego morderstwa według sądu ludzkiej sprawiedliwości.. Gdyby Lucyan odkrył jej prawdziwe nazwisko, uwierzyłby w jej winę.

— Śmierć mego nieszczęśliwego ojca — mówił dalej młodzieniec — głośną była w swym czasie. Czy pani słyszałaś co o tym strasznym wypadku?

— Tak... przypominam sobie — odpowie roznosicielka.

— Pamiętasz więc pani zapewne, iż za te zbrodnie kobieta została skazaną.

— Pamiętam...

— Sąd zawyrokował ją na dożywotnie więzienie, lecz czyliż ta nieszczęśliwa była winną w rzeczy samej? Czy nie stała się ofiarą fałszywych pozorów i strasznego błędu pod względem prawa? Jest to dla mnie zagadką, dla rozwiązania której zaprzysiągłem rozproszyć ciemności, i dozwolić światłu zabłysnąć.

— Wierzysz pan zatem w niewinność skazanej? — pytała z wzruszeniem Joanna.

— W nic dotąd jeszcze nie wierzę... błędę wśród wątpiewań, które trwać będą, dopóki nie spotkam się z człowiekiem, o jakim twierdzą, że zginął jako ofiara własnego poświęcenia, a który według mnie odegrał lotrowską komedję,

by zyskać czas do ucieczki, i używać w spokoju ukradzionego majątku.

Wdowa, omal, że nie zdradziła się w tej chwili, miała już na ustach nazwisko Jakóba Garaud, siłą woli jednakże powstrzymała się, zamilkła. Rozsądek nakazywał jej to uczynić. Czyż bowiem mogła powiedzieć:

— Tak, prawdziwym, jedynym zbrodniarzem jest Jakób Garaud, a ja, Joanna Fortier osądzona niewinnie za jego zbrodnię, uciekłam z więzienia w Clermont!..

Niepodobna jej było tego wyjawić, bez posiadania dostatecznych dowodów w swym ręku, a dowodów tych jej brakowało, jak w dniu wydania wyroku. Mimo jednakże konieczności, jaka zamykała jej usta, czuła się być ogarnioną nagłą, niespodziewaną radością. Syn jej pozornej ofiary, nie wierzył w zbrodnię z jej strony.

— Cobys pan uczynił — spytała po krótkim milczeniu — w razie odnalezienia zabójcy?

— Przedewszystkiem, upewniłbym się, czyli on w rzeczy samej jest mordercą mojego ojca — rzekł Lucyan — wtedy odplaciłbym mu, jak należy za jego zbrodnię i żądał zrehabilitowania biednej męczennicy, lat tyle cierpiącej niewinnie.

— Być może ona umarła? — szepnęła Joanna.

— Tak... to być może... lecz wkrótce o tem się dowiem.

— Jakim sposobem?

— Jeden z moich przyjaciół, młody adwokat, używający wielkiej wziętości i poważania, przyrzekł mi, iż się powiadomi w jakim więzieniu została zamkniętą wdowa Fortier... Jeżeli żyje, pojedę sam osobiście z nią się zobaczyć. Chcę z jej ust posłyszeć zeznanie, jakie kiedyś złożyła przed sądem. Dziś, niepotrzebując się ona już niczego obawiać, nie skłamię! Przyrzeknę jej, iż wszelkich wpływów użyję, by zyskać dla niej uwolnienie i dotrzymam słowa, gdyż moje przeczucie mi mówi, że rychlej czy później odnajdę prawdziwego zabójcę mojego ojca. Bóg jest sprawiedliwym! nadejdzie dzień, w którym ów zbrodniarz wyjdzie bezwiednie z cienia w jakim się ukrywa



17  
i sam się odda w me ręce. Dzień ten nadejdzie! — powtarzał Lucyan z silnem wewnętrznem przekonaniem — a kto wie... może on jest bliskim.

Powtórnie Joanna omal się nie zdradziła. Chciała zawołać:

— Ta, której szukasz Lucyane, nie umarła! Ona jest blisko ciebie... Tą kobietą ja jestem!..

Drżenie wstrząsnęło jej ciałem i okrzyk zastygł jej na ustach. Najmniejsza nieostrożność w takim razie wystarczyłoby mogła aby ją odprowadzono do więzienia, a wtedy należałoby się pożegnać ze wszelką nadzieją odnalezienia swych dzieci. Było więc potrzebnem milczenie z jej strony, nawet przed Lucyanem Labroue, który myślał o jej uwolnieniu.

— Wszakże ta nieszczęśliwa kobieta miała dzieci jak sobie przypominam — odważyła się powiedzieć Joanna.

— Tak, mówiła mi o tem moja ciotka — odparł młodzieniec.

— Co się z nimi stało?

— Nic niewiem.

Wdowa lękając się pytać o więcej, opuściła głowę w milczeniu.

— A więc kochana. Lucyo jesteś zadowolona? — rzekł Labroue do narzeczonej, zmieniając przedmiot rozmowy.

— Ach! szczęśliwą... powiedz... niewysłowienie szczęśliwą!.. zawołało dziewczę.

— Będziemy jednak musieli rzadziej się widywać.

— Dlaczego? — pytała drżąc pomimowolnie.

— Pan Harinant postanowił utworzyć czasowo pracownię rysunkową we własnem mieszkaniu, zaprowadzić w niej administrację i skompletować personel. Obecność więc moja pojmujesz, będzie potrzebną tam od rana do wieczora, obok czego pryncypał, chcąc mieć mnie pod ręką, pragnie, ażebym mieszkał w pobliżu ulicy Murillo..

— Rozumiem... rozumiem—odrzekła Łucya z westchnieniem — obecność twoja jest konieczną w rzeczy samej... A zatem opuścisz dotychczasowe zamieszkanie?

— Jest to niezbędnem... nie smuć się jednak..

— Przykrem to dla mnie będzie nad wyraz, gdy wszakże chodzi o wypełnienie obowiązku, pomijam własną niedolę. Pierwsze dni naszego rozłączenia w straszny sposób uczuć mi się dadzą. Znajdziesz jednakże wszak prawda kilka minut czasu codziennie, aby tu przybiedz na chwilę, zaś w każdą niedzielę poświęcisz mi już dzień cały.

— Ach! Bóg widzi z jaką rozkoszą! — zawołał Labroue.

— Będę tu żyła nadzieją, do chwili, w której nie rozłączymy się już więcej.

— A ja przyspieszać będę ze wszystkich sił moich nadejście dnia tego.

— Wiem... i nie wątpię o tobie.

— Jakżem rad, iż widzę cię ukochana, tak rozsądnie godzącą się z losem — zawołał uszczęśliwiony młodzieniec — nadzieja podtrzymywać nas będzie i czas ten szybko przeminie.

— Choćby przeminął najrychlej—szepnęła Łucya z westchnieniem, czuć się będę tu smutną i samą!. Za otwarciem się drzwi mego pokoju, naprzód wiedzieć już będę, iż nie ujrzę w nich ukochanego oblicza.

— Jak prędko wyprowadzasz się ztąd panie Lucyanie? — zapytała Joanna.

— Jutro zapewne zmuszonym to będę uczynić.

— Zatem pańskie mieszkanie wolnem pozostanie?

— Tak.

— Jak drogo pan płacisz?

— Rocznie sto pięćdziesiąt franków, za kwartał obecny zostało już ono z góry zapłaconem. Będę zmuszonym ponieść tę stratę, jeśli odzwierna nie wynajdzie wprędce nowego lokatora.

— Chciałabym wziąć pańskie mieszkanie — wyrzekła wdowa.

— Na seryo, matko Elizo? — zawołała Łucya z radością.

— Tak, drogie dziecko, radabym mieszkać przy tobie. Nie wyobrazisz sobie, jak cię kocham wraz z Lucyanem. Najszczęśliwszą będę, mogąc ci mówić o nim po dniach całych.

— A zatem przybywaj tu pani coprędzej zastąpić mnie. Z mniejszym smutkiem ztąd się wydalę, pozostawiwszy cię przy mej narzeczonej. Będziesz mówiła jej o tym, który ją kocha z całej duszy i żyje dla niej jedynie!

— Ach! jakaż dobra myśl błysnęła ci, matko Elizo—pówtarzało dziewczę; — mniej samotną uczuwać się będę w tym domu!

— A zatem—rzekł Lucyan—sprawa załatwiona; wyznać wam jednak muszę, że sprawa dzisiejsza obudziła we mnie wilczy apetyt. Gdyby moja Łucya zechciała okazać się uprzejmą, zaprosiłaby mnie do siebie dzisiaj na obiad — dodał—wraz z tobą, matko Elizo.

Dziewczę klasnęło w ręce wesoło.

— Będę uprzejmą! — zawołała; — zajmę się nakryciem, podczas, gdy nasza dobra przyjaciółka wyjdzie w celu dostarczenia prowizyi.

Joanna zapłakała z radości. Po tylu latach ciężkich, gorzkich smutków, uczuła się być szczęśliwą. Dziwne szczęście zaiste, któremu dozwolonem było jedynie objawić się łzami!

VII.

Wdowa Fortier pobięła za kupnem żywności i wkrótce we troje zasiedli do stołu, przy którym Łucya pełniła obowiązki gospodyni domu, nie domyślając się, że obiaduje ze swą matką, jak również Lucyan, że siedzi obok kobiety, oskarżonej morderstwo jego ojca. Dziwny zaprawdę zbieg okoliczności!

Tegoż samego dnia rano młodzieniec spożywał śniadanie z prawdziwym zabójcą!

Mamyż potrzebę objaśniać, że skromna ta uczta, ożywiona poufną rozmową, przeciągnęła się do godziny dziewiątej wieczorem? Nazajutrz, jak było postanowionem, Lucyan objął swój obowiązek u Pawła Harmant.

W towarzystwie Maryi, wyszukującej pozorów, aby się zbliżyć ku niemu, zmieniał w pracownię rysunkową wielką salę, przytykającą do biblioteki, poczem udał się celem wyszukania rysowników, spośród których znał kilku uzdolnionych młodych ludzi, oraz poszedł za wynalezieniem sobie mieszkania w pobliżu Monceau. Znalazłszy trzy pokoiki na czwartym piętrze przy ulicy Miromesuil, zajął je niebawem, podczas gdy Joanna Fortier urządziła się w poprzednim jego mieszkaniu, szczęśliwa, iż traf pozwolił jej umieścić się obok Łucyi, ku której wiodło ją instynktownie przywiązanie.

Lucyan, obarczony pracą, nie zdołał odnaleźć chwili, by pójść do narzeczonej, u której nie był od czasu wyprowadzenia się z ulicy Bourbon. Oczekiwali niecierpliwie oboje niedzieli, która miała być dla nich dniem szczęścia.

Przyjęcie Lucyana do domu Harmanta wprowadziło wraz z nim nowy żywioł w jednostajnem dotąd życiu Maryi. Od dnia, w którym Labroue przebywać począł stale u milionera, zdrowie dziewczęcia widocznie poprawiać się zaczęło. Zmiana ta nie uszła czujnej baczności byłego nadzorcy; przekonał się, iż nie myliło go przypuszczenie o budzącej się miłości w sercu jego córki dla syna mechanika z Alfortville. Śledził tę miłość, a raczej mogące z niej wyniknąć następstwa, z przestracaniem i trwogą, w oczekiwaniu chwili, kiedy Marya, której stanowczość była mu znaną, przyjdzie o swych uczuciach złożyć wyznanie.

W ciągu miesiąca nie zaszła żadna ważniejsza zmiana w stosunkach znanych nam osób. Marya jednakże coraz więcej kochała Lucyana, który spostrzegać zaczął ową niezwykłą dla siebie uprzejmość ze strony młodego dziewczęcia. Szczególne te względy, w odgadnieniu celu których mylić się by

niepodobna, stawiały częstokroć w kłopotliwym położeniu młodzieńca, kochającego gorąco swą Łucyę, której miłości nie oddałby za miliony.

Licząc na rychłe otwarcie warsztatów w Courbevoie, a tem samem i rzadsze przebywanie w domu Harmanta, był pewien, iż z jego usunięciem się, znikną zarazem i poufniejsze między obojgiem stosunki.

— Gdy mnie widywać nie będzie, zapomni o swej fantazyi—powtarzał.

Przeciwnie jednak się stało. Otwarcie fabryki, a zarazem i usunięcie się od Maryi Lucyana, nietylko, że nie stłumiło miłości w sercu dziewczyny, ale ją podnieciło tem więcej. Labroue rzadko kiedy ukazywał się teraz w pałacu przy ulicy Murillo; dozór nad robotami wymagał bezustannej jego obecności w Courbevoie. Marya cierpiała skrycie na tem rozłączeniu i niejednokrotnie pod rozmaitemi pozorami jeździła tamże niby dla widzenia się z ojcem, a w rzeczy samej, aby na krótką choć chwilę zobaczyć Lucyana, zamienić z nim słów kilka. Z tych rzadkich i krótkich odwiedzin wynosiła nieco szczęścia dla siebie.

W pewną sobotę syn Juliana Labroue odebrał list od Jerzego Darier, w którym tenże zapraszał go do siebie nazajutrz na śniadanie, dodając, iż chce mu osobiście zakomunikować pewną wiadomość. Ponieważ nie wypadało odmówić żądaniu przyjaciela, Lucyan tegoż wieczora po zamknięciu warsztatów udał się do Łucyi na ulicę Bourbon, ażeby jej oznajmić, iż nie będzie mógł nazajutrz, jak zwykle w niedzielę, spędzić z nią dnia, ponieważ wypadnie mu udać się do Jerzego.

Mimo, iż powyższa wiadomość mocno zasmuciła dziewczynę, nie chciała sprzeciwić się temu projektowi.

— Nie zezwoliłabym nigdy — wyrzekła — ażebyś miał obrażać odmową przyjaciela, który tyle dla ciebie uczynił. Idź do niego, a na obiad powracaj do mnie; godziny pogadanki naszej będą krótszemi, lecz niemniej, jak zwykle dla mnie, drogiemi.

Nazajutrz w oznaczonym czasie Labroue przybył na ulicę Bonapartego. Zastał u Jerzego malarza, Edmunda Castel, który już otrzymał wiadomość o pozyskanem przez Lucyana miejscu w fabryce.

— Winszuję panu, szczerze winszuję—rzekł—panie Labroue, stanowiska, którego jesteś godnym; świetna przyszłość obecnie otwiera się przed tobą.

— Wierzę w nią i nie ukrywam, iż mam ważne nadal zamiary.

— Jakież, jeśli zapytać wolno?

— Rozwinąć kiedyś do lotu własne swe skrzydła, pracować nie dla drugich, ale dla siebie samego.

— Miałżebyś pan zamiar kiedyś odbudować warsztaty po swoim ojcu w Alfortville?

— Tak właśnie. Jest to obowiązkiem, który wypełniłem. Skoro tylko zaoszczędzę sumę, potrzebną na rozpoczęcie robót, zacznę je wykonywać. Pamięć mojego ojca będzie mnie podtrzymywała w tej pracy.

— Zacne, szlachetne postanowienie—zawołał Darier—postanowienie godne dobrego syna i wielkiego serca. Ambicja, w ten sposób pojęta, jest najwznioślejszem z ludzkich dążeń. A teraz, skoro weszliśmy na drogę wspomnień przeszłości—dodał po chwili—zdam ci rachunek ze starań, przedsięwziętych przezemnie względem odszukania owej kobiety, skazanej za zbrodnię podpalenia i morderstwa.

— A! względem Joanny Fortier?

— Tak właśnie.

— Winna, czy niewinna, nieszczęsna ta wycierpiała wiele—rzekł Lucyan.

— Jak cierpią wszyscy skazani—ozwał się Edmund Castel.

— O! znacznie więcej...—rzekł Jerzy.—Po wydaniu wyroku popadła w obłąkanie.

— W obłąkanie!—zawołał Lucyan.

— Tak, w którym pozostawała przez dziesięć lat osadzona w Salpêtriere.

— Czy odzyskała jednak zmysły?

— Odzyskała.

— Jakim sposobem?

— Pożar, wzniesiony granatami podczas oblężenia, ogarnął pawilon, gdzie była zamkniętą wraz z innymi choremi; groza tej sytuacji obudziła w niej pamięć, wróciła przytomność umysłu wraz z przypomnieniem przeszłości.

— Cóż potem nastąpiło?

— Przewieziona została do centralnego więzienia w Clermont, gdzie według wyroku pozostawać miała do końca życia.

— Umarła więc tam?—zapytał żywo Labroue.

— Nie! przed dwoma miesiącami wymknęła się z pod nadzoru i uciekła w przebraniu jednej z zakonnicek z infirmaryi.

— Uciekła?!—zawołał Edmund Castel — i nie odnaleziono jej?

— Dotąd nie jeszcze, lecz wątpię, ażeby długo mogła na wolności pozostawać. Rysopis jej wraz z listami gońcami został rozesłany we wszystkich kierunkach kraju i rychlej, czy później nieszczęśliwa schwytaną zostanie.

— Ach! biedna kobieta...—wyszeptał Labroue—słusznie mówiłeś, Jerzy, że ona wiele wycierpiała! Kto wie, czy w takich okolicznościach zdołam się z nią kiedy zobaczyć, a tak pragnąłem z nią pomówić! Zkąd jednak przyszła jej myśl ucieczki?

— Różne przypuszczenia istnieją w tym względzie—odparł Darier;—zdaje się wszakże według otrzymanych wskazówek, że pragnęła jedynie dowiedzieć się, jaki los spotkał dwoje jej dzieci, z którymi ją rozłączono w chwili przyaresztowania. Starania, czynione przez nią co do tego, dotąd bezskutecznymi pozostały; przypuszczają przeto, iż uciekła, pragnąc sama odnaleźć swą córkę i syna. Zdradzi się przy ich odnalezieniu, wierzą w to silnie w prefekturze policyi.

— Nieszczęsna istota! biedna, biedna matka!—powtarzał Lucyan—mówiono mi o niej właśnie przed kilkoma dniami.

— Kto mówił?—zapytał Jerzy.

— Kobieta, która niegdyś powiadomiona była o tej całej sprawie. Mówiła mi ona, że istotnie Joanna Fortier miała dwoje dzieci.

— Jakaż to kobieta panu o tem opowiadała? — pytał ciekawie Edmund.

— Roznosicielka chleba, którą w całym okręgu ulicy Delphinatu zowią matką Elizą, a która w rzeczywistości nazywa się Elizą Perrin.

Nastała chwila milczenia, przedmiot rozmowy zdawał się wyczerpanym zupełnie.

— Kiedy przyjdiesz do pracowni zobaczyć mój obraz?—pytał Jerzego artysta.

— W przyszłym tygodniu.

— Powiadom mnie o tem dniem naprzód, ażebym był w domu obecnym.

— Dobrze. A mały mój konik jakże wygląda na obrazie?

— Zobaczysz i osądzisz. Pragnę ci zrobić niespodziankę.

Tu zwrócili uwagę na szczegóły malarstwa. Śniadanie odbyło się wesoło. Lucyan, pamiętając, iż przyrzekł Łucyi wcześniej powrócić, pożegnał niezadługo Jerzego, udając się na ulicę de Bourbon.

## VIII.

Lucya oczekiwała narzeczonego w towarzystwie nieodłącznej teraz swej towarzyszki, matki Elizy, która usiłowała stać się użyteczną młodemu dziewczęciu. Uprzątała codziennie starannie dwa pokoiki, zajmowane przez młodą szwaczkę, załatwiała dla niej sprawunki, by tym sposobem dać dziewczęciu więcej czasu do pracy. Młoda robotnica ze swej strony coraz silniej przywiązywała się do swej sąsiadki. Objawy tej czy



stej miłości dziewczęcia niejednokrotnie lzy gorzkie wyciskały z oczu Joanny na wspomnienie własnej jej córki.

Spostrzegłszy wchodzącego Lucyana, chciała odejść, by nie przeszkadzać rozmowie dwojga narzeczonych.

— Zostań, dobra matko—rzekł Labroue—dzisiaj dzień uroczysty dla naszej kochanej Łucyi, chciejże w nim wziąć udział.

— Ach! jakże pan jesteś dobrym!—zawołała z rozrzwiniem Joanna — kochasz prawdziwie naszą panienkę, lecz i ja kocham ją tyleż. Jedynem mojem pragnieniem jest nie rozłączyć się z nią już nigdy!

— Spełnić się to może...

— W jaki sposób?

— W sposób najprostszy w świecie. Po zaślubinach naszych Łucya posiadać będzie mieszkanie, wymagające starannego porządkowania. Gdybyś mateczko zechciała u nas zamieszkać, zajęłabyś się tą czynnością.

— Gdybym zechciała!—powtórzyła z radością Joanna—ależ nie ma nic bardziej przezemnie upragnionego!

— Przyjmujesz więc moją propozycję? — pytał Labroue.

— Przyjmuję, całym sercem przyjmuję! — wołała wdowa uradowana — i jestem ci nieskończenie wdzięczną, panie Lucyane.

— Ach! jakąż dobrą myśl powziąłeś — odezwiała się Łucya—jeżeli kocha mnie matka Eliza—ja niemniej kocham ją nawzajem, zdaje mi się, że odnalazła w niej matkę, której nigdy nie znałam.

— Drogie, ukochane dziecię!—zawołała Joanna, chwytając dziewczę w objęcia i tuląc je do siebie.

Była to chwila niewysłowionej rozkoszy dla obu tych kobiet, nie wiedzących, jak bliskie węzły krwi łączyły je z sobą.

— Matko Elizo—rzekł Lucyan po chwili—przypominasz sobie, jak przed trzema tygodniami rozmawialiśmy o tej niezszczęśliwej kobiecie, skazanej za zbrodnię, której, przekonany jestem, że nie popełniła.

Wdowa Fortier zadrżała

*nie zezwala  
była  
jawnie*

- Tak... przypominam...—odpowiedziała.
- Mówiłem wtedy, że się o niej coś dowiem.
- To prawda.
- A więc dowiedziałem się dzisiaj...

Joanna pobladła.

— Dowiedziałeś się pan?—spytała zaledwie dosłyszonym głosem.

— Tak, przy pomocy mego przyjaciela, Jerzego Darier, adwokata, dowiedziałem się, w jakim więzieniu Joanna Fortier osadzoną została.

— A zatem? — pytała dalej, zaledwie głos wydobywając.

— Ta nieszczęśliwa kobieta—mówił Labroue — uległszy obłąkaniu, w którym przez lat dziesięć pozostawała, umieszczoną była początkowo w Salpetrière, zkąd, gdy odzyskała zmysły, przewieziono ją do więzienia w Clermont.

Wdowa uczuła, że krew zastyga w jej żyłach; by się nie zdradzić, musiała przywołać całą energję, całą siłę woli.

— Pozostaje więc ona w Clermont?—szepnęła.

— Nie, uciekła z więzienia przed dwoma miesiącami.

— Uciekła?—powtórzyła Lucya—jest więc wolną?

— Tak... lecz nie na długo, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przypuszczają bowiem, że uczyniła to w celu odzyskania swych dzieci i liczą, że nieroztropność w tym razie z jej strony rychlej, czy później odda ją w ręce sprawiedliwości, zkąd wróci do więzienia.

Joanna drżała; dreszcz febryczny wstrząsał jej ciałem; odwróciła się ku oknu, by ukryć swoje zmieszanie.

W ów niedzielny poranek, gdzie widzieliśmy Lucyana, obecnego na śniadaniu u Jerzego Darier, córka Pawła Harmannt wstała wcześniej niż zwykle. Dziwnie była ponurą i smutną dnia tego. Pozostała w swoim pokoju aż do śniadania, myśląc o Lucyanie, którego widoczna obojętność niepojęta

jej być się wydawała. Dziewczę cierpiało ciężko, boleśnie. Pierwsza miłość w tem młodem sercu, szybko wzrastała. Marya ze swoim zachowaniem się rozpieszczonego dziecka, wychowana wśród wolnych obyczajów amerykańskiego flirtu, postępowała w sposób, z jakiego Labroue łatwo mógł odgadnąć wznieconą miłość ku sobie. Dlaczego więc, zdawał się tego nie spostrzegać, lub gardzić miłością dziewczęcia? Oto pytanie, jakie sobie po tysiąc razy zadawała, nie będąc w stanie rozwiązać owej zagadki.

Syn Juliana Labroue, jak objaśniliśmy, spostrzegł uczucie dziewczyny, jednak pomimo, że kochał Lucyę nad wszystko na świecie, nigdy myślby mu nie przyszła marzyć dla siebie o córce milionera. Olbrzymi majątek Pawła Harmant, stawiał nieprzepartą zaporę pomiędzy nim a Maryą. Z dwójakich zatem powodów uzbrajał się w obojętność względem córki przemysłowca.

Oziębłość ta ze strony Lucyana, dziwiąc i drażniąc Maryę, sprawiała jej boleść ukrytą, co pogarszało zachwiany stan jej zdrowia. Choroba pokonana na razie wzmagać się silnie poczęła.

— Kocha mnie on być może — mówiła — nieposiadając wszakże majątku, nie śmie marzyć o połączeniu się ze mną... Walczy sam z sobą, starając się pokonać tę miłość... Tak... ja odgadłam! To jest przyczyną obojętności, jaką się okrywa. Trzeba to zbadać — dodawała — poznać mu dać należy, iż nadzieja jest dlań dozwoloną... że jeżeli zechce, poślubić mnie może. Zostać żoną Lucyana, to jedyne moje marzenie... to życie dla mnie... gdyby to nastąpić niemogło, ja umrę.

Rozmyślanie to Maryi, przerwała pokojówka, oznajmiając, iż śniadanie na stole.

Niedziela w domu Harmant'a zwykle poświęcaną była wypoczynkowi. Znużony całotygodniową pracą przemysłowiec, pragnął zapomnieć przez te kilka godzin o swych interesach.

Po południu wyjeżdżał z Maryą na przechadzkę i cały wieczór zwykle przepędzał w jej towarzystwie. Jedyłą radością tego nędznika było znaleźć się sam na sam z swem dzieckiem.

Dziewczę wyszedłszy ze swego pokoju, pośpieszyło połączyć się z ojcem w małym salonie.

Ujrawszy wchodzącą, Harmant podszedł ku niej.

— Przychodzisz dziś później niż zwykle — rzekł — byłabyś cierpiącą me dziecko?

— Tak... nieco... — odpowiedziała — nie z tego powodu jednak pozostałam dłużej u siebie.

— Cóż cię więc zatrzymało?

— Rozmyślałam... dumalam...

— Idźmy do stołu, opowiesz mi przy śniadaniu o przedmiocie swych marzeń.

Poszli razem do jadalni.

— Otóż — zaczął Harmant, siadając — powiedz mi teraz, nad czem tak rozmyślałaś?

— Mówiłam sobie, iż więcej jest w życiu cienia, niż słońca, więcej cierpienia, niżli radości.

— Nie rozumiem cię! — zawołał milioner z zdziwieniem — cień nie istnieje dla ciebie, która potrzebujesz jedynie wyrazić życzenie, ażeby było spełnionem; co zaś do cierpienia życia, zbyt jesteś młodą, byś je zaznać mogła. Czegóż ci do szczęścia brakuje?

— Pozwolisz mi ojcze być szczerą?

— Nie tylko pozwalam, lecz o to proszę...

— Wyznam więc... szczęśliwą jestem przy tobie, czując się być otoczoną twoją tkliwością, miłość ojca jednakże nie wystarcza na zawsze sercu młodej dziewczyny.. Nie jestem ojcze już dzieckiem... wkrótce ukończę lat dziewiętnaście, nie pomyślałś, iż kiedyś wypadnie ci za mąż mnie wydać?

Były nadzorca zadrzał na te słowa.

— Wydać cię za mąż... rozłączyć się z tobą... jedynie moja pociecho?.. — wyszepnął, tuląc dziewczę ku sobie — ach!

czyliż nie wiesz, że twoja obecność jedynie nadaje mi czynność, energię, odwagę? Gdybyś nie znajdowała się tu przy mnie, wszystkoby od razu runęło. Wtedy to ukończyłoby się me życie, ujrzałbym śmierć tylko przed sobą!

I mówił prawdę. Od czasu powrotu swego do Francji pożerały go straszne wyrzuty sumienia, jakie jedynie tylko obecność Maryi rozproszyć była w stanie. Ona to tylko nadawała mu siłę do walki ze strasznymi wspomnieniami i widmami przeszłości.

## IX.

Chwila milczenia nastąpiła po ostatnich słowach Har-  
mant'a.

— Ależ to ty ojcze raczej wytwarzasz sobie czarne my-  
śli bezpotrzebnie — ozwała się Marya. — Dlaczego patrzysz  
jedynie w smutną stronę życia?

— A czyliż dla mnie inna istnieje? — pytał milioner.

— Bezwątpienia. — Mogłabym wyjść za męż, a nie roz-  
łączać się z tobą.

— Nie lepiej byłoby zostać przez czas jakiś jeszcze tak,  
jak jesteśmy?

— Mówisz jak samolub mój ojcze, wybacz mi... lecz to  
źle z twojej strony. Wszak powinienes być nieraz pomyśleć  
o tem, że nadejdzie dzień, w którym me serce nietylko do cie-  
bie należeć będzie...

— Myślałem o tem wielekroć razy, a zawsze z ciężką  
boleścią. Mówiłem sobie, że kiedyś oddasz większą część  
swojego serca obcemu! Wiem to, i czuję, iż owa fatalna chwila  
nastąpić musi, lecz staram się ją jak najdalej odsunąć, obok  
czego wymarzyłem coś sobie ..

— Cóż takiego?

— Majątek jaki zbieram dla ciebie, dozwala mi sięgać  
ku związkom z najznakomitszymi rodzinami kraju. Gdyby

się tobie podobało zaślubić księcia, znalazłbym go gotowym do udzielenia ci swej mitry w zamian za miliony. Pragnę dla ciebie męża, zajmującego wysokie stanowisko w społeczeństwie, męża, którego nazwisko chwałą okryłoby mnie i ciebie zarazem.

— Czy jednak to przyniosłoby mi szczęście? — przerwała Marya żywo. — Tytuł kupiony za miliony, jak to wyrzekłeś, ojcze, przed chwilą, jak wszystko co się kupuje za pieniądze, nie zadawalnia serca, nie przynosi mu prawdziwej radości. Ja marzę ojcze zarówno, lecz nie o księciu, ale o mężu, któryby mnie kochał prawdziwie, wiedząc dobrze, że każdy z tych wielkich panów zaślubiając mnie dla majątku, przyniósłby mi w darze obojętność.

— A któżby cię nie ukochał? — zawołał Harmant.

Marya pochyliła głowę w milczeniu, oczy jej nabiegły łzami, myślała o Lucyanie Labroue.

— Dyskutujemy jednak o dalekiej przyszłości — zaczął na nowo przemysłowiec — wszakże nie myślisz wydać się za mąż... nie kochasz jeszcze nikogo?

— W kwestyi małżeństwa, mam wprost przeciwne twoim zapatrywaniu, mój ojcze — odrzekło dziewczę, podnosząc głowę. — Świetnych związków niepragnę dla siebie wcale, nie wymagam, ażeby człowiek, którego zaślubię posiadał majątek. Chcę w nim widzieć jedynie trzy najważniejsze zalety: szczerość, stanowczość i odwagę. Z tem, posiada się wszystko co trzeba, by zdołać zostać *czemś* na najskromniejszym nawet stanowisku. Sercu udzielam pierwszeństwo przed tytułem i przed workami złota — mówiła dalej. — Nazwiesz mnie może niepraktyczną marzycielką, wiem o tem... jak wiem zarówno, iż wiele kobiet dzisiejszych, śmiechem by przyjęło to moje twierdzenie. Mniejsza z tem... zdania mojego nie zmienię i jeśli kiedy wyjdę za mąż, to tylko według mych własnych idei.

Harmant słuchał swej córki obojętnie, z uśmiechem po-błażania, jak się słucha dziecka, wysnuwającego dziwne, niepraktyczne rojenia; w głębi rzeczy jednakże rozumiał, iż

wszystko co mówiła, odnosiło się do człowieka, którego kochała, do Lucjana Labroue. Być może, iż owa miłość nie dosięgnęła jeszcze tego punktu, gdzie wszystko ustępuje przed namiętnością, istniała już ona jednak widocznie, a to jej istnienie napawało trwogą Jakóba Garaud.

Tak, mimo całej nikczemności charakteru tego nędznika, przerażała go myśl oddania swej córki Lucyanowi. Czuł, iż krew mu w żyłach lodowacieje na wspomnienie złączenia ręki swego dziecięcia z dłonią człowieka, któremu ojca zamordował.

— Dobrze zrobiłam — myślała Marya jednocześnie, nie odgadując tego, co się działo w duszy jej ojca — tak... dobrze uczyniłam, wyprowadziwszy na jaw tę kwestyę; wiem teraz, co ojciec mój dla mnie projektuje... Przed jego wolą wszelako, pierwszeństwo mieć musi ma wola. Jeżeli przekonam się, że Lucyan mnie kocha, powiem: *Ja chcę!* i musi to zostać spełnionem.

Długie milczenie nastąpiło po ostatnich słowach dziewczyny; ojciec i córka siedzieli w zadumie, nie mówiąc do siebie, aż wreszcie Harmant przemówił pierwszy.

— Czy wyjedziemy gdzie dzisiaj?

— Jak chcesz mój ojeze... Możemy wyjechać dla oddania wizyt znajomym. Radabym nawet zobaczyć się z córką pani Wiliamson, mieszkającą wraz z rodzicami przy ulicy Bonapartego.

— Najchętniej! Podczas gdy bawić będziesz u swej przyjaciółki, ja odwiedzę Jerzego Darier, z którym nie widziałem się jeszcze po moim powrocie.

— Lecz czy zastaniesz go ojeze w domu, w niedzielę?

— Bezwątpienia... powiedział mi, iż zwykle w niedzielę nigdzie nie wychodzi.

— A więc i ja wraz z tobą pojedę do niego — zawołała Marya, ożywiając się na myśl, iż Jerzy będzie zapewne mówił o Lucyanie.

— Czyliż to jednak wypada?— odważył się zaprotestować Harmant.

— Czemu nie? — odpowiedziała — córka w towarzystwie ojca, może iść wszędzie.

— Dobrze... razem więc pojedziemy. Darier pisał do mnie przed trzema dniami, nie miałem dotąd czasu na list jego odpowiedzieć.

— Dziękował ci ojciec zapewne, za przyjęcie pana Labroue...

— Tak, lecz w tym razie, nie on mnie, ale ja jemu winienem być obowiązany.

— Jakto?

— Ponieważ Jerzy Darier oddał mi prawdziwą przysługę, rekomendując swego przyjaciela.

— Jesteś więc zadowolonym z pana Labroue?

— Bardzo... jest to chłopiec niepospolitych zdolności, przytem zna swoje rzemiosło doskonale!

— A obok tego tak dobrze wychowany, uprzejmy, szlachetny, prawdziwy dżentelmen — dodała z zapalem. — Widzisz więc ojciec, że się nie omyliła, odkrywszy w nim te wszystkie zalety przy pierwszym widzeniu.

Harmant bacznie spojrział w swą córkę.

Mówiąc to, dziewczę mocno się zarumieniło i przez chwilę wyrzucała sobie, iż za zbyt może dozwoliła ować nadąć się uniesieniu, wkrótce jednakże przybiła spokojność.

— Może to i lepiej — myślała — iż dorozumiewa się, że ja kocham Lucyana. Gdy chwila walki nadejdzie, łatwiejsem mi będzie zwycięstwo.

Były nadzorca wydał rozkaz aby zaprzęgano do powozu.

— Idź, ubierz się, drogie dziecko — rzekł — i ja się również przygotowuję.

— Za kwadrans powrócę — odpowiedziała, udając się do swego pokoju.



W pół godziny potem, elegancki powóz zaprzężony w parę doskonale dobranych anglo-normandzkich biegunów, unosił ojca i córkę ku ulicy Bonapartego.

Była blisko druga godzina, gdy wysiadali przed mieszkaniem młodego adwokata, a powziąwszy wiadomość od odźwiernego, że lokator był w domu, weszli na drugie piętro.

Przed dziesięcioma minutami Lucyan Labroue wyszedł od swego przyjaciela.

Jerzy rozmawiał wesoło z Edmundem Castel, gdy nagle dzwonek przy dzwiach zadźwięczał, a jednocześnie Magdalena weszła z oznajmieniem, iż pan Paweł Harmant wraz z córką znajdują się w salonie.

— Ach! — zawołał Jerzy — otóż niespodziewana wizyta... dziś, nadewszystko, mój opiekunie — rzekł do Edmunda Castel — wyjdź wraz ze mną, przedstawię cię temu kolosowi przemysłu naszej epoki, jest to pryncypał Lucyana Labroue.

— Radbym go poznać.

Tu oba udali się do salonu.

— Witam pana... witam kochany panie Harmant i panią, panno Maryo — wołał Jerzy, ściskając rękę milionera — łaskawe odwiedziny państwa, sprawiają mi niewymowną radość.

— Przybywam drogi mój adwokacie — rzekł przemysłowiec — ażeby odpowiedzieć na twój list, doręczony mi przed kilkoma dniami.

— Zawstydzasz mnie pan — odparł Jerzy — zamiast listownie, powinienem był osobiście złożyć ci moje podziękowanie, jak również i pannie Maryi, za uprzejme przyjęcie mego protegowanego. Miałem to uczynić, lecz nawał pracy przeszkodził mi w dopełnieniu tego obowiązku. Racz mnie pan przeto mieć za usprawiedliwionego i pozwól zarazem przedstawić sobie jednego z najlepszych moich przyjaciół, opiekuna mojego, pana Edmunda Castel, którego nazwisko jak pamiętam, jest dobrze ci znanem.

— Nie tylko znam nazwisko pana Castel, lecz i wysoki jego talent, który uwielbiam — Marya odpowiedziała.

— Jak i ja również — dodał Harmant. — Słyszałem bowiem pochwały, oddawane przez znawców pracom pana Castel.

Edmund w krótkich słowach wyraził swą wdzięczność za tak uprzejmą ocenę.

— W tym roku dajesz pan co do Salonu? — pytała Marya.

— Nie pani — odrzekł artysta — od lat dwóch wystarcza mi zaszczyt należenia do grona sędziów Wystawy.

— Nie umiem panu wyrazić panie Harmant — mówił Jerzy — o ile uszczęśliwiła mnie wiadomość, że mój przyjaciel Labroue został przyjętym do pańskiej fabryki... Dogzonnio panu za to wdzięcznym pozostanę.

— My to... my raczej — odparła Marya — wdzięcznemi być panu winniśmy, ponieważ mój ojciec twierdzi, że w panu Labroue prawdziwy dla siebie skarb znalazł.

— W rzeczy samej, — rzekł przemysłowiec — w pańskim protegowanym, szacownego odnalazłem współpracownika.

— Spodziewałem się tego — mówił Darier — a nawet mogę powiedzieć, iż pewien byłem zadowolenia z pańskiej strony, znając wysokie zalety mego towarzysza. Jest on panu wielce obowiązany, uważając cię jako swego dobroczyńcę, w czem ma słuszność zupełną, gdybyś pan bowiem nie podał mu ręki, chłopiec ten oddałby się był rozpaczy.

— Rozpaczy? — powtórzyła Marya, drżąc pomimo wolnie.

— Tak, zwątpił on już o sobie samym i o swej przyszłości.. Zwątpienie wiedzie ku zniechęceniu, a to ostatnie do rozpaczy prowadzi. Lucyan wiele wycierpiał w swem życiu, niezasłużenie; należało mu się teraz nieco szczęścia dla zabliznienia ran, ciężką dłonią losu zadanych.

---

## X.

Po powyższych słowach Jerzego, przez chwilę zaległo milczenie, z czego korzystając Harmant podniósł się, chcąc pożegnać młodego adwokata, wszelka albowiem rozmowa dotycząca przeszłości syna inżyniera Labroue, jak łatwo pojmujemy, niemiłą dlań była.

Marya jednakże, którą przeciwnie, każdy szczegół odnoszący się do Lucyana żywo zajmował, zwróciła się do Jerzego.

— Pan Labroue nie ma rodziny... wszak prawda? — pytała.

— Tak pani, popełniona zbrodnia uczyniła go sierotą od lat młodocianych.

Dziewczę zadrżało.

— Zbrodnia?... — zawołała — a on mi nigdy nie o tem nie mówił... Ojciec — dodała — zwracając się ku Harmantowi — czy ty wiesz o tem? Czy wspominał ci kiedy o owym strasznym wypadku?..

— Tak... cośkolwiek — mruknął milioner — niechciałem ci jednak powtarzać tej krwawej historii.

— Dlaczego... powiedz, dlaczego? Pan Lucyan jest moim protegowanym, ztąd radabym poznać nieszczęścia, przez jakie przechodził, ażeby starać się dać mu o nich zapomnieć.

— Dzielna dziewczyna! — pomyślał Edmund Castel, spoglądając na ojca i córkę.

— Mówisz więc, panie Darier — ciągnęła Marya dalej — że jakiś czyn zbrodniczy uczynił sierotą pana Labroue?

— Tak, pani, przerażający dramat pozbawił go ojca, matkę utracił jeszcze w niemowlęctwie.

— Opowiedz mi pan szczegóły tego wypadku.

— W krótkości go pani przedstawię. Ojciec Lucyana, pan Julian Labroue, powracał z krótkiej podróży. Przybywszy

wśród nocy do Alfortville, ujrzał w płomieniach swoją fabrykę i został podedrzwiami swego mieszkania zamordowanym.

— Ależ to przerażające! — zawołała Marya, wstrząsana dreszczem febrycznym;—przerażające! nieprawdaż, mój ojcze?

Jakób Garaud, walcząc z ogarniającą go trwogą, zaledwie głos z piersi dobyć był w stanie.

— Tak... w rzeczy samej...—wyjąkał z cicha.

— Któż jednak był owym mordercą i podpalaczem?—pytała dalej dziewczyna.

— Jeżeli wierzyć mamy wyrokowi sądu, kobieta.

— Kobieta?!

— Odźwierna fabryki; skazaną została za te zbrodnie na dożywotnie więzienie.

— Ależ to potwór, nie kobieta!—wołała Marya, przejęta zgrozą.

— Jeżeli nie była męczennicą za cudzą winę — odparł Darier.

— Co pan mówisz?—zawołało dziewczę — proszę, chciej mi to jaśniej wytłumaczyć.

— Na zasadzie niektórych objaśnień, dostarczonych Lucyanowi przez siostrę jego ojca—mówił młody adwokat dalej—osobę godną najwyższego szacunku, która go wychowała, powątpiewanie zrodziło się w umyśle mego przyjaciela co do winy wspomnianej kobiety...

— Czyliż tych powątpiewań sąd nie podzielał?

— Nie, pani. Zebrane dowody ciężko ją obwiniały.

— Jak więc pan Lucyan wobec tego może powątpiewać?

— Dowody te nie są dlań przekonywającymi. Wierzy w błąd sędziów w tej sprawie, jak się to często zdarza, niestety! Spodziewał się otrzymać od nieszczęśliwej skazanej ustne objaśnienia, któreby go naprowadziły na ślad prawdziwego zbrodniarza, niepodobna mu jednak obecnie odnaleźć owej kobiety.

Mniemany Harmant uczył, iż zimny pot oblewa mu czoło.

— Jakto?—zapytał nagle, wszak osądzona musi się znajdować w więzieniu?

— Nieszczęściem, przed dwoma miesiącami zbiegła z domu poprawy w Clermont—odrzekł Darier.

— Zbiegła!—powtórzył Garaud, bledniejąc.

— Przypuszczają, iż wkrótce pochwycić ją będzie można—mówił dalej Jerzy—jeżeli nie zamrze gdzie z głodu i nędzy. Dziś rano Lucyan nic jeszcze nie wiedział o ucieczce Joanny Fortier; ja o tem powiadomiłem go przy śniadaniu, ponieważ prosił mnie o objaśnienie względem tego. Zmartwił się tem bardzo, ponieważ wiele sobie rokował z rozmowy z tą kobietą.

— Mimo to wszystko — zaczął Garaud, ochłonawszy z przerażenia — gdyby nawet przeczucia pana Labroue uzasadnionemi zostały, nic on zrobić nie zdoła kryminaliście, osłoniętemu prawem przedawnienia.

— O! panie—zawołał Darier—wiele on zrobić może. Jeżeli zbrodniarz za pomocą ukradzionych pieniędzy wytworzył sobie znakomitą pozycję w społeczeństwie, żyje otoczony szacunkiem i poważaniem, Lucyan wobec najbliższych publicznie okryje go hańbą. W niektórych wypadkach podobna rana równa się wyrokowi sądu, nie pozostawiając winnemu innej drogi wyjścia nad samobójstwo.

— Ach!—zawołała Marya—straszna byłaby to sprawiedliwość! Oby Bóg dopomógł panu Lucyanowi—dodała—w jego szlachetnym zamiarze i pozwolił mu pomścić śmierć ojca.

Jakób Garaud zachwiał się, uczuł, że siły go opuszczają; pod wyrokiem własnej swej córki pochylił głowę zgnębiony.

— Lucyan miał pięć lat zaledwie w chwili spełnienia tej zbrodni w Alfortville—mówił Darier. — Gdy dorósł, pozostała mu jedynie jego nauka i grunta małej wartości ze zwaliskami spalonej ojcowskiej fabryki. Marzy obecnie, ażeby siłą pracy i oszczędności mógł zebrać potrzebną sumę na odbudowanie choć części warsztatów w Alfortville; stałby się wtedy rzeczywiście twórcą własnego majątku.

— Ach! jakież to cel zacny, szlachetny — zawołała Marya z uniesieniem. Pan Labroue posiada wiele energii w charakterze i siłę woli, jaka rzadko spotykać się daje. Zasluguje, ażeby mu los urzeczywistnić ten zamiar pozwolił, powodzenie z czasem nedejdzie. Ależ ty, gdybyś zechciał, mój ojcze—dodała—mógłbyś mu przyjść w tym razie z pomocą...

— Jak to?—zapytał przemysłowiec.

— Mówiłeś mi przed kilkoma dniami o wysokiej wartości robót, przez niego wykonanych... Mówiłeś, iż wkrótce będziesz potrzebował wybudować drugą fabrykę, a Courbevoie przeznaczyć jedynie na materiały dla dróg żelaznych.

— To prawda.

— Pan Labroue kierowałby doskonale tą nową fabryką.

— Właśnie, myślałem o nim.

— Uczynił go więc swoim wspólnikiem.

Jerzy wraz z Edmundem Castel słuchali z natężoną uwagą słów młodej dziewczyny.

— Ależ...—bąknął były nadzorca z zakłopotaniem.

— Nie ma tu żadnego *ale*—przerwała żywo.—Jesteś, mój ojcze, tyle bogatym, iż zysk pieniężny nęcić cię nie powinien. Pan Lucyan posiada zdolność, młodość i odwagę, a obok tego i grunt po spalonej ręką zbrodniarza fabryce, to w każdym razie coś znaczy... Wspomnijmy, że bogactwa nasze wkładają na nas obowiązek przyjścia z pomocą synowi pana Labroue do odzyskania stanowiska, ku któremu powołuje go przeznaczenie.

— Dzielne, zacne serce!—pomyślał powtórnie Castel.

— Myśl to wysoce szlachetna, która zaszczyt pani przynosi—rzekł Jerzy; pojmuję jednakże, iż nad tak ważną decyzją ojciec pani zastanowić i rozmyślić się musi.

— Nad czem tu rozmyślać? — odparła żywo Marya—pan Labroue ze względu na swoją zdolność, zasługuje, aby został księciem w dziedzinie przemysłu; współka z nim przeto korzyść tylko przynieść może. A zatem, ojcze, głoś wyrok...

Mniemany Harmant usiłował się uśmiechnąć.

— Zawyrokować zaraz w tej sprawie, jak żądasz—odpowiedział—byłoby to działać lekkomyślnie, co nie jest moim zwyczajem. Każda idea potrzebuje zostać do głębi zbadaną; nie odrzucam twego projektu w zasadzie; przyznaję, iż pan Labroue zasługuje, ażeby się jego losem zajęto i nad tem pomyśle.

To mówiąc, Garaud podniósł się z krzesła, zmuszając niejako swą córkę, aby toż samo uczyniła. Chciał jak najrychlej przerwać rozmowę, męczącą go niewypowiedzianie.

— Pan już nas opuszczasz, tak prędko?

— Co począć? śpieszyć nam trzeba; mamy jeszcze kilka wizyt do złożenia, a jest już późno.

— Przed odjazdem zaniosę jeszcze prośbę do pana, panie Castel—mówiła Marya, zwracając się ku artyście. Pragnęłabym utworzyć sobie małą galerję obrazów i dlatego zwracam się do pana, żądając jego pomocy w dwóch szczegółach...

— Racz pani rozkazać — rzekł Edmund z uśmiechem — w czymże służyć mogę?

— Najprzód pragnęłabym otrzymać dla siebie jedną z prac pańskich, a następnie proszę nie odmówić mi swej rady w wyborze innych obrazów.

— Będę szczęśliwym, mogąc pani usłużyć. Racz przeto odwiedzić moją pracownię wraz z ojcem, a wybierzesz sobie obraz według upodobania. Co zaś do prac moich współkolegów, będę się starał być pani wiernym przewodnikiem.

— Dzięki stokrotne — odpowiedziała. — Wszak ojeze, towarzyszyc mi zechcesz do pracowni pana Castel?—nieprawdaż?

— Najchętniej—odrzekł Harmant—a jeżeli panu Castel uda się zrobić ze mnie znawcę malarstwa, powiem, że cudu dokonął.

— A więc spróbuję, panie—odrzekł artysta z uśmiechem.

XI.

Ojciec wraz z córką opuścili mieszkanie adwokata.

— Wiesz opiekunie—zaczął ten ostatni, skoro sami pozostali — zrobiłem pewne odkrycie podczas wizyty pana Harmant.

— Cóż takiego?—zapytał Edmund.

— Uroczą córa milionera broni nazbyt gorąco sprawy Lucyana, tam więcej coś istnieje nad przyjaźń...

— I ja to również zauważyłem—rzekł malarz.

— Wejście jego do domu przemysłowca spowodzi zmian wiele w życiu tego dziewczęcia, ona go kocha, to widoczne... Jak sądzisz?

— Potwierdzam twe zdanie.

— Zdaje mi się, że Lucyan mógłby ją zaślubić?...

— Nie, to nie nastąpi—rzekł Edmund.

— Dlaczego?

— Podczas gdy rozmawialiście, obserwowałem Harmanta. Przymuszał się on... był zakłopotany, chwilami zdawało się nawet, jak gdyby tracił przytomność. Słowa jego córki widocznie boleść mu sprawiały.

— Cóż ztąd wnosisz?

— Rzecz prosta, że przemysłowiec ma inne zamiary; nie podziela zdania swej córki; jest to człowiek bez serca.

— A jednak kocha bardzo swe dziecię.

— Tak... na swój sposób. Harmant czyni na mnie wrażenie zimnego egoisty, samoluba.

— Nie zyskał więc współczucia u ciebie?

— Niel. Być może, błędę w mym sądzie o tym człowieku, widząc go raz pierwszy; wierzę wszelako, że takie wrażenia bywają niezawodzącemi. Ja w całym mem życiu niemi się rządziłem, a pierwszym wrażeniem, jakie on wywarł na mnie, był wstret... wstret niepokonany. Może on być biegłym mechanikiem, ale że nie jest szczerym, przy-



siągnęby. Przyszłość okaże, że mam słuszość, przekonasz się o tem. Lecz może wyszlibyśmy gdzie na przechadzkę?— dodał zmieniając rozmowę.

— Najchętniej—rzekł Darier.

Wziąwszy więc kapelusze i zapaliwszy cygara, udali się do Luksemburskiego ogrodu.

Jednocześnie Harmant wraz z córką jechał w stronę swego mieszkania. Oboje przez całą drogę zachowywali milczenie. Marya wyrzucała sobie, iż nazbyt żywo, być może, dozwoiliwszy ovladnąć się uczuciu, czyniła ojcu propozycje względem Lucyana Labroue. Były nadzorca zostawał pod wpływem zdziwienia i trwogi, wywołanej wiadomością o ucieczce wdowy Fortier.

— Joanna wolną! — myślał — może przybyć do Paryża, spotkać mnie... poznać... otóż co przedstawia obecnie groźne niebezpieczeństwo! Bezustannie więc ściga mnie niepokój i obawa! Któżby mógł przewidzieć, że po dwudziestu dwóch latach zmuszony będę jeszcze drzeć przed tą kobietą... drzeć... przed Lucyanem Labroue? A gdyby mnie ona spotkała, dlaczegoż zarówno nie mogłaby spotkać Lucyana? Wszak traf nieprzewidziany zbliżył go ku mnie... Marzy on o zemście... za-przysiągł ją sobie, gdyby więc odkrył, że Paweł Harmant ukrywa Jakóba Garaud, cały gmach mej pracy, z takim trudem wzniesiony, runąłby odrazu! Zostałbym zgubiony wraz z córką!

Podczas, gdy powyższe myśli oblegały umysł nędznika, pot zimny wilżył mu skronie; spoglądał na Maryę bojaźliwie.

Dziewczę, przymknąwszy oczy, tonęło w marzeniach przyszłości...

— Joanna Fortier zostanie schwytaną—myślał Garaud dalej—tak się spodziewam... jestem pewny tego... Oby to jednak nastąpiło przed katastrofą! Gdyby zaś przedtem zdołała mnie spotkać i poznać... ach! zabezpieczyć się przeciw temu należy!

Tu powóz zatrzymał się, Harmant podał rękę swej córce, pomagając jej wysiąść.

Do obawy, jaka ogarniała Jakóba Garaud na wspomnienie o uwolnieniu Joanny i obecności Lucyana Labroue, przybywała trwoga, wywołana bliskiem, być może, przybyciem do Paryża Owidyusza Soliveau, który, jak pamiętamy, zakończył swój list temi słowy: *Kto wie, czy się wkrótce nie zobaczymy.* To właśnie *kto wie* oznajmiało w sposób przerażający zamiar paryżanina zbliżenia się nanowo do człowieka, którego znając przeszłość, mógł czerpać z jego kasy dowolnie. Jakażby inna przyczyna skłonić mogła Owidyusza do napisania listu?

W rzeczy samej, łotr ten, zostawszy właścicielem fabryki, oddał się grze w karty z całą namiętnością szulera. Wiemy, iż los mu nie sprzyjał, wygrywał rzadko, nigdy prawie. Pieniądze, pozostawione mu na początkowe prowadzenie warsztatów przez zięcia Mortimera, wprędce się ulotniły i Owidyusz zmuszonym był długi zaciągać. Był on, jak wiemy, zdolnym mechanikiem, lecz nie potrafił prowadzić interesów, nie znając się na tem wcale, brak mu było inteligencji do utrzymania sławy znanego szeroko niegdyś zakładu, oraz energii do prowadzenia walki ze współzawodnikami.

Mimo to fabryka przez kilka miesięcy funkcjonowała regularnie, skutkiem wprawy poprzednio nabytej; — zwolna jednakże bieg jej opóźniać się zaczął, wszystko źle iść poczęło, upadek ostateczny nieuchronnym się stawał. Zrozumiał to Owidyusz, a pragnąc za byle co pozbyć się zakładu, przed ostatecznym ciosem, jaki weń miał uderzyć, ogłosił sprzedaż fabryki. Znaleźli się na nią nabywcy; przewidując jednak konieczność sprzedaży, ofiarowali nader niskie ceny. Soliveau postanowił trzymać się do ostatka; traf jednak nieprzewidziany zagnił go do odstąpienia jej na w pół darmo prawie. Przegrał w karty podczas jednej nocy pięćdziesiąt tysięcy dolarów, poręczając wypłatę takowych słowem honoru.

Należność tę uiścić potrzeba było nazajutrz, a kasa stała pustkami. W tem kłopotliwym położeniu Owidyusz udał się do swego bankiera, który wszelako, wiedząc o złym stanie jego interesów, odmówił udzielenia pożyczki. Za jakąkolwiek bład

cenę potrzeba było wydobyć się z tego położenia. Przyjął więc na kilka dni przed tem ofiarowywaną sobie sumę, zapłacił dług karciany, jako też i inne należitości i został posiadaczem sześćdziesięciu tysięcy franków jedynie. Wówczas to napisał list do Harmanta, znany już naszym czytelnikom. Gdy donosił, że źle idą jego interesa, był już kompletnie zrujnowanym, a fabryka przeszła w obce ręce. Mimo to wszystko, nie stracił w przyszłość nadziei. Szuler, gdy mu pozostaje choć cośkolwiek do rzucenia na stawkę, nie rozpacza.

— Z sześćdziesięcioma tysiącami franków—mówił sobie Owidysz—mogę jeszcze zdobyć fortunę przy zielonym stoliku. Zresztą—dodawał—nie martwię się tem bynajmniej. Jeśli nie będzie wiele, w każdym razie coś będzie. Źródło moich dochodów nie wyszło, nie zaginęło. Trzymam *meego ukochanego kuzyna* skrępowanego tak silnie, że mi się wymknąć nie zdoła. Kasa jego jest niewyczerpaną, mogę z niej brać ile mi się podoba.

I polegając na tem, grać począł nanowo.

Przez kilka nocy rezultat pomyślnym się okazywał, los sprzyjać mu zaczął. Wygrana dosięgnęła wkrótce pięknej cyfry stu tysięcy dolarów. Podniecony tym uśmiechem fortuny, grać począł zapamiętale i wszystko przegrał. Podczas jednej nocy zniknęła nietylko wygrana, lecz i cała pozostałość ze sprzedaży fabryki. Nad ranem wyszedłszy z szulerni, znalazł się na bruku bez grosza.

— Trzeba jechać do Francji—powiedział sobie. — I nie tracąc chwili, sprzedał zegarek, nieco biżuterji, a zebrawszy potrzebną kwotę na zapłacenie przejazdu w drugiej klasie okrętu, kupił podróży kuferek, zapakował weń trochę bielizny i ubrania, a dołączwszy do tego bagażu butelkę płynu, kupionego u kanadyjczyka, wszedł na statek jadący do Hawru.

Przez czas podróży rozmyślał w milczeniu.

— Nie mam się czego obawiać, przedawnienie tej głupiej sprawy okrywa mnie bezpieczeństwem, mogę więc rozpocząć

śmiało partyę z mym *drogim kuzynem*. Ha! ha! ha! — zaśmiał się — pokręci głową ujrawszy mnie u siebie.

Za przybyciem do Hawru, zostało mu tylko tyle, ile potrzeba było na spożycie skromnego obiadu i zapłacenie przejazdu z Hawru do Paryża, dokąd pociąg przybywał o godzinie piątej rano.

Owidyusz wiedział z dzienników, że mniemany Paweł Harmant, otworzył wielką fabrykę maszyn we Francyi i że zamieszkiwał w pięknym pałacu w pobliżu Monceau.

Wysiadłszy zatem w Paryżu, postanowił udać się natychmiast do swego mniemanego kuzyna.

## XII.

Przyjazd Owidyusza Soliveau nastąpił w kilka dni po wizycie Harmanta wraz z córką u młodego adwokata.

Jakób Garaud, dręczony trwogą i niepokojem, szukał dla siebie w pracy roztargnienia. Marya oczekiwała przyjaznej chwili na dokonanie przedsięwziętego zamiaru.

Lucyan Labroue, obarczony pracą, dawał przykład rzadkiej czynności i odwagi.

Oprócz specjalnych robót mechanicznych dla dróg żelaznych, zajmowano się w Courbevoie budową maszyn parowych dla okrętów.

Nazajutrz po dniu, w którym Soliveau wsiadał w Hawrze na pociąg jadący do Paryża, miano na jednym ze statków pomniejszych próbować maszyny, zbudowanej według nowego modelu, jaka wydawać miała znakomite rezultaty. Wróciwszy do siebie wieczorem, Harmant prosił Lucyana, aby go obudził o szóstej godzinie rano nazajutrz, dla udania się wraz z nim na próbę pomienionej maszyny. Labroue, pilnując się ściśle godziny, odjechał rano z pryncypałem.

Soliveau postanowił właśnie dnia tego przedstawić się rano w pałacu przy ulicy Murillo, rano, jednak nie znaczyło u niego przededniem.

Wysiadłszy z pociągu drogi żelaznej; wstąpił do jednego z tak licznych składów win, w około stacyi, rozkazawszy tam podać sobie, chleba, sera i butelkę białego wina.

Szczupłość jego funduszów, nie pozwalała mu na obfitsze pożywienie. Oczekiwał godziny pójścia do swego jak go nazywał *ukochanego kuzyna*. Był on dość przyzwoicie ubranym, podróż wszelako, zmiała świeżość jego odzienia, prócz czego wskutek ciągłego przebywania w tawernach, nabrał rubasznego sposobu zachowania się, co widniało z całej jego postaci.

Przybywszy na ulicę Murillo o godzinie siódmej z rana, pociągnął za dzwonek. Drzwi się otwarły, wszedł na dziedziniec.

Odźwierny pośpieszywszy naprzeciw niego, śledził nieufnym wzrokiem tego nieznanego, którego postać podejrzaną mu się być wydała.

— Co pan chcesz... do kogo idziesz? — ostro zagadnął. Paryżanin przybrał o ile mógł najślodszą fizygnomię.

— Pan Paweł Harmant tu mieszka? — zapytał.

— Tak... tu.

— Mogę z nim się widzieć?

— Co... o siódmej z rana? — zawołał odźwierny.

— Wiem, iż to jest cokolwiek zawczasie ze względów na światowe zwyczaje, chodzi tu jednak o pilną sprawę... sprawę nader ważną, panie kochany... Zresztą, znany jestem do brze panu Harmant, rad będzie mnie widzieć...

— Mimo to wszystko, pan z nim się tu nie zobaczysz dziś rano.

— Dlaczego?

— Ponieważ wyjechał.

— Jako... tak wcześniej?

— Wyjechał o szóstej godzinie.

— Lecz wróci?

— Bezwątpienia.

— A kiedy?

— Nic nie wiem. Być może w południe, a może wieczorem. Jeżeli pan masz interes dotyczący mechaniki, lub przychodzisz w celu otrzymania pracy, zgłoś się do fabryki?

— Gdzież jest ta fabryka?

— W Courbevoie, w pobliżu Neuilly, kursują tam tramwaje, możesz pan jechać.

— Dziękuję za objaśnienia. Lecz czy tam znajdę pana Harmant?

— Zastaniesz go pan niewątpliwie.

To mówiąc odźwierny wyprowadził go za bramę przybyłego, zamknąwszy za nim takową.

— Prostack... gbur! — mruknął Soliveau, znalazłszy się na ulicy. Powierzchność moja nieufność w nim wzbudzić musiała, rzecz pewna iż nie wyglądam na milionera. Pomimo wszystkiego, muszę się widzieć z Jakóbem Garaud. Mógłbym był kazać się zaprowadzić do mojej kuzynki Maryi, lecz nie na wiele toby się przydało. W New-Jorku, niezbyt była dla mnie łaskawą, nieobecność moja nie powiększyła zapewne jej dla mnie sympatyj. Lepiej udać się do fabryki w Courbevoie. Mam jeszcze tyle, iż mi wystarczy na tramwaj... dalej więc w drogę!

Wysiadłszy w godzinę później, szedł pod nad brzegiem Sekwany, rozglądając się po nader ożywionej w tym punkcie okolicy.

Wielkie fabryki ciągnące się długim szeregiem, wznosiły ku niebu wysokie ceglane kominy, rozsypując z nich kłęby dymu. Spostrzegłszy przechodzącego robotnika, zwrócił się Owidysz ku niemu.

— Proszę... wyjaśnij mnie pan — zapytał — gdzie leży fabryka pana Harmant?

Robotnik podniósł rękę w górę, wskazując.

— Tam dalej... — rzekł — ot! widzisz pan te nowe budynki.

— Dziękuję.

Robotnik odszedł, Soliveau wędrował dalej.

Niezdługo przybył przed wielką bramę budowli, po nad którą na mosiężnej tablicy wyryte było nazwisko:

**PAWEŁ HARMANT.**

a poniżej:

**Warsztaty budowy maszyn.**

— Do czarta! — mruknął Soliveau, — ten dom przedstawia się okazałe! Zobaczmy wewnątrz.

Skierował się ku dwioma bocznym, noszącym napis:

**Wejście.**

Zadzwoił tam.

Drzwi się otwarły, i jak w pałacu przy ulicy Murillo wyszedł odźwierny ku przybyłemu.

— Co pan żądaś? — zapytał.

— Chcę widzieć się z panem Harmant.

— W celu otrzymania roboty?

— Nie, w interesie.

— Handlowym?

— Osobistym.

— Zatem życzyś pan sobie mówić z samym panem Harmant.

— Tak.

— Udaj się pan więc do biura, tam w głębi... po lewej.

Soliveau poszedł w stronę wskazaną. Zdala, po nad różnymi częściami budynku, mającemu do stu metrów długości, widniały napisy:

**Warsztaty rysunkowe. Kasa. Biuro dyrektora robót.**

**Gabinet dyrektora.**

— Tu powinienem go znaleźć — mówił, czytając napisy. Idźmy więc śmiało. Zdaje mi się, iż nawet spostrzegam jego szacowną głowę. Śmiech naprzód mnie porywa na wspomnienie tej niespodzianki.

Przyśpieszył kroku. Drzwi biura były zamknięte.  
Nacisnął sprężynę.

Jeden z urzędników pośpieszył otworzyć.

— Co pana sprowadza? — zapytał.

— Chcę widzieć się z panem Harmant w osobistym interesie.

— Musisz pan zaczekać... Pan Harmant obecnie odbywa naradę z dyrektorem robót.

— Zaczekam, skoro potrzeba.

— Spocznij pan proszę.

Owidysz usiadł.

Harmant zamknąwszy się z Lucyanem Labroue, naradzał się z nim nad pewnemi ulepszeniami w maszynie, próbowanej tego rana. Rozmowa ich trwała blisko pół godziny. Korzystając z tego czasu Soliveau układał plan swojej kampanii.

Nareszcie otwarły się drzwi gabinetu. Wyszedł Lucyan Labroue, trzymając w ręku papiery. Spojrzał na Owidysza, a potem zwracając się do chłopca posługującego:

— Proszę nieprzeszkadzać — rzekł — panu Harmant obecnie pod żadnym pozorem, jest on zajęty... pracuje. Poczem oddalił się.

— Słyszalesz pan? — wyrzekł urzędnik do Owidysza — musisz zaczekać jeszcze.

— Zaczekam, nie pilno mi wcale.

I rozłożywszy się na krześle siedział w milczeniu. Pół godziny tak upłynęło, poczem z sąsiedniego pokoju dobiegł głos dzwonka.

Posługujący pobiegł ku drzwiom gabinetu.

— Czy to pryncypał dzwoni? — pytał Soliveau.

— Tak panie.

— Powiedz mu, że ktoś pragnie się z nim widzieć w osobistym interesie.

— Pańskie nazwisko?

— To nie potrzebne... pan Harmant mnie nie zna.



Dzwonek zabrzmiał po raz drugi, bardziej gwałtownie niż poprzednio,  
Służący pobiegł do gabinetu.

## XIII.

— Dzwoniłem dwa razy... czemu nie przychodzisz? — wołał z gniewem Harmant.

— Racz pan wybaczyć... zostałem zatrzymany przez jakiegoś nieznajomego, który chce widzieć się z panem osobiście. Oczekuje on już blisko godzinę.

— Jak się nazywa?

— Pytałem go o to, mówił, iż pan go nie zna.

— Niech wejdzie — rzekł były nadzorca — to odnieś panu dyrektorowi robót — dodał, podając chłopcu arkusze, zapisane cyframi.

Służący wzięwszy papier wyszedł, oznajmiając przybyłemu, że pryncypał go oczekuje.

Śoliveau uchylił drzwi gabinetu, czego z razu nie dostrzegł Harmant, zajęty zamykaniem na klucz kasy żelaznej, stojącej pomiędzy dwoma oknami. Na odgłos kroków wchodzącego zwrócił się i zbladł, wydawszy okrzyk trwogi. Widok Owidyusza stojącego przed nim z rękoma w kieszeniach, w kapeluszu na głowie, z miną szyderczo uśmiechniętą, napawał go przerażeniem.

— Dzień dobry kuzynie!.. Jakże twe zdrowie? — pytał paryżanin, śmiejąc się z wywołanego wrażenia.

— Ty! tu... tu... u mnie? — zawołał Garaud.

— Ja sam kuzynie... w mej własnej żyjącej postaci... Lecz do pioruna, masz minę głupią dyabelnie, jak gdybyś widmo ujrzał przed sobą! Nie biegniesz ku mnie z uściskiem... nie podajesz nawet mi ręki! Przyznasz, iż podobne przyjęcie, zaszczytu nie przynosi ci wcale!

Harmant drżał cały jak w febrze. Obecność Owidyusza pozbawiała go prawie przytomności. Przybycie tego człowieka zdawało mu się być wróżbą strasznej katastrofy.

Po kilku minutach zdołał zapanować nad sobą i podszedłszy ku przybyłemu, podał mu rękę.

— Dlaczego wracasz do Francji? — zapytał.

— Ponieważ w New-Jorku pozostać dłużej nie podobna mi było.

— A w jakim celu do mnie przychodzisz?

— Prosić cię o robotę...

— Zatem potwierdza się co pisałeś mi w liście...

— Tak... tak, niestety!

— I fabryka, którą pozostawiłem ci w tak kwitnącym rozwoju...

— Rozproszyła się z przerażającą szybkością!.. Już ona do mnie teraz nie należy. Cóż chcesz mój dobry kuzynie... — mówił siadając Soliveau — nie posiadałem twoich wysokich zdolności, jakie są niezbędnymi do prowadzenia takiego interesu... To mnie zgubiło.

— Mów raczej gra cię zgubiła, przy zielonym stoliku.

— Grałem... nie przeczę... posiadam tę obrzydłą wadę, wiem o tej lepiej, niż inni, że jestem graczem z profesji, poprawić mi się jednak z tego niepodobna!

— Przepuściłeś na karty w kilku miesiącach ogromne sumy.

— Tak w rzeczy samej... zły los jak gdyby uwziął się na mnie... Lecz na co przydać się mogą obecnie te uwagi, nie powrócą mi one straconych pieniędzy. Wyjechałem z New-Jorku ze szczupłą kwotą, która mi starczyła zaledwie na podróż. Obecnie posiadam jedyne dwadzieścia sous w kieszeni, i to co na mnie tu widzisz. Kpię sobie jednak ze wszystkiego, jestem spokojny o moją przyszłość, ponieważ o ilem ja ubogi, ty za to jesteś bogatym. Zbudowałeś fabrykę, głośną w całym przemysłowym świecie... Warsztaty twoje są wspinałami... żądaniom i zamówieniom nastarczyć nie jesteś w sta-

nie. Masz znakomity roboczy personel, tak tu, jak w Ameryce, spodziewam się więc, że znajdziesz miejsce—dodał z ironicznym uśmiechem — dla swego biednego kuzyna Soliveau, którego kochasz, a który wypłaca ci się tak dobrze za twoją życzliwość!...

Jakób Garaud zadrżał od stóp do głowy.

— Miejsce dla ciebie tu, w mojej fabryce? — odpowiedział.—Nie, to niepodobna!

— Dlaczego?—pytał Owidyusz.

Harmant zawahał się. Wyznać prawdy nie mógł, nie mógł powiedzieć:

— Ponieważ tu się znajduje syn zamordowanego przeze mnie człowieka, a gdybyś żył w pobliżu niego, jedna drobna nieroztropność z twej strony zgubiłaby mnie mogła.

Milczał przeto, rozmyślając nad odpowiedzią.

— Dlaczego?—powtórzył natarczywie Owidyusz.

— Dlatego, że nie chcę!—zawołał opryskliwie Garaud.— Zresztą nie mam żadnego względem ciebie obowiązku, nie ci dłużny nie jestem! W Ameryce uległem twym wymaganiom, dałem ci w ręce majątek. Mojaż to wina, żeś go nie umiał zachować? Jesteś zrujnowanym, czyń co chcesz teraz!

— Daremne słowa! wyrazy na wiatr rzucone!—odparł Soliveau. — To, coś uczynił, zrobić musiałeś, ponieważ nie widziałeś innego sposobu wyjścia dla siebie. Jak obróciłem temi pieniędzmi, to cię nie obchodzi, lecz cię obchodzić powinno, że jestem teraz bez grosza. Ty nie pozwolisz żyć w nędzy tak bliskiemu krewnemu, kochającemu cię tyle — dodał z ironią — który od tak dawna wieząc o wszystkim...

— Chcesz mi dać poznać — przerwał Garaud — że od twojej łaski zależę! Przykładasz znów nóż do gardła, jak w New-Yorku!

— Tst! tst! szkaradne słowa, kuzynie — zawołał, śmiejąc Owidyusz. Nie mam zamiaru grozić ci w ten sposób...

dyń wspomnienia...

— Tak, chcesz mnie trzymać w zależności przez resztę mojego życia... Powiedziałeś sobie: *Posiadam jego tajemnicę.. drży zawsze przedemną, a z bojaźni uczyni to, co zechcę...*

— No, no—kochany kuzynie—odrzekł Soliveau—istnieje może coś podobnego... przyznaję, wszakże zależy od ciebie, aby nie istniało. Powiedz wszelako, czy nie mam słuszności w tym razie?

— Mówię, że twoje postępowanie jest lotrowskiem, nikczemnem! — zawołał Harmant—że czynisz mnie ofiarą obrzydłego szantażu.

— Znowu te słowa prostaczek! pfe... wstydz się — odrzekł Soliveau; — powietrze Francyi, dziwnie cię gburowatym zrobiło. Byłeś bez porównania grzeczniejszym w Ameryce, zatraciłeś w sobie nawet uczucia rodzinne.

Głuchy gniew ogarniał Jakóba Garaud.

— Zaprzestań tych żartów idyotycznych!—krzyknął świszczącym głosem;—mniej jestem zależnym od ciebie niż sądzisz!

— Doprawdy, kuzynie? no! jakim sposobem?

— Tak! możesz mnie zgubić jednym wyrazem, lecz na co by ci się to przydało? Sądzisz więc, że ja żyjący zniósłbym podobny skandal? — Za pierwszym rozgłosem tej sprawy wypalę sobie w skroń z rewolweru, a wtedy nie dostaniesz ani grosza z mego majątku, gdyż on w całości należy do mej córki. Twoim więc interesem jest mnie oszczędzać. Wszystko, co uczyniłbyś przeciw mnie, uczynisz przeciw samemu sobie.

Soliveau pojął słuszność uwag Harmanta. Popchnąwszy go do rozpacz, zamknąłby dla siebie na zawsze jego kasę żelazną, z której czerpać miał nadzieję. Z tych więc powodów zmienił nagle ton mowy.

— Znam twoje zacne serce—rzekł najśłodszy głosem— wiem, iż nie pozostawiłbyś w nędzy swego biednego krewniaka.

— Ma się rozumieć, iż cię nie pozostawię bez środków do życia—rzekł Garaud.

— Dasz mi zatem miejsce w fabryce?

— Nie!

— Cóż więc zrobisz zemną?

— Pozwolę ci żyć bez pracy wygodnie.

— Zdala od ciebie?

— Tak. Z warunkiem, ażebyśmy się widywali o ile można najrzadziej.

— Nie jest to grzecznie, ani uprzejmie; wszakże będąc dobrym chłopcem, nakazę milczenie memu sercu i na wszystko się zgodzę. Pozwolisz mi jednak przyjść do pałacu przy ulicy Murillo dla powitania mojej kuzynki, którą szalenie kocham, bez wzajemności jednak z jej strony, niestety!

— Później, później!

— Niech i tak będzie, przybędę skoro mi na to pozwolisz. A teraz jakież masz względem mnie zamiary?

— Wyznaczę ci pensję.

— W ilości?

— Dwunastu tysięcy franków rocznie.

— To znaczy tysiąc franków miesięcznie — rzekł Soliveau, wykrzywiając usta, choć w głębi był z tego zadowolonym. — Fundusz to nader skromny — dodał — trzeba jednak ograniczyć swoje wydatki i być z tego zadowolonym. Przyjmuję więc, proszę jednak o wyliczenie mi pewnej kwoty, ponieważ stem bez grosza, a potrzebuję kupić nieco sprzętów, trochę elizny, wszystkiego mi braknie albowiem.

— Wyliczę ci zaraz pięć tysięcy franków na pomienione wydatki, dołączywszy do tego pierwszą ratę twojej pensji, którą pobierać nie przestaniesz, dopóki żyć będę.

— Może zechcesz na piśmie stwierdzić powyższe zobowiązanie?

— Na co? dlaczego? to niepotrzebne.

— W rzeczy samej — odparł z uśmiechem Soliveau — znam dobrze twą słowność. Dostanę zatem obecnie sześć tysięcy franków i każdego pierwszego dnia w miesiącu będę przychodził tu po bilet tysiącofrankowy.

— Nie, nie, nie tutaj! — zawołał żywo Garaud.

— Gdzież więc?

— Odsyłać ci będę pieniądze pod wskazany adres.

— Zatem wprost do mnie, do mieszkania, jakie wynajmę. Zostaw mi jednak nadzieję, że jeśli nie pozwalasz mi przyjść do swojego pałacu, to jako życzliwy krewny przyjdiesz uściśnić mi rękę w moim mieszkaniu.

— Przyjdę—odrzekł Harmant.

— Więc zgoda pomiędzy nami?

— Tak, ale pamiętaj, że uczyniłem dla ciebie wszystko, co mogłem uczynić; a gdybyś stawiał nowe wymagania i groził mi się poważyl, zginęlibyśmy oba.

— Bądź spokojnym — rzekł śmiejąc się Soliveau.

#### XIV.

Harmant usiadł przed biurkiem, a otworzywszy szufladkę, dobył z niej paczkę biletów bankowych, z której sześć odłączywszy, podał takowe byłemu swemu współnikowi.

— Dziękuję, kuzynie! — zawołał Owidyusz, chowając z pośpiechem bilety bankowe do kieszeni. — A teraz mam jeszcze prośbę do ciebie...

— Jeszcze?—zapytał Garaud.

— O! nie o pieniądze tu chodzi.

— O cóż więc?

— Chcę prosić, ażebyś zjadł ze mną śniadanie; podobną uroczystość kilkoma kieliszkami wina uświetnić należy.

— Dziś jest mi niepodobna zadość ci uczynić.

— Dlaczego?

— Mam czas zajęty; mnóstwo interesów do załatwienia w różnych dnia godzinach.

— Przykrą mi jest twoja odmowa; przyrzeknij jednakże, iż w innym dniu przyjmiesz moje zaproszenie.

— Gdy się urządzisz w mieszkaniu, pokażesz mi natenczas swoje gospodarstwo.

— Zgodzi! zostańmy dobrymi przyjaciółmi, a nie będziesz się na mnie uskarżał. Tak, przyjaciółmi—dodał—do śmierci! Gdybyś mnie wypadkiem zapotrzebował, pomnij, że jestem na twoje usługi.

W tej chwili dało się słyszeć lekkie puknięcie do drzwi i posługujący w biurze wszedł do gabinetu.

— Co chcesz?—odezwał się Harmant.

— Pan Lucyan Labroue zapytuje, czy może z panem pomówić?

Usłyszawszy to nazwisko, Owidyusz zadrżał i w chwili, gdy syn inżyniera przestępował próg pokoju, pożerał go oczyma.

— Odchodzę... nie przeszkadzam — rzekł—panie Harmant, liczę na pańską obietnicę.

— Nie zapomnę o tem—rzekł przemysłowiec.

Soliveau wyszedł, złożywszy głęboki ukłon obecnym. Jakób Garaud pozostał z Lucyanem.

— Jak to dobrze, że ów chłopiec wymienił przy mnie nazwisko Labroue — mówił sobie Owidyusz, idąc w stronę tramwaju — inżynier zamordowany przez Jakóba Garaud, nazywał się również Labroue. Miałżeby syn ofiary zostawać w służbie u zabójcy swojego ojca? ot! czego dowiedzieć mi się potrzeba! A! — dodał po chwili, uderzając się w czoło—otóż przyczyna, dla której mój kuzyn nie chciał mnie przyjąć do fabryki. Skoro on zatrzymał przy sobie tego młodzieńca, ma jakieś plany, to widoczne. Lecz co zamyśla uczynić? Nic nie wiem... Wkrótce jednakże odkryć to muszę, nie zaniedbawszy z tego wyciągnąć dla siebie odpowiednich korzyści.

Niespodziewane wejście Lucyana do gabinetu Harmanta nie pozwoliło temu ostatniemu rozważyć następstw przybycia Owidyusza do Paryża, gdy jednak odszedł Labroue, przemysłowiec upadł na krzesło, objąwszy obiema rękami rozpalone czoło.

— Szatan widocznie miesza się w tę sprawę!—wyszeptał zcicha.—Wszystko się łączy, aby mi mówić o przeszłości, aby mi stawiać te widma straszliwe! Lucyan Labroue! Owidyusz!

Joanna Fortier! — wołał, jak owładnięty szałem; — niosą mi szatę śmierci!... Szata ta pali me ciało... pożera kości do szpiku! I ten, ten nędznik Soliveau—mówił po chwili milczenia— on śmiał przyjść tu do mnie znów... i chciał się umieścić w mojej fabryce, znajdować się codziennie w stosunkach z Lucyanem Labroue, z którego wydobywszy szczegóły tej sprawy, odkryłby mu całą prawdę. Jedno słowo, powiedziane przezeń Lucyanowi, wystarczyłoby, aby mnie zgubić... I człowiek ten żyje na moje udęczenie... O! czemużem go nie zabił, nie zgniółł jak trującą gadzinę?! W Ameryce za pomocą złota zamknąłem mu usta, wraca uboższy niż kiedykolwiek i grozi mi!... A ja... ja mam mu być posłusznym, obawiam się go... tak, ja go się obawiam! Och! te trzy istoty, których egzystencja jest dla mnie bezustannem niebezpieczeństwem, gdybym je mógł zgladzić!

Przez kilka sekund Jakób Garaud siedział milczący, jak gdyby przytłoczony ciężarem przechodzącym jego siły, poczem zerwał się nagle, wyprostował i podniósł głowę.

— Dlaczego rozpaczac?—zawołał—Owidysza trzymam za pomocą pieniędzy... Lucyan widzi jedynie we mnie dobroczyńcę, błogosławiąc los, który go przywiódł do mnie... Joanna Fortier prędzej czy później schwytaną zostanie. Straszę sam siebie jak dziecko! Nic nie ma zagrażającego zresztą, będąc o wszystkim powiadomiony, czuwać i czuwać nie przestanę.

\* \* \*

Soliveau, przybywszy do Paryża, zaczął szukać dla siebie mieszkania. Po trzech dniach bezustannych poszukiwań, odnalazł w Batignolles za przystępną cenę mały pawilon w ogrodzie. Wynajął go, kupił meble i w ciągu czterdziestu ośmiu godzin urządził się przyzwoicie. Ukończywszy to, napisał do swego pseudo-kuzyna:

Kochany Pawle!

„Znalazłem prześliczne gniazdko w Batignolles, pod numerem 92, w pobliżu Clichy. Pragnę w niem przyjąć cię z roz-



koszą. Uprzedź mnie w wigilję dnia, w którym odwiedzić mnie zechcesz, a zamówię śniadanie w restauracyi *Ojca Lahire*, gdzie swobodnie pogawędzić będziemy mogli.“

Twój na zawsze tobie oddany  
Owidyusz.“

Harmant, odebrawszy list, spalił go po wypisaniu sobie adresu. Aby uchronić się przed oblegającymi go ponuremi myślami, przepędzał dnie całe na pracy w fabryce, opuszczając od rana pałac przy ulicy Murillo, w którym Marya, pozostawiona w samotności, nudziła się śmiertelnie. Przypomniawszy sobie o zamiarze odwiedzenia pracowni Edmunda Castel, wybrała się tam dnia pewnego ze swą przyjaciółką.

Artysta ustąpił jej jedno ze swoich płócien i wyszukiwał dla niej obrazów do utworzenia zamierzonej galeryi. Przez cały ciąg tego czasu, raz tylko widziała Lucyana i okazywała mu tyle uprzejmości ze swej strony, że młodzieniec, coraz więcej tą widoczną dobrocią zakłopotany, starał się unikać spotkania z córką milionera.

Biedne dziewczę fizycznie i moralnie cierpiało. Jej miłość niepoznana, a raczej wzgardzona, rozdzierała jej serce, zwiększając bardziej jeszcze cierpienia. Marya z dniem każdym bledszą się zdawała, nękana w przerażający sposób, tak, iż Harmant, zapomniawszy o własnych swych troskach, zaważał porady doktorów. Lekarze, nie zmieniając wydanych poprzednio poleceń, dodali w zaufaniu Harmantowi:

— Wydaj pan za mąż swą córkę, być może, iż jakieś cierpienie moralne, ukryte w jej sercu, pogarsza stan jej zdrowia.

Owóż Jakób Garaud znalazł się nagle pomiędzy dwiema ostatecznościami: wydać za mąż Maryę najrychlej lub ją utracić.

Pewnego rana dziewczę, czując, iż nie zdoła cierpieć dłużej w podobnej niepewności, postanowiło wymierzyć cios udawna przygotowany.

Znajdowała się w swoim pokoju, dokąd Harmant przychodził uściśnąć ją zwykle przed odjazdem, gdy rano wybierał się do fabryki. Zapukał tam zlekka.

— Proszę wejść—odpowiedziała Marya.

Przemysłowiec ukazał się we drzwiach.

Dziewczę już było ubrane, lecz w ów poranek zimny i szary, czując się więcej cierpiącą z powodu zmiany atmosfery, co na nią silnie oddziaływało, siedziała w pół leżąc na szeslongu pod oknem, zatopiwszy w obłokach swe smutne spojrzenie. Spostrzegłszy wchodzącego ojca, uśmiechnęła się zlekka. Bładość jej oblicza była przestraszająca, a na tych bladych policzkach dziewczęcia rysowały się gorączkowe rumieńce. Oczy jej błyszczały światłem podnieconem. Za pierwszym spojrzeniem Harmant odgadł owe złowróżbne symptomy i serce boleśnie mu się ścisnęło. Usiadłszy przy córce, ucałował ją, a ujawszy jej ręce, uczuł, że są rozpalonemi.

— Masz nieco gorączki—wyrzekł ze wzruszeniem.

— Tak... trochę—odpowiedziała.

— Żle spałaś dzisiaj?

— Bardzo źle.

Przy tych słowach suchy kaszel począł rozdzierać piersi dziewczyny.

— Ty cierpisz!—zawołał Harmant.

— Tak, cierpię, ojczy, mocno cierpię!

Dwie łzy spłynęły z oczu nędznika, w którego duszy, wziętej z wszelkich uczuć ludzkich, ojcowstwo jedynie pozostało.

— Gdzie źródło twego cierpienia?—wyjąkał z cicha.

— Tam i tu!—odpowiedziała, przykładając rękę kolejno do piersi i czoła.

— W głowie więc i w piersiach?—zapytał.

— Nie, w sercu tylko.

Morderca Juliana Labroue zdrzął.

— W sercu?—powtórzył.

— Tak, ojczy, w sercu.

- A nigdy nie mówiłaś mi o tem... ani mnie, ani doktorom?  
 — Ponieważ to od niedawna istnieje.

## XV.

— Doświadczasz zatem bicia serca?—pytał z niepokojem Harmant.

— Nie, jest to niepozwalające określić się cierpienie. Czuję, jak gdyby jakaś ręka, wsunawszy się w głąb moich piersi, uciskała mi serce. Ojczy—dodała po chwili przyciszonym głosem — chcę przed tobą złożyć wyznanie... wyjawić ci całą prawdę...

— Mów, ukochana...

— Najwyższem mojem cierpieniem—mówiła, ujmując ręce Harmanta i zwracając ku niemu oczy napelnione łzami— jest obawa zasmucenia ciebie. Pojmuję, iż marzyłeś dla mnie o tem, co nazywają świetnem małżeństwem, to się znaczy o związku z bogatą rodziną, z tytułem, z nazwiskiem... wszak prawda?

— Tak, marzyłem dla ciebie o tak wysokich koligacyach którychby ci zazdrościły wszystkie kobiety.

— A więc zaprzestań już marzyć o tem, ponieważ urzeczywistnienie tych snów jest niepodobnem. Jedno, jedyne tylko małżeństwo mogłoby mnie uszczęśliwić. Jeżeli to spełnić się nie da, nigdy za mąż nie wyjdę. Ojczy! od dwóch miesięcy cierpię niewypowiedzianie, zmuszoną będąc ukrywać przed tobą tajemnicę, jaka przytłacza mą duszę. Od dwóch miesięcy ja kocham kogoś...

Jakób Garaud zadrżał.

— Lucyana Labroue... nieprawdaż? — zawołał.

— Wiesz zatem — wyrzekło dziewczę, tuląc ku piersiom ojca swą głowę.

— Odgadłem to...

— A więc tak... ja jego kocham... kocham go nad życie... kocham go nad wszystko na świecie!..

Harmant zachwiał się i pobrał.

— Lecz biedne dziecko — wyjąknął po chwili — jest to bezrozumna, szalona miłość!..

— O! nie mów mi tego... nie mów!.. — zawołała Marya, wybuchając łkaniem; — nie staraj się mnie przekonać rozumowaniem, bo to daremne! Nic w świecie nie zdoła wyrwać z mego serca owej miłości, stanowiącej część mojej egzystencji! Zresztą dla jakich powodów miałaby to być bezrozumna miłość? Lucyan Labroue jest ubogim, a my jesteśmy bogaci... to prawda... Lecz cóż to znaczy? Lucyan Labroue nie pochodzi z książąt, ni hrabiów, lecz czyliż i my zarówno mamy prawo liczenia się do arystokracji? Dla pozyskania tytułu mamże sprzedać me serce? Ach! gdybym się czuła być zdolną do podobnej podłości, gardziłabym sama sobą! Lucyan posiada zdolność do pracy, odwagę, silną wolę, wszystko, czego potrzeba dla zdobycia sobie przyszłości... Kocham go!.. I gdyby nawet nie posiadał powyższych zalet, kochałabym go zarówno. Ty nie chcesz ojczy — mówiła dalej — abym rozłączyła się z tobą, uczynić Lucyana swoim współnikiem, a nie opuszczę cię więcej. Utworzymy jedną rodzinę; będziesz kochanym przez Lucyana jak jesteś przezemnie, zyskasz dwoje dzieci, w miejsce jednego... Czyż wszystko to nie jest więcej warte, po nad tytuły?

Jakób Garaud siedział w milczeniu.

— Wszak kochasz mnie ojczy? — zawołała dziewczyna.

— Czy cię kocham — odrzekł — ach! pytasz mnie o to, uwielbione dziecko.

I zabójca Juliana Labroue przycisnął córkę do swego serca z uczuciem najtkliwszej ojcowskiej miłości.

— Zatem nie chciałbyś widzieć mnie umarłą?

— Ciebie... umarłą... Ach! oddałbym własne me życie, ażeby twoje ocalić!

— Nie chodzi tu o oddanie życia lecz o przyjęcie Lucyana za syna... Od ciebie zależy teraz aby me zdrowie wróciło... Jeśli odmówisz... zabijesz mnie... zabijesz!

Paweł Harmant objął swą głowę rękoma, zdawało mu się, że ból rozsadzi mu czaszkę.

— Boże... mój Boże! — jęknął — ileż Ty cierpieć mi dajesz!..

— Cierpieć? — zawołała dziewczę z obawą — ależ dlaczego? To, o co cię proszę, jest tak małą rzeczą.

— Maryo!.. dziecię ukochane... — jęknął z wysileniem, nie żądaj tego odemnie...

— Dlaczego?

— Ponieważ Lucyan Labroue nie może zostać twym mężem...

— Nie chcę innego... nie chcę!.. — wołała z rozpaczą.

— Zapomnisz o nim...

— Nigdy!.. umrę raczej!.. — szepnęła głosem tak słabym jak powiew wiatru, przyciskając rękę do serca i przechyliwszy się w tył, padła zemdlona.

Harmant przestraszony, oszołomiony trwogą, ukląkł przy nogach córki.

— Maryo!.. najdroższe dziecię!.. — wołał — wróć do przytomności!.. nie umieraj! Wszystko wypełnię co żądasz... przyjmuję wszelką ofiarę... Wysłuchaj mnie... wysłuchaj, odpowiedz... Zostaniesz żoną Lucyana.

Marya nie odpowiadała, jej twarz była trupio bladą, oczy zamknięte.

Jakób Garaud szalał z przerażenia. Pochwycił ręce dziewczyny, były zlodowaciałymi.

— Umarła! — wołał jak w obłędzie — umarła!.. Ja ją zabiłem. I poskoczywszy w stronę kominka chwycił za sznur od dzwonka szarpiąc nim gwałtownie.

Na głos ten wbiegła pokojówka.

— Moja córka umiera! — zawołał chrypliwym głosem, wskazując na dziewczę leżące bezwładnie.

Służąca z okrzykiem trwogi poskoczyła ku młodej swej pani.

Jednocześnie Marya z lekka się poruszyła.

— Wraca do przytomności... — wyszepnął Harmant z odblaskiem szczęścia w spojrzeniu. Boże! miej litość nademną — wyjęknął — nie zabieraj mi jej... nie zabieraj!

I uniósłszy zemdloną zaniósł ją na łóżko.

Kilka kropel krwi ukazało się na ustach dziewczęcia.

Garaud cofnął się z przerażeniem.

Marya uniósłszy powieki spojrzała w około siebie.

— Lucyan... och! Lucyan — z cicha szepnęła.

— Uspokój się... — rzekł Harmant — pochylając się ku niej; będziesz żyła aby go kochać.

Te wyrazy jak iskrą elektryczną ożywiły chorą. Objawszy rękoma głowę ojca, ucałowała go w oba policzki.

— Dasz mi go zatem? — wyszeptwała z cicha.

— Tak... tak!

— Naprawdę?

— Przysięgam!

— Ach! jakżem szczęśliwą! — wyrzekła — radość powraca mi siły... wkrótce wyzdrowię... ja nie chcę... nie chcę umierać!

Ucałowawszy swe dziecię, Jakób Garaud wyszedł z pokoju, polecivszy ją staraniom pokojówki. Z progu zwrócił się raz jeszcze, obrzucając pełnem miłości spojrzeniem tę bladą twarz dziewczęcia, dotkniętą już prawie pocałunkiem śmierci.

— Do widzenia me dziecię — rzekł — bądź spokojną... w wieczór się zobaczymy.

Przed pałacem czekał zaprzężony powóz. Wskoczył weń przemysłowiec rozkazując wieść się do Courbevoie.

Głowa mu ogniem płonęła, ból rozsadzał piersi. Przestraszająca walka toczyła się w duszy tego człowieka, chodziło tu o ocalenie życia jego jedyne dziecko.

— Niech się co chce stanie! — zawołał z postanowieniem — małżeństwo to do skutku przyjść musi... życie Maryi

od tego zależy... dla ocalenia jej, gotów jestem poświęcić sam siebie! Tu zamilkł.

— Kto wie, czy to nie najlepszy sposób odwrócenia zemsty Lucyana — dodał po chwili — po dokonaniu małżeństwa nie śmiałyby okryć hańbą człowieka, którego córkę zaślubił. Tak! to widoczne... Marya jest moim dobrym aniołem! Ów związek napełniający mnie trwogą, zbawieniem dla mnie być może!

Przybywszy do fabryki, zaczął przede wszystkim załatwiać bieżące interesa, następnie korespondencye, poczem zwiedzał warsztaty z młodym dyrektorem robót, Lucyanem Labroue, prosząc go, ażeby wszedł wraz z nim do gabinetu.

Mimo wrodzonej swojej zręczności, Garaud czuł się być wielce zakłopotanym wobec palącej kwestyi jaką mu przychodziło wyjawić, co w rzeczy samej nie było łatwem do spełnienia, jak bowiem ofiarować rękę dziewczęcia o którą nie proszono wcale? Przypomniawszy sobie wszelako w jaki sposób działał Mortimer, na okręcie w czasie wspólnej podróży do Ameryki, również postąpić postanowił.

— Dziwnym trafem — myślał sobie — zbieg okoliczności jest tenże sam prawie. Co uczynił niegdyś względem mnie Mortimer, ja dziś zrobić mogę.

— Prosiłem pana, kochany panie Lucyanie — rzekł nagle, zwracając się ku młodemu dyrektorowi — abyś wszedł do mnie na chwilę, ponieważ w nader ważnym przedmiocie chcę z tobą pomówić.

Labroue zaciekawiony, słuchał z uwagą.

— Jesteś zadowolonym ze stanowiska jakie tu zajmujesz? — pytał Harmant.

— W zupełności — odparł młodzieniec. — Dzięki hojności pańskiej wynagrodzenie jakie pobieram nie tylko iż mi wystarcza na przyzwoite utrzymanie, ale pozwala zarazem coś na bok odkładać. Po upływie lat kilku, będę mógł zebrać pewną kwotę...

— O jakiej marzysz?

— Tak...

— I która pozwoli ci urzeczywistnić swe plany najszlachetniejsze ze wszystkich w życiu człowieka.

Lucyan patrzył ze zdumieniem w mówiącego.

## XVI.

— Dziwią cię być może me słowa — rzekł Harmant po chwili milczenia — usprawiedliwisz je wszakże usłyszawszy, że wiele o tobie mówiłem przed kilkoma dniami z panem Darier. Dowiedziałem się od niego, że najgorętszym twojem pragnieniem jest odbudowanie sobie warsztatów po ojcu pozostałych w Alfortville.

— Tak panie — odrzekł Labroue — jest to jedynym celem mojego życia, mam przekonanie, iż działając w podobny sposób, najlepiej uświęcę pamięć mojego ojca.

— Myśl wysoce szlachetna... szczytnie pojęty obowiązek — odparł przemysłowiec.

— Aprobujesz to więc pan?

— W zupełności... Uwielbiam twoje postępowanie, w dowód czego chcę ci dać możność rychlejszego osiągnięcia celu.

— Pan?

— Tak... ja sam.

— W jaki sposób?

— W najprostszy w świecie. Sam widzisz mój chłopcze — mówił z niezwykłą dobrotliwością Garaud — iż obecna nasza fabryka pomimo znacznej liczby robotników, nie jest w stanie wystarczyć licznym zamówieniom jakie z dniem każdym zwiększać się będą. Wszak to zauważyłeś, nieprawdaż?

— Tak, przypominam sobie, że nawet zwracał pańską uwagę, iż przyjdzie chwila, gdzie będziesz zmuszonym nabyć grunt nowy, dla wystawienia drugich warsztatów.

— I miałaś słusność... chwila ta właśnie nadeszła.

— Masz pan jakie grunta na widoku?



— Tak... twoje.

— Ależ ja nie chcę ich sprzedać! — zawołał żywo Labroue.

— Ja ci też nie proponuję kupna... bynajmniej...

— Lucyan patrzył zdumiony w mówiącego.

— Po długim i głębokim rozmyślaniu, zgłębianiu za i przeciw — mówił Garaud — wypadło, iż chcąc nadać rozwój przynależny mojemu przemysłowi, potrzeba mi zdolnego a doświadczonego człowieka na mojego wspólnika. Wspólnika tego wybrałem... Ty nim będziesz.

— Ja?! ja pańskim wspólnikiem — zawołał Lucyan, oszołomiony tą propozycją, w którą nie mógł uwierzyć.

— Tak... ty! powtarzam.

— Lecz panie... moje grunta w Alfortville nie przedstawiają w tysiącnej części wartości pańskich warsztatów i materiałów...

— Wiem o tem... i nie troskam się tem wcale. Posłuchaj mojej propozycji panie Labroue. Na gruntach jakie posiadasz w Alfortville, każę moim kosztem zbudować tak wielką jak ta, fabrykę i aktem notaryalnym uczynię ciebie jej właścicielem... Fabryka ta stanowić będzie połowę spółki z twojej strony. Oba te zakłady jednocześnie będą funkcjonowały i corocznie dochodami w równej połowie dzielić się będziemy. Widzisz, że nie bardziej prostego. Jakże uważasz tę propozycję?

— Znaje mi się panie, słuchając ciebie, że śnię, że marzę...

— Nie, to nie marzenie... ofiaruję ci to w rzeczywistości.

— Lecz panie... ja przyjąć nie mogę...

— Dlaczego?

— Ponieważ nie zasłużyłem na podobną ofiarę...

— A czy wiesz w jaki sposób ja doszedłem do majątku? Czy wiesz jak skromny, ubogi mechanik, jakim ja byłem, posiadający jedynie zdolność i odwagę, stałem się wspólnikiem Mortimera? — mówił Harmant.

*Rechny  
Mortimer*

— Siłą pracy?..

— Zapewne... lecz nie w tem znaczeniu jak ty pojmujesz. Ów wielki amerykański przemysłowiec, odkrywszy we mnie specjalne mechaniczne zdolności, zrobił mnie współnikiem, ofiarując mi rękę swej córki.

Lucyan zbladł i zadrżał.

— Dlaczegoż nie miałbym pójść za przykładem Mortimera — mówił Garaud dalej — dlaczego miałbym się okazać mniej wspaniałomyślnym? Część majątku, jaką ci proponuję, stanowiłaby posag mej córki...

— Panna Mária miałaby zostać mą żoną?—jąkał Lucyan zmieszany.

— Tak jest... — odpowiedział były nadzorca z przymuszonym uśmiechem. — Moja córka wyróżniła ciebie zśród wielu, oceniła rzeczywistą twą wartość... wyznała mi to dzisiaj. Zgadzam się na jej wybór, ponieważ poważam cię i kocham prawdziwie, byłbym przeto szczęśliwym mogąc cię nazwać swym zięciem.

— Panie... — zawołał żywo Labroue — ofiara, jaką chcesz dla mnie uczynić, dowodzi poważania i zyczliwości z twej strony, dumny z niej jestem, ale powtarzam, przyjęć jej nie mogę.

— Dlaczego? — zapytał Garaud niespokojnie.

— Zbyt wielki to zaszczyt dla mnie...

— To nie przyczyna...

— Przyjm ją pan za usprawiedliwienie...

— To wybieg z twej strony... Widzę, że mnie nie rozumiałeś. Mówiąc, że Mária wyróżniła cię zśród wielu, powinienem był powiedzieć raczej, że ona cię kocha. Tak, biedne to dziecię kocha cię całym sercem, kocha... ze wszystkich sił swoich...

— Panie Harmant — rzekł Lucyan ze wzruszeniem. — Otwartość pańska, szczerem być mi nakazuje. Byłbym nikczemnym, gdybym nie uczuwał dla pana wdzięczności, ale z tem niestety łączy się smutek głęboki...

w2

— Jako? — zapytał Garaud.

— Zmuszony jestem zasmucić pana odmową...

— Bezrozumną, nie opartą na żadnej słusznej zasadzie—  
zawołał przemysłowiec.

— Przeciwnie... na najszlachetniejszej z pośród tych, jakie  
istnieją... Sercem mojem już rozporządzać nie mogę...

— Kochasz więc kogoś?..

— Tak, młode dziewczę, którą przyrzekłem zaślubić...  
i nie w świecie nie znagli mnie do złamania tej przysięgi!..

— Dziewczyna bez majątku zapewne...

— W rzeczy samej, jest ona ubogą.

— Mój Lucykanie... miłość przemija... pieniądz pozostaje.

— Miłość moja dla niej nigdy się nie zmieni, majątek  
jest dla mnie niczem, wobec rozkoszy serca.

— Rozmyśl się...

— Rozmyślanie nie zmieni mego postanowienia...

— Wspomnij, że Marya cię kocha...

— Wszakże pan powiedziałeś przed chwilą: *Miłość  
przemija...*

— Ach biedne to dziecko jest silnie zagrożonem... ona  
może umrzeć wskutek twej odmowy...

— Skromność nie pozwala mi w to wierzyć... Błagam  
cię panie, nie nalegaj więcej!

— Nie będę nalegał... ale powtarzam, rozważ to dobrze...  
Całą swą przyszłość stawiasz na kartę... pamiętaj!

Lucyan podniósł się z krzesła.

— Zastanów się — powtórzył znacząco Harmant.

Młodzieniec skłoniwszy się, wyszedł.

Skoro drzwi zamknął, Garaud zaczął przebiegać gabinet  
szybkimi krokami.

— Kocha więc... — mruknął ponuro — kocha ubogą  
dziewczynę bez majątku. Nie chce zaślubić mej córki... a ta  
— go odmowa śmiercią stać się dla niej może! Nie, nie. — za-  
wołał po chwili milczenia—tak nie będzie... nie... nigdy! Pierw-  
zeństwo mej córce... ona przed innymi! Tę kobietę, która

fa  
fuzaję  
jest

opanowała Lucyana, ja odnaleźć muszę, a jeśli stawać mi będzie przeszkodą, skruszę ją, w proch zetnę... Niechaj świat ginie, aby tylko żyła ma córka!

\*

\*

\*

Marya oczekiwała na przybycie ojca, z łatwym do zrozumienia niepokojem. Po przeminięciu omdlenia zasnęła; sen ten, trwający kilka godzin, pokrzepił znacznie jej siły. Po południu dnia tego kazała się zawieść do pani Augusty, swojej modniarki. Jednocześnie z nią prawie Łucya tam przybyła.

— Ach! jak to dobrze, że cię spotykam—wyrzekła panna Harmant—zasłużyłaś na ciężką naganą.

— Ja na naganą... ze strony pani? — odrzekła szwaczka ze zdumieniem.

— Tak, tak!

— Z jakiego względu?

— Nie przyszedł mnie odwiedzić...

— Nie mając roboty do odniesienia, nie śmiałam naprzykrzać się pani.

— Źle mówisz, obecność twoja w każdym razie sprawia mi przyjemność; proszę więc, przychodź, ile razy znajdziesz wolną chwilę. Chcę właśnie zamówić u pani Augusty kilka dla siebie kostiumów, będziesz więc musiała przychodzić dla przymierzania mi takowych.

— Chętnie to uczynię.

— Wiesz, Łucyo—mówiła Marya dalej—przyszedł mi pevien kaprys w tej chwili.

— Cóż takiego, pani?

— Przyjadę do ciebie... chcę cię odwiedzić.

— Rzecz to dla pani łatwa do spełnienia—odpowiedziała szwaczka z uśmiechem. Znajdziesz pani u mnie skromny pokoik na szóstym piętrze, w którym z całą serdecznością przyjętą zostaniesz.

— Nie wątpię o tem, podaj mi swój adres.

Łucya nakreśliła na kartce papieru ulicę i numer domu, w którym zamieszkiwała.

— Przyjadę zatem do ciebie w niedzielę—mówiła Marya, chowając adres w pugilaresik.

Młoda szwaczka już miała odpowiedzieć: Zastaniesz pani u mnie prawdopodobnie mojego narzeczonego, Lucyana Labroue, jednego z pracowników w fabryce twojego ojca — gdy nagle wejście pani Augusty wstrzymało jej słowa. Modniarka poleciła Łucyi pójść przymierzać suknię jednej z przybyłych klientek, dziewczę, skłoniwszy się córce milionera, szybko wybiegło.

Marya, ażeby sobie czas zająć czemśkolwiek, wybierała wzory kostiumów w salonie pani Augusty, następnie kazala się zawieźć do lasku Bulońskiego, poczem wróciła na ulicę Murillo.

Była natenczas piąta. Należało jej oczekiwać na powrót ojca jeszcze dość długo. Harmant, przewidując to niespokojne ze strony córki oczekiwanie, umyślnie opóźniał przybycie, zapytując z trwogą sam siebie, co on odpowie na jej badania.

Nadeszła siódma godzina, powracać trzeba było koniecznie. Wsiadłszy z powozu, przybrał spokojny wyraz twarzy i wszedł do pokojów Maryi. Dziewczę wybiegło na jego spotkanie, rzucając mu się w objęcia.

— Jakżem szczęśliwy—rzekł—widząc cię zdrową.

— O! tak, zupełnie, mój ojcze... Po twoim odjeździe zasnęłam, a po przebudzeniu uczułam się zdrową prawie zupełnie. Dla rozerwania się pojechałam do mojej modniarki, aby zamówić u niej kostiumy. Szczęście, że jesteś bogatym—dodała żartobliwie—rachunek bowiem pani Augusty będzie zawierał cyfry kolosalne. Po tej wizycie przejechałam się wzdłuż alei i powróciłam, oto sprawozdanie z dnia całego... No, a ty ojcze—pytała dalej—jakąż mi przynosisz wiadomość, radość albo przynajmniej nadzieję?

— Tak, przyniosę ci nadzieję — odrzekł bez wachania Harmant.

— Mówiłeś Lucyanowi, że go kocham?  
Przemysłowiec usiłował się uśmiechnąć.

— Do czarta!—zawołał—biegniesz zbyt prędko! A przy-  
zwitość, drogie me dziecko? Zapominasz, iż to nie wypada...

— Nie, ojcze! pamiętam o tem dobrze — słowo to wy-  
biegło pomimowolnie z ust moich! Nie wykraczając jednak  
przeciw przyzwitości, mogłeś dać poznać Lucyanowi, że był-  
by dobrze przyjętym...

— Uczyniłem to właśnie. Pokierowałem zrećźnie roz-  
mowę na przedmiot jego gruntów, które posiada w Alfortville,  
dodając, że fabryka, na tych gruntach zbudowana, stanowiłaby  
posag mej córki.

— Ach!—zawołała Marya—jak to było dobrze pomyśla-  
ne, jak zrećźnie, mój ojcze... niechże cię za to ucałuję!

## XVII.

— Cóż na to odpowiedział Lucyan?—pytała dalej, okry-  
wając ojca pieścizotami.

— Labroue jest człowiekiem pełnym delikatności i hono-  
ru—odrzekł milioner—nie chciał zrazu uwierzyć, ażeby moje  
propozycje były stawiane na seryo. Przyopuszczenie go do  
współnictwa, a zarazem i związku z tobą, uważał za niepodo-  
bne ze względu na swe obecne położenie.

— Lecz przyjął nareszcie, przyjął? — pytała Marya go-  
rączkowo.

— Tak, przyjął, lecz z tą wrodzoną delikatnością, jaka  
cehuje jego postępowanie, a o której mówiłem ci przed chwilą.  
Położył jednak pewien warunek ze swej strony...

— Jaki?—zapytała drżąca.

— Lucyan jest badaczem w przemyśle, lubi śledzić, szu-  
kać, dochodzić. Obok robót, prowadzonych przezeń w fabry-  
ce, wynalazł maszynę, która może mu przynieść wiele pienięd-  
zy. Pragnie więc przed ziszczeniem naszych projektów wpr

64  
wadzić w czyn wspomniony wynalazek. Dochód z niego chce wnieść jako fundusz do naszej wspólki, by tym sposobem jego miłość własna upokorzona nie została.

Nic bardziej nie mogło być prawdziwego nad powyższe słowa, wymówione spokojnie, tonem zupełnie naturalnym. Marya nie mogła podejrzewać żadnego kłamstwa.

— Postanowienie jego w tym razie cechuje duszę szlachetną—odpowiedziała; mimo, że ono opóźni me szczęście, przyjmuję i zgadzam się na to zupełnie. Ale o jednej, a najważniejszej rzeczy nic jeszcze, ojcze, dotąd mi nie powiedziałeś... Czy Lucyan mnie kocha?

Pytanie to, tak ważne dla młodego dziewczęcia, było dla Harmanta niezmiernie kłopotliwem. Zniewalało go ono do kłamstwa, jeżeli nie chciał zranić serca swej córki.

— Któżby cię nie kochał, mój skarbie? — odrzekł nieco chwiejnym głosem.

— To nie odpowiedź!—zawołała żywo; — pytam, czy *on* mnie kocha?

— Powinnaś zrozumieć — rzekł przemysłowiec poważnie— iż wobec przepaści, jaka was dzieli ze względów majątkowych, nie śmiał dotąd marzyć o tobie i nawet przed samym sobą, być może, ukrywał tę miłość. Widzę, że on jest bojaźliwym. Nie złożył mi więc wyraźnego wyznania, z rozpromienionego wszelako jego oblicza i blasku jego spojrzenia wnoszę, że tak być musi.

Marya pobladła.

— Jesteś tego pewien?—pytała.

— Najzupełniej. Wyraz jego twarzy omylić mnie nie mógł; reszta—dodał po chwili—skoro się zgadza na to małżeństwo, kochać cię musi. Lucyan bowiem nie jest człowiekiem, który by się sprzedał dla majątku.

— Wierzę w to wraz z tobą, mój ojcze. Lecz powiedz, jak długiem ma być to oczekiwanie.

— Nie mogłem mu przecież wyznaczać terminu. Na urzeczywistnienie wynalazku Lucyana będzie zapewne potrzeba kilku miesięcy.

— Dobrze, będę cierpliwa... Lecz on częściej nas odwiedzać będzie... okaże, iż mnie kocha?

— Powtarzam ci, że Luéyan jest bojaźliwym, nieśmiałym...

— Lękliwość kochać nie przeszkadza... Zresztą, widując się z nim częściej, sama go do tego ośmielę... Obecnie, skoro należy prawie do naszej rodziny, możesz go, ojcze, traktować już nie jako współpracownika, lecz jako przyszłego zięcia swego.

— Właśnie, tak postępować postanowiłem.

— Ach, jakżem szczęśliwą!— wołała Marya uradowana— będę czekała dopóki będzie potrzeba, ale ty, ojcze, staraj się skrócić o ile można owo oczekiwanie.

— Przyrzekam ci to. Radbym również, by jaknajrychlej doszło do skutku to małżeństwo.

— Jakżeś dobrym! — wołała, okrywając go pieścizotami.—Dzięki tobie, córka twa będzie najszczęśliwszą z kobiet!

Tu przeszli oboje do jadalni.

Przemysłowiec zapytywał z trwogą sam siebie, w jaki sposób zdoła wydobyć się z położenia, w które wszedł, czyniąc kłamliwe obietnice swej córce. Nagle myśl mu jakaś zabłysła, rozjaśniając zasepione czoło.

— To małżeństwo ocali ją! — rzekł sobie—trzeba więc, ażeby się spełniło.

Marya podczas obiadu była niezwykle wesołą, zmieniła się do niepoznania, ślady choroby zniknęły.

Harmant nazajutrz miał udać się bardzo rano do Courbevoie, ażeby czuwać nad przesyłką wielkich części mechanicznych do Bellegarde, gdzie budowano fabrykę nad brzegiem Rodanu. Główny mechanik oraz dwóch robotników, mieli towarzyszyć konwojowi temu i ustawić na miejscu maszyn. Nieobecność ich miała się przeciągnąć do trzech tygodni.



Było to w sobotę. Termin przesyłki drogą żelazną oznaczony został na poniedziałek. Przybywszy do fabryki, Garaud znalazł Lucyana na stanowisku, doglądającego robotników. Powitał go życzliwie, podając mu rękę. Labroue, spodziewając się oziębłego przyjęcia po ostatniej rozmowie, został tem nieco zmieszany.

— Wykończasz pan roboty do Bellegarde? — zapytał przemysłowiec.

— Tak, panie.

— Jak dużo jeszcze brakuje do ostatecznego uzupełnienia.

— Bardzo mało. Za godzinę zaczniemy pakować.

— Skrzynie przygotowane?

— Pójdę zobaczyć do warsztatu stolarzów.

— Trzeba, ażeby jutro o pierwszej godzinie transport znajdował się na stacyi drogi żelaznej.

— Będzie tam nieodmiennie.

— Uprzedziłeś pan dwóch mechaników i nadzorcę, że mają jechać dla ustawienia maszyn?

— Wyjadą w poniedziałek zrana.

— Jednocześnie z nimi wyślesz pan pośpiesznym pociągiem części potrzebujące dokonania robót murarskich, aby przybyły na miejsce przed nadejściem pociągu.

— Wszystko już przewidziałem i wydałem ku temu stosowne polecenia.

— Niechaj przywiozą z Bellegard plany nowej konstrukcyi, mam bowiem myśl pewną... przydatnem mi to być może... pańska obecność tam, panie Labroue—dodał—byłaby dla mnie wielce pożyteczną!

— Jeżeli pan sobie życzysz, mogę jechać—rzekł Lucyana.

— Radbym.. Chodzi tu o utrzymanie stosunków z domem, z którym będziemy prowadzili interesa na olbrzymie sumy pieniężne. Przyzwoliciej więc byłoby, ażebyś mnie pan tam niejako reprezentował. Jakże pan uważasz, panie Labroue?

— Zdanie pańskie jest mojem zdaniem—rzekł Lucyan. Kiedyż mam wyjechać?

— W poniedziałek, razem z mechanikiem, nadzorcą i robotnikami:

— Dobrze.

— Dziś po południu dam panu ostateczne rozporządzenia. Czuwaj pan, ażeby transport dziś został przygotowanym, a jutro równo ze dniem odszedł na drogę żelazną.

— Będę tu, panie, nocował dla nadzoru i sam odprowadzę pakunek.

— Dziękuję. Na kosztą podróży i utrzymanie otrzymasz pan odemnie pięć tysięcy franków.

— Ależ to za wiele!

— Ja tak chcę! — wyrzekł stanowczo Garaud.—Dla zastąpienia siebie przez ten czas w fabryce, wybierz pan dwóch najzdolniejszych nadzorców.

— Gilbert jest bardzo zdolnym, jego więc obiorę.

— Dobrze. Chciej mi donosić codziennie, co się dzieje w Bellegarde, ażebym wiedział, jak postępuje robota. Wiele mi na tem zależy...

— Nie zaniedbam tego uczynić.

Pó tych słowach rozeszli się oba. Harmant wszedł do swego gabinetu, Lucyan udał się do warsztatów.

— Dochodzę wreszcie do celu—rzekł przemysłowiec, ujrawszy się samym. Nieobecność Lucyana potrwa co najmniej dwa tygodnie, a jeśli będzie potrzeba, przedłużyć ją potrafię. Przez ten czas Marya dręczyć mnie przestanie, zyskam czas na dowiedzenie się o wszystkim. Jakaż to kobieta opanowała Lucyana, jakiej on intrygantce przyrzekł małżeństwo? Ot, co chciałbym wiedzieć! Jak jednak tego dokonać—nie wiem obecnie... Przysięgam wszelako, że wiedzieć będę! Biada tej, która staje jako rywalka naprzeciw mej córki! Skruszę ją! zgładzę!... Zgładzić... — szepnął po krótkim milczeniu—znów zbrodnia, jak przed laty dwudziestu!... Tak, lecz jeżeli ta zbrodnia ma ocalić me dziecko, nie zawacham się przed nią! Zresztą,

mogę działać, nie kompromitując się wcale... Jestem dosyć bogatym, aby zapłacić za zniknięcie kobiety. Paryż jest zapełniony ludźmi o giętkim sumieniu, którzy za garść złota gotowi są do wszystkiego. Udam się do jednego z tych właśnie...

Tu, przemierzając wielkimi krokami gabinet, zatrzymał się nagle.

— Lecz wspólnik...— wyszeptał—byłoby to znów poddać się w zależność tego człowieka, jak to ma miejsce z Owidyuszem Soliveau.

Wymówiwszy to imię, drgnął nagle.

— Owidyusz Soliveau...— powtórzył —dlaczegożbym nie miał się zgłosić do niego? Jego obowiązkiem jest wyświadczyć mi przysługę, a chęć zarobienia pieniędzy, uczyni go zdolnym do wszystkiego! Tak, Soliveau jest narzędziem, jakiego mi potrzeba... Przedewszystkiem jednak chcę poznać tę dziewczynę, którą Lucyan poprzysiągł zaślubić. Gdy jej nie będzie na świecie, z radością przyjmie on rękę Maryi i moje miliony!

## XVIII.

Po chwili milczenia Garaud mówił dalej:

— Lucyan odjeżdża... Źle zrobiłem, wysyłając go w drogę tak rychło, a uczyniłem to z obawy, aby nie spotkał się z Maryą i kłamstwo na jaw nie wyszło. Jego nieobecność znagli mnie do przyspieszenia poszukiwań kobiety, którą kocha, a której pozbyć się trzeba... Może byłoby lepiej opóźnić jego wyjazd?... Nie, nie! — wyszeptał po krótkim namyśle—niech jedzie!... Dowiem się o wszystkim od Jerzego Darier, któremu zapewne się zwierzył. Trzeba mi również widzieć się z Owidyuszem, bym wiedział, czy mogę na niego rachować... Dziś wieczorem pojedę do niego.

Około czwartej Lucyan przyszedł powiadomić Harmanta, że pakowanie różnych części maszyn, przeznaczonych do Bellegarde, ukończonem zostało.

— Dobrze — rzekł przemysłowiec. — Oto plany robót—  
dodał, biorąc leżące na biurku papiery—wykonasz je w Belle-  
garde, a tu wskazówki co do ich spełnienia. Jadąc, wystuduj  
je dobrze, ażebyś mógł po przybyciu na miejsce pomówić o nich  
z klientami.

— Dane mi polecenia wypełnię dokładnie—rzekł La-  
broue.

— Masz tu dwie asygnacje, udaj się z niemi do kasy.  
Pierwsza na sumę pięciu tysięcy franków, przeznaczoną jest  
dla ciebie na wynagrodzenie; z drugiej na sto pięćdziesiąt fran-  
ków, zapłacisz jadących z sobą robotników. Proszę cię—do-  
dał — kochany Lucyanie, zechciej podwoić swoją czynność  
i gorliwość.

— Będziesz pan, mam nadzieję, w zupełności ze mnie za-  
adowolonym—odparł młodzieniec.

— Wyjedziesz zatem w poniedziałek rano?

— Tak, panie, pierwszym pociągiem.

— Jedź szczęśliwie, mój chłopcze, i pisuj do mnie co-  
dziennie.

— Nie zapomnę o tem.

— A więc nie zobaczymy się już prawdopodobnie przed  
twoim odjazdem, ponieważ ja wracam do Paryża.

Labroue, uściskawszy podaną sobie rękę pryncypała, wy-  
szedł. Harmant kazał zaprzęgać do powozu.

— Mam jechać, panie, do domu, na ulicę Murillo?—zapy-  
rał go stangret przy wsiadaniu.

— Niel jedź do Batignolles, na ulicę Olichy...

— Pod numer?

— Niepamiętam — odparł Garaud, zatrzymasz się na  
rogu — ja wysiądę i pójdę.

Przybywszy w miejsce wskazane, Jakób wysiadł z po-  
wozu, a rozkazawszy czekać woźnicy, udał się pieszo pod nu-  
mer przez Owidyusza podany.

Wkrótce znalazł się przed wysokim murem, w którym  
sposstrzegł małe drzwi boczne. Z po za muru wyzierał dach

małego pawilonu, otoczonego drzewami. Pociągnął za dzwonek. Kilka minut upłynęło w milczeniu, poczem dały się słyszeć kroki idącego.

Drzwi się otwały, a w nich ukazał się Soliveau, wygolony, w nowym cylindrze, z parasolem w rękę, od stóp do głowy starannie, z elegancją ubrany.

Poznawszy przybyłego, wydał okrzyk zdumienia.

— Ty kuzynie! — rzekł — ty u mnie?.. Szczęściem, żeś się pośpieszył, pięć minut później a nie zastałbyś już mnie w domu.

— Widzę, że miałeś zamiar wyjścia — rzekł Garaud — czy jaki ważny interes zagnała cię ku temu?

— Bynajmniej — odparł Soliveau — chciałem się przejść po bulwarach, o! wszystko i wypić kieliszek absyntu.

— Wróć więc wraz ze mną do mieszkania, chcę z tobą pomówić.

— Jestem na twe rozkazy kuzynie.

Tu pozwolewszy wejść Jakóbowi, zamknął drzwi za nim.

Podczas wyż przytoczonej rozmowy, Soliveau śledził bacznie wyraz twarzy przybyłego. Oblicze to było ponurem, z kąda wniósł, iż odwiedziny te cel ważny mieć musiały.

— Czyś spotkał jaką zaporę na swej drodze? — zapytał z cicha mniemanego kuzyna.

— W mieszkaniu wszystko ci opowiem.

Owidyusz przeprowadził przemysłowca przez ogródek, otworzył przed nim drzwi pawilonu i wprowadził go do pokoju skromnie umeblowanego, lecz odznaczającego się nader starannem utrzymaniem.

— Widzisz — zawołał, śmiejąc się głośno — od czasu, jak żyję z wyznaczonej mi pensyi, stałem się porządnym człowiekiem. Posługaczka przychodzi mi uprzątać co rano, nie mogę sobie na żaden zbytek pozwolić... mimo to jednak, schludnie jest u mnie i czysto, nieprawdaż? No, przypatrz się proszę i osądź.

— Dobrze się urządziłeś... ale nie o to tu chodzi — odrzekł Garaud. — Moje odwiedziny mają cel ważny... Siadajmy!

— Chciałbym pójść na obiad — rzekł Soliveau.

— Spożyjemy go razem. Korzystam z zaproszenia, które mi niegdyś uczyniłeś.

— Nie mogliśmy pomówić przy obiedzie?

— Nie!

— Rozmowa nasza zatem wymaga drzwi szczelnie zamkniętych. Ehe!.. nie lada sprawa to... widzę...

— Osądźsz.

— Siadaj więc kuzynie i zdejmuj okrycie.

Garaud stojąc w milczeniu, przesunął ręką po czole.

— Podczas ostatniej twojej bytności w Courbevoie — zaczął przyciszonym głosem — powiedziałaś mi, że będziesz gotów na moje usługi, jeżeli zapotrzebuję ich kiedy..

— Tak... i potwierdzam to obecnie... Przyszedłeś mi z pomocą w mem ciężkim położeniu, postąpiłeś jak człowiek żywiący w sercu rodzinne uczucia... nie kręciłeś, nie manewrowałeś, ztąd mam dla ciebie szacunek. Powtarzam przeto, rozporządzaj mną, jak zechcesz, jestem gotów uczynić dla ciebie wszystko, co jest w mojej mocy.

— To właśnie, jedynie od ciebie zależy...

— Mów więc, słucham cię...

— Uczyniszże wszystko co ci rozkażę? — pytał Harman. — Lecz pojmiij dobrze znaczenie tego wyrazu: *Wszystko*.

Owidyusz utkwiał badawcze spojrzenie w mówiącego.

— Rozumiem do pioruna! — zawołał. — *Wszystko*, to znaczy, iż powinienem być posłusznym wszelkim twoim rozkazom, chociażby nawet chodziło o zrobienie małego fajerwerku, jakęś ty to kiedyś uczynił... Wszak prawda?

— Więcej niż to — rzekł Garaud.

Soliveau cofnął się osłupiały.

— Do tysiąca czartów! — zawołał — jeśli nie chodzi o ogień... zatem idzie o krew?

— W takim wypadku cóżbyś odpowiedział?

— Że to nie leży w moim charakterze. Jestem dzielnym chłopakiem, lecz łagodnego usposobienia...

— Chodzi tu o moje ocalenie!.. a pojmujesz, że mnie ocalić, jest to zachować tobie pozycję, jaką ci wytworzyłem.

— Znalazłżebyś się w niebezpieczeństwie? — zapytał żywo Owidyusz, drżąc na myśl utracenia swej pensyi.

— Tak — odparł Garaud.

— A więc jestem gotów na wszystko, bez wyjątku. Co tobie zagraża... mnie groził! Ty jesteś moim dostarczycielem kapitału, obowiązkiem jest mym przeto bronić twej nietykalności... Miałażby przeszłość po dwudziestu dwóch latach na wierzch wypłynąć? — pytał dalej Soliveau.

— Tak!

— Istnieje wszak przepis przedawnienia...

— Niema przepisu wobec skandalu, a on może mnie tak zgubić, jak wyrok sądu.

— Wytłomacz się dobrze... Chcąc działać, potrzebuję znać słabą i silną stronę położenia twego kuzynie.

— Opowiem ci wszystko. Za moim przybyciem do Paryża, dyabelski traf rzucił na moją drogę syna Juliána Labroue.

— Tego, który jest u ciebie w fabryce?.. Wiem... wiem o tem.

— Zkąd? — zapytał Garaud zdziwiony.

— Wiem doskonale... Wymówiono wobec mnie jego nazwisko, podczas mojej bytności u ciebie w gabinecie. Do czarta! mam przecież trochę w głowie oleju... odgadłem, że to jest syn tamtego i to postąpienie uważam być mistrzowskiem z twej strony! Przyjąłeś go bowiem do fabryki w tym celu, ażeby go mieć bezustannie pod ręką, przed oczyma, wiedzieć co mówi, co myśli i czyni. Tak! słowo honoru, jesteś mistrzem nad mistrze, kuzynie!

— Ztąd też poznałem myśli Lucyana Labroue.

— A te myśli jego są?..

— Niewzruszone... Celem jego życia jest pomścić śmierć ojca...

— Ten chłopak szuka południa o czternastej godzinie, jak widzę — zawołał Owidyusz. — Śmierć jego ojca została pomieszczoną wyrokiem sądu, który skazał Joannę Fortier na dożywotnie więzienie...

— On utrzymuje, że Joanna tego nie popełniła, że jest niewiną — rzekł Harmant.

— Tak... a dlaczego?

— Ma on przecucie prawdy. Oskarża Jakóba Garaud, w którego śmierć nie wierzy.

— Do kroć piorunów!.. to całkiem zmienia stronę medalu!.. W obec podobnych okoliczności, obecność Lucyana Labroue niebezpieczeństwem ci groził!

— Nadewszystko, gdyby fatalność dała mu spotkać Joannę Fortier i gdyby ta kobieta mnie poznała...

— Spotkanie to jest niepodobieństwem.

— Dlaczego?

— Ponieważ wdowa Fortier jest w więzieniu i nigdy z niego nie wyjdzie.

— Uciekła... jest wolną!..

## XIX.

Na te wyrazy drgnął Soliveau, jakby piorunem rażony.

— Uciekła... jest wolną?.. — powtórzył. — Do miliona czartów, zła sprawa. W takim razie mogą spotkać się z sobą, a do tego dopuścić nie należy. Zatem Lucyan Labroue jest ci przeszkodą i o usunięciu jego tu chodzi...

— Nie — odrzekł Garaud.

— O Joannę Fortier być może?

— Nie wiem, gdzie ona znajduje się teraz.

— Nie mam zdolności do rozwiązywania zagadek — zawołał Owidyusz — mów jasno.



— Zaraz ci wytłómaczę. Wiesz ile kocham mą córkę...

— Trzeba ci oddać tę sprawiedliwość, że pod względem ojcowstwa za wzór służyć możesz! Gotów byś spełnić dla niej najwyższe szaleństwo!

— Dla niej podpałilibym Paryż... uśmiercił świat cały, gdyby to było w mojej możności. Kocham ją niewypowiedzianie i gdyby umarła... a wiesz, że jest chorą...

— Niech żyje... i jak najdłużej—wykrzyknął Soliveau.—  
Lecz zkąd te myśli ponure? Jakąż łączność z tem wszystkim  
two córka mieć może?

— Zrozumiesz za jednym wyrazem.

— Mów zatem...

— Marya kocha Lucyana Labroue...

— I to cię martwi? — zawołał Owidyusz. — Wyraźnie niedoleżniejesz mój stary... Nie poznaję cię, do kroć piorunów! Ależ miłość tej dziewczyny dla Lucyana Labroue, to twoje zbawienie! Oddaj mu jaknajprędzej swą córkę, a wszystko dobrze się skończy. Skoro mer wypowie swoje *conjungo*, nie będziesz potrzebował wówczas obawiać się już niczego. Przypuśćmy, że Lucyan zostawszy twym zięciem i współnikiem spotkałby Joannę Fortier... Przypuśćmy, że ta kobieta zdoła przekonać go, iż nie jest winną, że razem zaczną poszukiwać prawdziwego podpalacza z Alfortville, prawdziwego mordercę Juliana Labroue i że go odnajdą nareszcie... Czyż sądzisz, że Lucyan okryłby hańbą człowieka, którego córkę zaślubił? Nigdy... nigdy w życiu!

— Liczyłem na to, poznawszy miłość Maryi dla Lucyana — odrzekł Garaud.

— I cóż?

— Małżeństwo, to jest niepodobnem...

— Do czarta! Byłżeby żonatym?

— Nie! lecz kocha młodą dziewczynę, którą poprzysiągł zaślubić.

— Jest ona majątną?

— Nie posiada ani grosza...

— Ach! to idyota! żenić się z taką... głupie... głupie zwierzę!

— Mimo to wszystko, odmówił przyjęcia ręki mej córki.

— Zaczynam po trosze rozumieć... Tę więc to srokę, która wstrzymuje bieg twych projektów usunąć z drogi należy...

— Tak... o nią tu chodzi.

— Gdy zniknie, Lucyan Labroue nie wypuści z rąk twoich milionów.

— Jedyny to sposób ocalenia mej córki.

— A więc biorę na siebie tę sprawę — rzekł Soliveau. — Położyłeś we mnie zaufanie, godnie mi więc temuż odpowiedzieć należy. Zgłaszasz się do mnie... to mi pochlebia. Jestem oddany tobie w zupełności. Bądź spokojny, wkrótce twa córka zostanie żoną Lucyana Labroue... Ale... jakże się nazywa ta papuga o jaką nam chodzi... gdzie mieszka?

— Nie wiem tego.

— To objaśnienie, do pioruna!.. niedaleko mnie zaprowadzi...

— Prawda... lecz wymyśliłem agenta który dopomóż nam może w wykryciu tego, czego potrzebujemy...

— Któż to taki?

— Posłuchaj... Wysyłam Lucyana na trzy tygodnie do Bellegarde, aby tam ustawił maszyny i wykonał plany.

— Doskonale! przez ten czas nie będzie nam na pięty następował...

— Dziś, nocuje on w fabryce, ażeby jutro równo ze świtem wyekspedyował ładunek. O pierwszej w południe będzie obecnym na stacyi, przy wysyłce tegoż.

— A potem?

— Wyjedzie sam, w poniedziałek zrana.

— Wybornie rozporządziłeś... ani słowa przeciwko temu — zawołał Soliveau — mając wolną niedzielę, a odjeżdżając w poniedziałek, poświęci ten dzień zapewne swej ukończonej...

— Tak mi się zdaje...

— Jest to pewnik... Trzeba więc będzie po nad nim nadzór rozciągnąć, by wiedzieć dokąd się uda, wyszedłszy z fabryki, po wysyłce maszyn drogą żelazną.

— To jest właśnie potrzebnem...

— Dowiemy się o tem... ja ci przyrzekam, a wiesz, że skoro uczynię obietnicę, wypełnię ją bez zawodu.

— Może potrzebujesz pieniędzy? — zagadnął Garaud.

— Otóż co się nazywa rozumne zapytanie! — wołał, śmiejąc się Owidyusz. — Znać zaraz, że się ma do czynienia z praktycznym człowiekiem. Rzecz pewna, iż będę potrzebował pieniędzy, ponieważ przy sprawach tego rodzaju, wydatki są nieuchronne. Aby ci jednak dać poznać kuzynie, do jakiego stopnia delikatnym jestem względem ciebie, nic na teraz nie żądam. Później uregulujemy rachunek, jak wypadnie... stosownie do okoliczności. Skoro fakt będzie dokonany, ustawiemy nań cenę... Powiem ci, ile to warto. O której godzinie Lucyan wychodzi jutro z fabryki?

— Pomiędzy piątą, a szóstą...

— To mi wystarcza. A teraz, skoro zrobiona umowa, idźmy na obiad, czuję wilczy apetyt.

— Pozwól mi wyjść naprzód, chcę powiedzieć memu stangretowi, oczekującemu z powozem w alei, by odjechał i powiadomił w domu, iż nie wrócę na obiad.

— A ja przez ten czas pójdę do restauracyi ojca Lahire, gdzie będę na ciebie oczekiwał... tam to zwykle się stołuję.

— Wkrótce do ciebie przybędę — odrzekł Garaud.

Po tych słowach obadwaj jeden po drugim wyszli z pawilonu.

— Wracaj do pałacu — rzekł do stangreta przemysłowiec — i powiadom mą córkę, ażeby na mnie nie czekała z obiadem, niewiem o której powrócę.

— Dobrze panie — odrzekł woźnica i odjechał.

Maryja nawykła do częstej nieobecności ojca, sama spożyła obiad, poczem odeszła do swego apartamentu.

Garaud rozszedł się z Owidyuszem około północy.

— Soliveau, jest takim właśnie, jakiego mi potrzeba — mówił, wracając na ulicę Murillo. Przy jego pomocy, złamię wszelkie zapory.

— Do pioruna! — myślał jednocześnie Owidyusz — chodzi tu o zachowanie mej pensyi!.. Co zaś do wynagrodzenia za moją pracę, postaram się, aby takowe piękną cyfrę stanowić mogło. Garaud jest bogatym... może zapłacić!.

Tak myśląc, wrócił do swego mieszkania, gdzie przede wszystkim zrobił przegląd swej garderoby, kupionej za pieniądze przemysłowca. Chciał wybrać ubiór, któryby nie zwracając na niego uwagi, pozwolił z łatwością wykonać mu ułożone plany.

Nie znalazł jednak nic stosownego. Posiadał wprawdzie ubranie, w jakim przyjechał z New-Jorku, lecz Lucyan Labroue, który w nim go widział w gabinecie Harmanta, mógłby go poznać, czego właśnie jaknajstaranniej unikać należało. Skrzywił się przeto, zadumawszy głęboko.

Niepodobna było stanąć na czatach o piątej rano w Courbevoie w eleganckim ubraniu, bez zwrócenia na siebie uwagi. Z drugiej zaś strony, gdzie iść o północy za kupnem tego, co mu było potrzebnem?

Nagle uderzył się w czoło.

— Wszak dziś sobota — zawołał — dzień zwykłych wypłat dwutygodniowych. Robotnicy są jeszcze w szynkach i piwiarniach... tam dostanę czego mi trzeba... jestem ocalony!

I w oka mgnieniu przywdział zużyty swój kostyum amerykański, wdział stary, pognieciony kapelusz i wyszedł, kierując się w stronę rogatek.

Szynki i piwiarnie były jeszcze otwarte. W izbach roili się goście. Owidyusz, podszedłszy ku oszklonym drzwiom jednego z takich zakładów, spojrział przez szybę do wnętrza. Siedzieli tam mularze, kowale, pokojowi malarze i mnóstwo robotników różnego rodzaju. Wzmagające się pijaństwo podniecało gwar prowadzonych rozmów. Niektórzy z robotników

grali w karty, inni śpiewali, krzyczeli, a wszyscy palili fajki i cygara.

Soliveau położył rękę na kłance, chcąc wejść, gdy nagle drzwi się otwały, a w nich ukazał się wychodzący mularz pijany, cały wapnem pokryty. Był to mężczyzna około lat czterdziestu mieć mogący. Zatrzymał się na progu, a zataczając się, spojrzął na Owidyusza z głupowatym uśmiechem.

— Fundujesz wino, przyjacielu? — pytał ochryplym głosem.

— Dobrze, ale nie tutaj — odparł Soliveau.

— Gdzie chcesz, wszystko mi jedno — mówił pijak — byleś fundował. Masz pańską minę, mimo zniszczonej kapoty, musisz mieć kieszeń niepróżną. Ja bo jestem goły... Wziąłem zapłatę, lecz mi ją odebrano za dług w szynku... Nie mam ani grosza, a pragnienie mnie pali... Ja zawsze, ciągle miewam pragnienie, taka już moja natura!...

## XX.

Mówiąc powyższe słowa, ów mularz, wapnem pokryty, pochwylił silnie za ramię Owidyusza, aby utrzymać równowagę. Postąpili tak kilka kroków razem.

— Chcesz zarobić dwadzieścia franków? — zapytał go nagle Soliveau.

— Dwadzieścia franków? ty chcesz mi dać zarobić dwadzieścia franków? — belkotał pijany — chyba, że jesteś bankierem?...

— Nie, lecz chcę kupić twoje ubranie za dwadzieścia franków — odrzekł Owidyusz.

— Moje łachmany? — wyjąkał — na coby one się tobie przydały... te... te, ot! strzepy?...

— Jestem aktorem — objaśniał Soliveau — mam jutro przedstawiać mularza na scenie teatru w Batignolles, a do tej roli potrzebuję kostiumu z natury.

— Ha! ha! jakież to głupie!—zawołał mularz—i do tego potrzebujesz mego zniszczonego odzienia?

— Tak.

— Więc zgoda! wdziejaj na siebie!

To mówiąc, wtłoczył swą czapkę na kapelusz Owidyusza z taką siłą, że zasypał go pyłem wapiennym i wcisnął mu kapelusz po oczy; poczem zaczął się sam szybko rozbierać.

— Chcesz mojej kapoty? oto ją masz!—rzekł, wrzucając stare dziurawe palto na ramiona Owidyusza. Co zaś do reszty mego ubrania, to mi go chyba sam zdejmiesz, czuję bowiem, że fundamentom mego budynku brak równowagi, mógłbym łatwo przywitać się z ziemią! No, dalej!—zawołał, o mur wspierając się plecami—nie obawiaj się...

Owidyusz, pomógłszy mu rozebrać się, zawiązał w paczkę ubranie.

— Dobrze będziesz wyglądał na scenie!—zawołał, śmiejąc się mularz.—Kupię umyślnie bilet, aby cię zobaczyć, jeżeli nie przepiję tych dwudziestu franków. Lecz, do pioruna!—dodał—gdzież są pieniądze?

Soliveau dobył z kieszeni cztery sztuki po sto sous i włożył je w rękę robotnika, który chcąc się okazać szczodrobliwym, zapraszał go ze sobą na szklanke wina.

— Nie, nie—odrzekł Owidyusz — muszę powracać, mam uczyć się dziś mej roli.

— Idź więc, idź, pracuj, mój stary. Ja idę pić, pragnienie wściekle mnie pali! A gdybyś mógł kiedy kupić mi jakie stare ubranie w miejsce tamtego, pamiętaj, że się nazywam Piotr Bouhoure, znajdziesz mnie zawsze *pod Pawiem* przy drodze do Clichy.

— Będę pamiętał, dobranoc!—rzekł Soliveau i pośpieszył w stronę swego mieszkania.

Mularz podrzucał wesoło w rękę pieniądze.

— Prawdziwe szczęście! — mówił do siebie — te moje moje łachmany nie warte były czterdziestu sous nawet, a on mi dał... dał za nie dwadzieścia franków! ha! ha!

I pozostawszy w pantalonach tylko i koszuli, zataczając się mocniej niż przed tem, wracał do szynku krokiem zygawkowatym, uderzając co chwila o drzwi lub o mury domów.

Wróciwszy do siebie, Soliveau położył na krześle kupione od robotnika ubranie, a sam się położył, czując potrzebę spoczynku; nie spał jednak wcale. Obawa spóźnienia się z przybyciem do Courbevoie oczu mu zamknąć nie dała. O w pół do piątej rano wstał, przywdział kupione ubranie, włożył na głowę czapkę, płamami wapna pokrytą i przejrzał się w zwierciadle. Był całkiem zmieniony.

— Do czarta! — mruknął — niepodobna, ażeby Lucyan Labroue, raz mnie tylko widząc przez parę sekund, poznał w tej nowej postaci.

I wzięwszy stary paltot, w którym przyjechał z Ameryki, zarzucił go na ramiona.

— A teraz w drogę! — rzekł i zwrócił się w stronę Courbevoie.

Było to w połowie kwietnia; o piątej zrana widno już było zupełnie. Idąc bulwarem, Soliveau spostrzegł kupę gruzu, złożoną pod dachem, z desek utworzoną. Zbliżywszy się tam, wziął parę garści tego gruzu zmieszanego z piaskiem i rozsypał go po swem zwierzchniem odzieniu, co doprowadziło jego kostium do zupełnej z sobą harmonii. Uczyniwszy to, szedł dalej. Przybywszy o w pół do szóstej do Courbevoie, stanął naprzeciw fabryki Pawła Harmant. W pięć minut potem otwarto główną bramę, aby przepuścić dwa wozy, naładowane wielkimi pakami, w których znajdowały się różne części maszyn, mających być odstawionemi na stację liońskiej drogi żelaznej.

Dwóch furmanów kierowało temi wozami, z których każdy zaprzężony był w trzy konie. Wyjechawszy na drogę, stanęli. Natenczas ukazał się Lucyan Labroue z dwoma me-

chanikami, dążąc w stronę wozów, poczem zamknięto bramy fabryki.

Owidyusz zbliżył się z miną obojętnego robotnika, idącego do pracy, Nikt zresztą nie zwracał na niego uwagi.

— Możemy już jechać, panie Labroue? — zapytał jeden z furmanów, zwracając się ku młodemu dyrektorowi.

— Możecie — odrzekł. — A ile potrzeba wam czasu do przybycia na miejsce?

— Teraz jest w pół do szóstej—odpowiedział woźnica— na ósmą zatem, jeżeli nie zatrzyma nas w drodze jakiś wypadek, staniemy na stacyi towarowej w Bercy.

— Miejmy nadzieję, że dojdziecie szczęśliwie.

— Czy pan jedziesz razem z nami?—pytał dalej furman.

— Z Franchetem i Ledoux będziemy was na stacyi oczekiwali.

— Pośpieszmy, aby się nie spóźnić.

Woźnica trzasnął z biczem i ciężkie wozy potoczyły się jeden za drugim.

— Wsiądziemy do powozu, gdy go spotkamy — mówił Labroue do towarzyszących sobie mechaników— tymczasem idźmy pieszo.

I wszyscy trzej puścili się szybkim krokiem. Owidyusz szedł za nimi. Ani jeden wyraz z prowadzonej głośno rozmowy nie uszedł jego uwagi.

— Ja także siądę do powozu— wyszeptał.

Droga była prawie zupełnie pustą, dzień jasny, z lekkim przymrozkiem, można było iść szybko. Podążali więc raźnie, rozmawiając. Znalazszy przy rogatkach oczekujące fiakry, wsiedli do jednego z nich i Owidyusz usłyszał Lucyana, nakazującego jechać na stacyę towarową lionńskiej drogi żelaznej. Dozwoliwszy powozowi wyprzedzić się nieco, Soliveau wsiadł do drugiego fiakra, również polecając jechać na wspomnioną stacyę.

— Do czarta! tak wielki kurs— wyrzekł woźnica.

— Nie obawiaj się, dostaniesz na piwo.



Około w pół do ósmej oba powozy, jadące jeden za drugim w odległości około trzydziestu kroków, zatrzymały się w miejscu.

Lucyan, zapłaciwszy stangretowi, wszedł z dwoma mechanikami do kawiarni, którą właśnie otwierano, a gdzie czekać postanowili na nadejście wozów. Soliveau zaś, odesławszy fiakra, wszedł do składu win, przytykającego do kawiarni.

O ósmej minut dwadzieścia głuchy turkot ciężko ładowanych wozów dał się słyszeć w pobliżu i furmani wjechali na dziedziniec stacyi towarowej, dokąd udał się jednocześnie Labroue z mechanikami.

Owidyusz nie opuszczał sklepu kupca win.

— Nieroztropnie byłoby tam iść — pomyślał; — niczem nieusprawiedliwiona moja obecność mogłaby wzbudzić podejrzenie. Osobistość, którą śledzę, będzie musiała tędy przechodzić. Trzeba więc czekać...

I został na swym posterunku.

## XXI.

Na nieszczęście, długo przeciągało się oczekiwanie paryżanina. O w pół do jedenastej dopiero ujrzał wyjeżdżające opróżnione wozy i wychodzących z dziedzińca mechaników; Lucyana z nimi nie było.

— Do kroć szatanów! miałżeby mi się wymknąć inną stronę? — zapytywał Owidyusz sam siebie zaniepokojony! I podszedł ku stojącemu za bufetem właścicielowi sklepu.

— Oczekuję tu na kogoś — rzekł — który miał przybyć dziś rano na stację i do tej chwili go nie spostrzegam. Czyżby prócz tego wejścia drugie gdzie z boku istniało?

— Tak, panie, z budynku małe wschody prowadzą na ulicę du Bercy,

— Do pioruna! a tom się złapał! — pomyślał, zły sam na siebie. I rzuciwszy pieniądze na kontuar, wybiegł, nie czekając na wydanie reszty.

— Nie ma minuty do stracenia! — mówił, idąc z pośpiechem. — Jestem pewien, że poszedł się przebrać do siebie, zanim się uda do swej ukochanej, trzeba więc biegnąć do jego mieszkania.

Spostrzegłszy fiaker próżny, wskoczył weń, wołając:

— Trzy franki za kurs! pędź, co koń wyskoczy!

— Gdzie?

— Ulica Miromesnil, nr. 75!

Woźnica zaciął konie i powóz potoczył się z niezwykłą szybkością.

\*

\*

\*

Marya od chwili, gdy ojciec uczynił jej nadzieję, że zostanie żoną Lucyana, promieniała radością. Przyszłość ukazywała się jej jako świetlane zjawisko. Czterdzieści osiem godzin upłynęło zaledwie od tej pomyślnej wiadomości, a już zniknęła bladeść jej twarzy, na policzkach dziewczęcia nie ukazywały się jak przedtem gorączkowe rumieńce. Jak wiemy, Harmant poświęcał córce zwykle każdą niedzielę.

Sobotni wieczór spędziła sama, uwiadomiona, iż ojciec na obiad nie przybędzie. Ta jego nieobecność drażniła dziewczynę, spodziewała się bowiem dowiedzieć czegoś o Lucyanie, pomówić z ojcem w przedmiocie małżeństwa. Jak wszyscy, o władnięci jedną stałą, niepokonaną myślą, marzyła jedynie o szczęściu w tym związku i radaby była mówić o nim bezustannie.

W niedzielę wstała bardzo wcześnie i ubrawszy się, poszła do ojcowskiego gabinetu. Harmant, będąc pewnym, iż Marya obrzuci go mnóstwem zapytań, odnoszących się do Lucyana, wskutek których do kłamstw i wybiegów uciekać się będzie zmuszonym, postanowił unikać o ile możności znalezie-

nia się sam na sam ze swą córką. Prócz tego był mocno niepokojnym co robi Soliveau, zkąd pragnął pozostać samotnym ze swemi myśłami.

Spostrzegłszy Maryę we drzwiach gabinetu, zmarszczył czoło z niezadowoleniem.

Gest ten nie uszedł uwagi dziewczęcia.

— Przeszkadzam ci ojczy? — pytała.

— Tak... nieco... ponieważ zagłębiłem się w wielkich rachunkach jakich przerywać nie należy, skoro jednakże przysłaś me dziecię, chodź mnie uścisnąć...

— Późno wróciłeś wczoraj? — mówiła z pieśczołą.

— Nie... koło jedenastej. Jeden z mych głównych klientów zatrzymał mnie na obiedzie dla pomówienia o interesach.

— A cóż dziś robić będziemy?

— Mam wiele zaległych rachunków do wykończenia którym będę musiał poświęcić dzień cały.

— Jakto, będziesz pracował dziś ojczy w niedzielę?

— Tak trzeba...

— Ależ wieczorem...

— Będę musiał wyjechać na parę godzin.

— Śniadanie i obiad przynajmniej spożyjemy razem...

— Śniadanie... tak! lecz co do obiadu, to wątpię...

— Pierzcha więc moje marzenie!..

— Jakie marzenie me dziecię?

— Sądziłam, że zaprosisz Lucyana na obiad...

— Wszak widzisz, że niepodobna.

— To choć na śniadanie.

— I to niepodobna, gdyż pan Labroue ma wiele interesów do załatwienia przed swym wyjazdem.

Marya zachwiała się i zbladła.

— Przed swym wyjazdem — powtórzyła stłumionym głosem — Lucyan więc odjeżdża?

— Tak.

— Gdzie... dlaczego?

— Dla załatwienia interesów fabryki.

— Gdzie jedzie?

— Do Bellegarde, ażeby czuwać nad ustawieniem nader ważnej, pierwszorzędnej maszyny.

— Jak długo potrwa jego nieobecność?

— Około trzech tygodni... I ta właśnie to robota, jaką mu powierzyłem, ów dowód ufności z mej strony, są wstępem do przyszłej z nim współpracy.

— A jeśli tak... to rzecz inna — mówiło dziewczę z roz-pogodzoną twarzą. — Lecz otóż jestem pozostawioną na cały dzień znów samą.

— Boli mnie to... bądź przekonaną, lecz interesa są inte-  
resami, zastępstwo Lucyana ulgę mi przyniesie. Dzisiejszą  
przykrość będę ci się starał wynagrodzić w krótkim czasie.

— Oby powrócił najrychlej — wyrzekła z westchnieniem  
Marya — lecz czemże ja sobie zajmę dzisiejszy dzień cały?

— Wyjedziesz powozem na spacer, odwiedzisz swe przy-  
jaciółki...

— Będę się starała jako tako dzień spędzić.

Po tych wyrazach wyszła z gabinetu.

Ufna w odpowiedź ojcowską, mimo, że smucił ją wyjazd  
Lucyana, Marya nie rozpaczała. W owym wyjeździe mło-  
dzieńca widziała dowód ufności ojca ku narzeczonemu.

Uspokojona zupełnie, wróciła do swego apartamentu, po-  
zostając tam do jedenastej w południe. Gdy zeszła na śnią-  
danie, jaśniała urodą, podniesioną bogatym a gustownym  
ubiozem.

— Jakżeś piękną! — zawołał Harmant, spojrzawszy na  
córkę — cały świat olśnić jesteś wstanie.

Marya uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Jakież masz na dziś projekta? — pytał ją dalej.

— Pojadę do mych przyjaciółek... Gdybym ich nie za-  
stała w domu, co przypuszczalne w niedzielę, każę się powieść  
do lasku, gdzie pozostanę na przejażdżce do obiadu; w domu  
albowiem nudzę się śmiertelnie.

I zwróciwszy się do kamerdynera wydała rozkaz, ażeby powóz był za godzinę gotowym.

Punktualnie o godzinie pierwszej, powóz zajechał przed pałac.

— Gdzie pani jechać rozkaże? — zapytał służący.

— Na ulicę de Bourbon, numer 9 — odpowiedziała.

Powóz wyjechał z dziedzińca z córką milionera.

\* \* \*

Jak wiemy, Owidyusz Soliveau dopadłszy fiakra, kazał się wieść co najprędzej na ulicę Miromesnil.

Woźnica zatrzymał się przed wskazanym numerem.

Zapłaciwszy mu Owidyusz, czekać rozkazał, a sam zwrócił się w stronę mieszkania Lucyana.

Drugi fiaker oczekiwał po drugiej stronie ulicy, przed domem.

— Miałżeby powrócić? — mruknął z cicha... — Oto, co trzeba mi wiedzieć.

I przeszedłszy w poprzek ulicę, zbliżył się ku powożącemu.

— Czyś wynajęty? — zapytał.

— Wszakże pan widzisz, że czekam.

— Tem gorzej — odparł Soliveau.

— Dlaczego gorzej?

— Ponieważ jechać chciałem... A miałbyś bardzo mały kurs do zrobienia, kilkadziesiąt kroków zaledwie...

— Wszystko mi jedno — odrzekł woźnica — przyjechałem z Bercy i nie wiem dokąd pojedę... Jestem wynajęty na godzinę.

— Z Bercy — powtórzył Soliveau. — Wiem teraz czego mi potrzeba. Mój ptak jest tu, nie omyliłem się więc... Prze-

biera się, aby pójść do swej panny... Trzymam go i nie puszcze już więcej!

Tu wrócił do swego fiakru, stojącego w tymże samym miejscu.

## XXII.

— Czy pan będziesz mnie jeszcze potrzebował? — zapytał woźnica, zbliżającego się Owidyusza.

— Tak — odrzekł. — Tam nieco dalej, po drugiej stronie ulicy, widzisz stojący powóz?

— Chybaby go ślepy nie widział...

— Skoro więc ów fiakr wyruszy z miejsca, pojedziesz tuż za nim, aby go nie stracić z oczu ani na chwilę... Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem, umknąć mu nie dam.

— Zapłacę sto sous za godzinę, a prócz tego dostaniesz obfity napiwek.

— Wsiadaj obywatelu — zawołał automedon. — Musi to być niewątpliwie przebrany agent, śledzący złodzieja — mruknął z cicha.

Owidyusz wsiadł do powozu, a wychyliwszy się zeń na zewnątrz, śledził spojrzeniem drzwi domu nr. 79. Nagle spostrzegł Lucyana Labroue, wychodzącego w zmienionem ubraniu, który powiedziawszy coś woźnicy, czego Soliveau dosłyszeć nie mógł, wskoczył w głąb fiakru, zatrzasnąwszy drzwiczki. Powóz zawróciwszy, przejechał tuż obok wehikulu, w którym znajdował się Owidyusz tak, iż ten zaledwie zdążył spuścić szklane okno i ukryć się wewnątrz. Skoro ów fiakr przejechał, podniósł szybę i wychyliwszy się, zawołał na powożącego:

— W pogoń!.. co żywo...

— Nie obawiaj się obywatelu... uciec mu nie damy.

I drugi powóz zawróciwszy, potoczył się za pierwszym.

Pościg był łatwym, ponieważ fiaker Lucyana jechał ruchem umiarkowanym. Oba wehikuly toczyły się za sobą, blisko przez trzy kwadransy, poczem pierwszy zatrzymał się na ulicy de Bourbon, przed domem nr. 9. Drugi przystanął na moście Maryi.

Lucyan wyskoczywszy na trotuar, zapłacił woźnicy i znikł pod sklepieniem starego domostwa.

Owidyusz śledził go z uwagą.

— Tu więc to... — mruknął — sroka swe gniazdko usłała. Obecnie trzeba z największą przezornością dowiedzieć się o jej nazwisku i piętze mieszkania. I wysiadł ze swego fiakra.

— Widziałeś pan gdzie on wszedł? — pytał woźnica, pewien że wiózł przebranego policyjnego agenta.

— Widziałem. Zostań tu i czekaj na mnie.

Soliveau poszedł w stronę domu nr. 9. Dom ten był bardzo starym. Z szerokiej i niskiej bramy wchodziło się pod sklepienie wiodące na dziedziniec. Po prawej stronie w owym podwórzu, przy wejściu na wschody, znajdowała się stancyjka odźwiernego. Nieco dalej w dziedzińcu wznosił się drugi budynek, połączony z pierwszym, do którego wiodły inne główne wschody.

Lucyan zwrócił się na prawo, by dojść do narzeczonej, mieszkającej jak wiemy obok Joanny Fortier, zwanej w całym cyrkule matką Elizą. Przechodząc koło odźwiernej powitał ją uprzejmie.

— A! spóźniłeś się pan dziś, panie Lucyane — wyrzekła żartobliwie kobieta. — Panną Łucya przygotowała śniadanie na jedenastą, a oto już i południe minęło.

— Spieszę więc... do widzenia! I pobiegł na wschody.

Łucya poznawszy chód jego, stanęła we drzwiach otwartych.

Pochwycił ją w objęcia, okrywając pocałunkami.

— Och! niegodziwy — mówiła dziewczyna zarumieniona lecz i szczęśliwa zarazem — spóźnić się o pół godziny. Śmia-

danie niemożliwym będzie do spożycia, przegotowane, spalone... i ja, która obiecywałam sobie dziś uczęstować cię dobrymi potrawami.

— Wyborne będzie wszystko... zapewniam ukochana — wołał wesoło Labroue — dowiodę ci tego, zajądając. Opuźniłem się, to prawda, ale nie moja w tem wina. Niepodobna mi było przyjść wcześniej.

— Dlaczego. Wszakże w niedzielę nie masz czynności w fabryce.

— Tak sądzisz? A jednak dziś wstałem przededniem.

— Przededniem — powtórzyło dziewczę zdumione — dlaczego?

Lucyan powiadomił ją o danem sobie przez Harmant'a poleceniu co do wyprawienia przesyłki.

— Skoro tak... zyskujesz przebaczenie — odpowiedziała. — Siadajmy do stołu... jestem bardzo głodna.

— A matka Eliza? — zapytał Lucyan, siadając przy stole, świątecznie przybranym.

— O! biedna ona... nie przyjdzie dziś... nie ma wolnej chwili... Pani Leuret zachorowała niebezpiecznie i matka Eliza czuwa przy niej nocami. mimo to musi roznosić chleb dwa razy dziennie konsumentom... Zaledwie na parę minut ją widzę.

— Kochasz więc tę złą kobietę? — pytał Lucyan — nieprawdaż?

— Z całego serca!

— Masz słuszność... Ja sam mam dla niej wiele współczucia i jestem pewien, że nań zasługuje.

— Po zaślubinach Lucyanie, dotrzymasz obietnicy, jaką jej uczyniłeś... Weźmiemy ją do siebie, osłodziemy jej starość.

— Mam nadzieję, że przy pomocy Bożej niezadługo nastąpić to będzie mogło — odpowiedział. — Ach! gdybyś wiedziała, z jakim upragnieniem oczekuję tej szczęśliwej chwili!

Tu chciał uścisnąć swą narzeczoną.



Lucya zlekka go odsuęła.

— Nie jesteśmy jeszcze małżonkami — wyrzekła z uśmiechem. — Złóż te pocałunki do kasy oszczędności. . odnajdziemy je później...

— Złośliwa!..

— Nie!.. czuwam nad własnym twym dobrem. Bądźmy, jak wypada, poważni. Siedząc przy stole, myślmy o śniadaniu. Jakże ci smakują te kotlety?

— Wybornie.

— Nazbyt się zrumieniły...

— Nie sądzę...

— Jesteś wciąż zadowolonym ze swego stanowiska u pana Harmant? — pytała dalej!

— Czym zadowolony? — odrzekł w zamyśleniu — tak... pryncypał jawnie okazuje mi wiele zaufania, i właśnie mam cię powiadomić o pewnym szczególe z którego jednak nie będziesz kontenta...

— Cóż takiego? — pytała żywo — jakaś zła wiadomość?..

— Dobra, lub zła — odrzekł — stosownie do tego, jak ją kto pojmuje. Przez dwie niedziele widzieć się z sobą niebędziemy...

— Przez dwie niedziele... dlaczego?

— Wypadnie mi być nieobecnym przez dwa lub trzy tygodnie. Pan Harmant posyła mnie do Bellegarde dla ustawienia tam nader ważnych maszyn i zastąpienia w tej czynności siebie samego.

— Zatem korzystnym to będzie dla ciebie?

— Bezwątpienia.

— Jedź więc... może to zbliży termin naszego małżeństwa. Lecz będziesz do mnie pisywał... nieprawdaż?

— Codziennie... przyrzekam. Nie smuć się przeto moim odjazdem, trzy tygodnie prędko upłyną. Skoro powrócę, powitanie nasze da nam zapomnieć o troskach rozłączenia. Zresztą, powtarzam, ta podróż wiele nam przyniesie korzyści. Pan Harmant dał mi za to wysokie wynagrodzenie. Ach!

gdybyś wiedziała o ile pragnę jak najrychlej zebrać mój kapitał!

— Dlaczego się z tem śpieszysz, mając tak dobre miejsce w fabryce?

— Jest ono dobrem, to prawda, lecz obok tego istnieją pewne szczegóły sprawiające mi przykrość... później ci o nich opowiem...

— Czemu nie teraz?

— Nie! później — rzekł Labroue.

— Jeżeli jest coś, co ci się nie podoba, poszukaj funduszu do zbudowania własnej fabryki... Znajdziesz z łatwością współników, teraz zwłaszcza, gdy jesteś znanym.

— Pomyślę o tem wróciwszy. Mówmy teraz o czem innym. Otóż bardzo mi się to niepodoba, że niemasz przy sobie matki Elizy. Spokojny byłem gdy tu przebywała.

— Pani Lebret wczoraj miała się lepiej. Skoro tylko jej zdrowie zacznie się poprawiać, matka Eliza jak wprzódy spędzać będzie zemną dnie i wieczory. Jest ona dla mnie wielce pożyteczną, ponieważ mając wiele roboty nie potrzebuje tracić czasu na wychodzenie za kupnem żywności i gotowaniem obiadu. Wszystko to załatwia mi sama. Wkrótce ją zobaczymy, przyjdzie albowiem jak zwykle choć na kilka minut.

Pozostawwszy narzeczonych, rozmawiających przy obiedzie, połączmy się z Owidyuszem Soliveau, stojącym na czatach w pobliżu domu nr. 9.

Nie łatwo mu było dowiedzieć się do kogo poszedł Lucyan Labroue — rozmyślał długo nad ułożeniem sobie planu. Pytać odzwiernej, niepodobna było. Jeden krok nierozważny mógłby ściągnąć na niego uwagę poddając go w podejrzenie, łotr mimo to nie tracił nadziei. Spodziewał się, że oboje zakochani wyjdą na przechadzkę razem w popołudniowej godzinie, a skoro choć raz jeden zobaczy to młode dziewczę, reszta zadania drobnostrką dlań będzie.

## XXIII.

Od dwóch godzin przechadzał się Soliveau wzdłuż i szerz ulicy przed domem, zatrzymując się chwilami przed wystawą nożownika i rozpatrując przedmioty w niej rozłożone, obok bramy domu, gdzie Łucya zamieszkiwała. Przeszedłszy na drugą stronę ulicy, patrzył w okna, mając nadzieję, iż w którym z nich może zobaczy Lucyana Labroue, a tym sposobem dowie się niezawodnie, gdzie mieszka jego ukochana. Widzimy, iż Owidyusz usiłował jaknajsumienniej wywiązać się z danego sobie polecenia. Nagle ów czatownik wydał okrzyk radości. To, na co tak niecierpliwie oczekiwał, stało się w jednej chwili. Na szóstym piętrze okno otwarło się, a w niem ukazał się Labroue, najprzód sam, poczem w kilka sekund w towarzystwie młodej dziewczyny. Pomimo znacznej odległości, Soliveau dobrze rozeznawał jej rysy twarzy.

— Ha! ha! — mruknął — ten hultaj ma niezły gust, jak widzę. Mała jest ładną, bardzo ładną! Mam teraz w głowie jej fotografię... Nie umknie już ona przedemną.

Łucya, trzymając w ręku białą chusteczkę, rozłożyła takową na parapecie okna, chcąc oprzeć się o takowe. Lucyan uczynił toż samo istojąc oboje przy sobie, z oczyma utkwionemi w rozległy horyzont, rozmawiali, śmiejąc się wesoło.

Nagle dziewczę szybkim rzutem w tył się cofnęło, chcąc umknąć przed pocałunkiem Lucyana, chusteczka rozłożona na oknie wypadła i wiatr ją uniósł, rzuciwszy w pobliżu miejsca, gdzie stał Owidyusz, który ją pochwycił w oka mgnieniu.

Spostrzegłszy to, dziewczę dawało znaki ręką i głową znalazcy, Soliveau ze swej strony mimicznie odpowiadał, objaśniając gestami, iż złoży zgubę u odzwiernej. Oboje narzeczeni od okna odeszli.

Soliveau, uszczęśliwiony z wypadku, który mu znakomicie ułatwił jego sprawę, pobiegł na dziedziniec. Jednocześnie

powóz zatrzymał się przed tym samym domem i Marya Harmant, wysiadłszy z niego, weszła w bramę, szukając odźwiernej.

Spostrzegłszy nieznanego przed okienkiem stacyjki, odźwierna wyjrzała ku niemu.

— Czem mogę służyć?—spytała.

— Przynoszę chusteczkę—rzekł Owidyusz—którą jakaś młoda panienska, stojąc w oknie na szóstym piętrze, z rąk wypuściła. Proszę, oddaj ją jej, pani.

— Z szóstego piętra?—powtórzyła kobieta—ach! to panna Łucya zapewne. Dziękuję panu, doręczę ją jej natychmiast.

— Idę, już idę!—wołała Łucya, zbiegając ze schodów.

Owidyusz spojrział na dziewczę raz drugi; wystarczyło mu to zupełnie. Zwrócił się ku bramie, chcąc odejść, gdy nagle, jakby piorunem rażony, rzucił się w przeciwną stronę dziedzińca, znalazł się bowiem niespodziewanie naprzeciw Maryi Harmant, stojącej za sobą. Marya nie zwróciła jednak na niego uwagi.

— Gdzie mieszka panna Łucya, trudniąca się szyciem?—pytała odźwiernej!

— Na szóstym piętrze, pierwsze drzwi po prawej.

Córka milionera zwróciła się ku schodom, unikając spotkania z mularzem, w ubraniu wapnem przesiąkniętem. Korzystając z tego, Soliveau przebiegł szybko dziedziniec, wpadając w bramę, a z tej na ulicę. Łucya posłyszawszy, że się o nią ktoś pyta, zatrzymała się na schodach.

— Ach, to pani!—zawołała, poznawszy pannę Harmant—pani tu? w tym domu?

— Przyjechałam umyślnie, ażeby cię odwiedzić.

— Jakżem szczęśliwa!—zawołała wesóło młoda szwaczka—lecz otóż czeka panią u mnie niespodzianka...

— Niespodzianka?

— Tak.

— Jaka?

— O! nie pani teraz nie powiem—wyrzekła Łucya figlar-  
nie—zobaczysz sama za chwilę... Idź pani zwolna — dodała—  
aby się nie utrudzić. Mieszkam wysoko, na szóstym piętrze.

Minąwszy dwa przedziały schodów, Marya odpocząć była  
zmuszoną. Nie mogła iść dalej, oddech szybki, świszczący,  
dobywał się z jej piersi.

— Może się pani wesprze na mojem ramieniu? — mówiła  
Łucya uprzejmie.

— Najchętniej.

I trzymając się jedną ręką poręczy schodów, drugą ra-  
mienia swej towarzyszki, Marya szła dalej.

— Ach! jak pani jesteś dobrą, łaskawą—mówiła szwacz-  
ka—żeś zechciała trudzić się tu do mnie. Na nieszczęście je-  
dnak, suknia pani nie jest jeszcze gotową.

— Nie dla sukni to, lecz dla ciebie umyślnie przybyłam,  
Łucyo—odrzekła panna Harmant. — Oddawna już marzyłam  
o tych odwiedzinach.

— Jakżem szczęśliwa... lecz on... jak on się zadziwił —  
wołała szwaczka wesoło.

— On? kto taki?—pytała Marya.

— To tajemnica... zobaczysz pani za chwilę.

Po przestankach, czynionych na każdym piętrze dla wy-  
poczynku, przybyły obie nareszcie przed drzwiami mieszkania.  
Łucya nacisnęła sprężynę.

W kilka minut po wyjściu swej narzeczonej, Lucyan po-  
wrócił do okna i ujrzał przed domem zatrzymujący się powóz.

— To dziwne...—rzekł.—Te konie i liberya są mi dobrze  
znane. Sądziłbym mógł, iż to powóz pana Harmant. Lecz  
ja się mylę... w Paryżu jest wiele podobnych do siebie ekwi-  
pazów.

Na szmer otwierających się drzwi, zwrócił się w tę stro-  
nę i nagle ujrzał w progu Maryę, zadyszaną, lecz z uśmie-  
chniętem obliczem. On i ona wydali jednocześnie okrzyk zdumie-  
nienia. Lucyan zbladł pomimowolnie. Marya, zachwiawszy  
się, przycisnęła rękę do piersi.

— A cóż, nie mówiłam, że panią oczekuje niespodzianka? szczebiotała Łucya radośnie, nie spostrzegając dziwnego wzru-  
nia obu tych osób, wynikłego z tego niespodziewanego spot-  
kania.

Panna Harmant zachwiała się, serce jej ścisnęło przeczu-  
cie bolesne, nie rozumiała jeszcze wszelako, z kąd Lucyan zna-  
lazł się w mieszkaniu szwaczki.

— Pan tu, panie Labroue?—wyrzekła wreszcie, pokony-  
wając wzruszenie. — Nie spodziewałam się pana tu znaleźć..  
Powiedz mi pan proszę — dodała, hamując wzburzenie, jaki  
traf sprowadza go do panny Łucyi?

Lucyan chciał coś wyjąkać zakłopotany, Łucya mu nagle  
przerwała:

— To nie traf, pani—zawołała z uśmiechem. — W każdą  
niedzielę można tu zastać u mnie pana Labroue.

Marya uczuła, jak wznosząca trwoga oswładała jej sercem.

— Ach! — wyrzekła drżącym głosem — znasz więc pani  
oddawna pana Lucyana?

— Znamy się od dwóch lat — zaczął Labroue.—Zanim  
przeniosłem się na ulicę Miromesnil, mieszkałem w tym domu.

— Mieszkaliśmy naprzeciw siebie, drzwi we drzwi — do-  
dała Łucya — a gdy się mieszka w tak bliskim sąsiedztwie,  
szczególniej na szóstym piętrze, następują spotkania, rozmowy,  
zawiera się znajomość i zostaje wreszcie dobrymi przyjaciółmi.

— Przyjaciółmi?—powtórzyła ironicznie milionerka, zro-  
zumiawszy dopiero teraz rzecz całą, oburzona na myśl odnalezie-  
nia rywalki w tej ubogiej dziewczynie.

— I pokochaliśmy się wzajemnie — mówiła Łucya dalej.

Marya, bliska omdlenia, siłą woli zaledwie utrzymała się  
zdolała.

— Pokochaliśmy się uczciwą, czystą miłością—kończyła  
szwaczka.—O nim to mówiłam pani kiedyś, wyznając, że serce  
moje do kogoś należy. Jesteśmy narzeczonymi i dzięki pani,  
tak jak i panu Harmant, za udzielenie obowiązku Lucyanowi,  
będziemy mogli teraz urzeczywistnić nasze marzenia.

— Poślubić się? — pytała Marya zaledwie dosłyszonym głosem.

Lucyan, wiedząc od Harmanta o miłości dla siebie jego córki, pojmował katusze dziewczęcia i stał jak na rozżarzonych węglach. Cóż jednak mógł zrobić? Nie jest się w stanie rozkazywać sercu. Kochał on Łucyę, Marya była mu obojętną.

Łucya, dostrzegłszy zmieszanie panny Harmant, widząc ją chwiejącą się prawie, pośpieszyła podać jej krzesło.

— Boże! co pani jest? — wołała — pobladłaś tak nagle... siadź pani, proszę...

Marya zebrała całą energję, aby pokonać wzruszenie.

— Nie, nie!—odpowiedziała, zmuszając się do uśmiechu— nie obawiaj się... to przejdzie... Pragnęłam cię odwiedzić... wypełniłam to... żegnam cię teraz...

— Jakto? już pani odjeżdżasz!—zawołała Łucya ze zdumieniem;—ależ zaledwie kilka sekund zabawiłaś tu z nami...

— Wracam do pałacu — odparła krótko milionerka. — Panna Łucya — dodała, zwróciwszy się do Lucyana, mówiła o oczekującej mnie tu niespodziance. W rzeczy samej była ona większą, niż mogłam sądzić kiedykolwiek. Mój ojciec będzie zarówno zdziwionym, gdy mu opowiem to, o czem dowiedziałam się teraz...

#### XXIV.

Od chwili przybycia Maryi Lucyan stał jak na mękach, a cierpienie to jego zwiększało się z każdą minutą. Co zaś do Łucyi, ta o niczem nie wiedząc, nie mogła pojąć przyczyny nagłego pomieszania panny Harmant. Marya zbliżyła się ku drzwiom.

— Zatem pobierzecie się wkrótce?—zapytała, zwracając się ku dwojgu obecnym.

— Mówiłem o tem wszystkiem ojcu pani, jak to było mym obowiązkiem—odrzekł Labroue.

— Jakto? mówiłeś pan o tym zamiarze memu ojcu?—pytała Marya ze zdziwieniem.

— Tak, pani.

— Kiedy?

— Przedwczoraj.

— A ha! to dobrze—odpowiedziała.—Życzę wam szczęścia obojgu. To jednak nie przeszkodzi ci Łucyo dla mnie pracować — dodała, zmieniając nagle ton mowy.—Liczę na twoją punktualność.

— Nie zawiedziesz się, pani.

— Żegnajcie więc!

— Lecz pani jesteś znużoną, pozwól mi odprowadzić się do powozu.

— Nie, nie!

— Lecz proszę...

— Nie nalegaj! — zawołała niecierpliwie milionerka — przykrość byś mi tem zrobiła. Zostań przy panu Lucyanie... on jutro wyjeżdża... nie należy ci pozbawiać go swej obecności. Czy pan zobaczysz się z mym ojcem przed wyjazdem, panie Labroue?

— Nie, pani.

— Nic mu pan nie masz do powiedzenia? Żadnych objaśnień nie będziesz potrzebował od niego?

— Żadnych; odebrałem szczegółowe rozporządzenia, do których z całą ścisłością się zastosuję.

— Zatem szczęśliwej podróży, panie Labroue! Do widzenia, Łucyo!

I szybko wybiegła, pozostawiając dziewczynę osłupiałą wobec zagadki, jakiej rozwiązać nie zdołała.

Lucyan uczuł się być owładnięty litością dla owej córki milionera, która pomimowolnie z jego przyczyny tak srodze cierpiała.



— Co to wszystko znaczy?... powiedz mi — pytała Łucya, zwracając się do Lucyana. — Dlaczego panna Harmant, wszedłszy tu i zobaczywszy nas razem, zmieniła nagle wyraz twarzy, zachwiała się, pobladła?... Dlaczego ona, tak zwykle dla mnie łagodna, dobrotliwa, przybrała ton mowy szorstki, wyniosły, jakiego nigdy dotąd u niej nie dostrzegałam? Dlaczego jej słowa przepelnione były goryczą i jakby cierpką ironią?... Dlaczego wreszcie, przybywszy tutaj na pogadankę, odjechała tak prędko z zażwionymi oczyma, w których tkwiły zarazem błyskawice gniewu?...

— Nie wiem — odrzekł Labroue, nie chcąc wyjawieniem prawdy zasmucać serca swej ukochanej, mówić jej o propozycjach Harmanta, jakimi z blaskiem milionów zaświecił przed jego oczyma.—Panna Marya, jak ci wiadomo, jest słabowitem, rozpieszczonem dzieckiem... Fizyczne cierpienia, którym podlega, oddziałują na jej stan moralny; doznała widocznie pierśowego ataku, skutkiem przebycia sześciu piętter, co spowodowało jej rozdrażnienie. To tylko usprawiedliwia ten dziwny sposób zachowania się, który i ja zauważyłem wraz z tobą.

— Rzeczywiście... dziwnem było jej zachowanie się... bardzo dziwnem — odpowiedziała Łucya, opuszczając głowę w zadumie.

— Przyznaję to—rzekł Labroue — lecz wreszcie, co nas obchodzi dziwactwa tego biednego dziewczęcia, dotkniętego newrozą, mimo swych milionów.—Pożalujemy jej, nie myśląc o tem już więcej... Niechaj jej odwiedziny nie psują nam dzisiejszej szczęśliwej niedzieli. Możebyś wyszła ze mną na przechadzkę?

— Najchętniej. Czuję potrzebę wytchnienia na świeżem powietrzu, lecz pod pewnym warunkiem...

— Że powrócimy, nim matka Eliza nadejdzie.

— Tak... A o której godzinie zwykle przychodzi?

— Pomiędzy piątą i szóstą.

— Wrócimy na czas. Przechadzka nasza nie potrwa zbyt długo.

— Dobrze... Za powrotem zajmę się przygotowaniem obiadu i wieczór przepędzimy razem. A teraz pójdę się ubrać— dodało dziewczę z rozpogodzoną twarzą.

— Idź, będę na ciebie oczekiwał.

Łucya weszła do gabinetu, który jej służył za sypialnię, gdzie przebrawszy się, wróciła do narzeczonego. Oboje wyszli razem z domu przy ulicy de Bourbon.

\* \* \*

Owidyusz, osłupiały niespodziewanem spotkaniem swojej mniemanej kuzynki, zapytującej odźwierną o Łucyę szwaczkę, wybiegł, jak wiemy, śpiesznie z podwórza. Dopadłszy fiakra, rozbudził drzemiącego na koźle woźnicę.

— Gdzie mam jechać? — zapytał tenże.

— Na ulicę Clichy?

— Jakże, wszystko idzie dobrze?

— Dobrze, jedź! — odpowiedział Soliveau i wsunął się w głąb powozu. — Nie mam potrzeby czatowania dłużej w tej okolicy—rzekł sam do siebie.—Wiem, o czym wiedzieć pragnąłem, a co do reszty, muszę pomówić z moim pryncypałem. W owej bytności Maryi u szwaczki kryje się coś niezwykłego. Lucyan Labroue nie chce zaślubić córki Harmanta, a ona przyjeżdża w odwiedziny do tej, u której on się właśnie znajduje. Miałby trafiać zrządzić owo spotkanie i co z tego wyniknie? Nie posiadam tyle przebiegłości, abym rozwiązać zdołał tę tajemnicę; ale mój kuzyn kochany jaśniej może będzie widział w tym razie. Przedewszystkiem więc z nim porozumieć się należy.

Przybywszy na wskazane miejsce, zapłacił woźnicy, a wdziawszy swe zwykłe odzienie, udał się do restauracji Ojca Lahire, gdzie stałym był gościem.

Powróćmy jednak do Maryi Harmant.

Wyszędłszy z mieszkania Łucyi, którego drzwi gwałtownie zatrzasnęła za sobą, córka milionera zatrzymała się na

przedziale wschodów, przyłożywszy obie ręce do gardła, jak gdyby dla powstrzymania łkania, które gwałtem wybuchnąć chciało z jej piersi. Następnie otarła czoło zroszone kroplami potu, a walcząc z osłabieniem, ovladającym jej duszę i ciało, zeszła ze schodów, minęła podwórze i wsiadłszy do powozu, rozkazała stangretowi jechać do pałacu.

Rzuciwszy się w kąt karety, zapuściła na twarz woalkę, pozwalając teraz łzom płynąć swobodnie.

Przybywszy na ulicę Murillo, udała się wprost do ojcowskiego gabinetu; przed wejściem tam jednak przywołała całą odwagę, nakazując milczenie gwałtownym uderzeniom serca, poczem nagle otworzyła drzwi i weszła.

Harmant siedział przed biurkiem zapełnionem papierami; posłyszawszy szelest, zwrócił się ku drzwiom. Na widok bladej twarzy swej córki, jej rysów zmienionych, oczu zaczerwienionych i od płaczu nabrzękłych, ogarnęła nim trwoga. Przerażony podniósł się i podeszedł ku niej.

— Dziecię! moje dziecko! — pytał — co tobie?

Marya skończyć mu nie dozwoliła.

— Oszukałeś mnie, ojczy— wyjąkała głucho— skłamałeś! Lucyan nie kocha mnie... On inną kocha i tamtą zaślubi!

Milioner zadrżał od stóp do głowy, jakby rażony piorunem.

— Maryo! — zawołał — z kąd ty wiesz o tem. Jeżeli ukrywał przed tobą tę miłość to dla tego, że postanowiłem ją zwalczyć wszelkimi sposobami, a co postanowie, spełnić się musi. Kto odkrył ci tajemnicę jakiej znać nie powinnaś?

— Kto odkrył?.. Ta, którą on kocha... która jest dumną z jego miłości! Ona o swoim szczęściu rozgłasza na wszystkie strony, a on... który to słuchał... on! niezaprzeciżył jej słowem, ni jednym gestem. Ha! cóż... źle jestem powiadomiona? — wołała z rozpaczą — chcesz może ojczy dalej jeszcze mnie łudzić?..

XXV.

Harmant stał w głębokiej zadumie, z pochyloną głową.

— Widziałaś go więc? — zapytał.

— Widziałam go przy niej... przy jego narzeczonej... widziałam ich promieniejących szczęściem oboje... I ach... ten widok ich szczęścia omal mnie nie zabił... Uwielbiają się nawzajem... i wkrótce się zaślubią!..

— Nie moje dziecię... ty nie wierz temu — rzekł przemysłowiec. — On nie może kochać prawdziwie tej kobiety... On jej nie zaślubi!..

Marya wybuchnęła łkaniem.

— Dlaczego ojciec skłamałeś przedemną? — wyjąknęła z płaczem — dlaczego jeszcze chcesz kłamać? Twoje kłamstwo sprawia mi wiele złego... Ono roznieciło w mem sercu zwo-dniczą nadzieję... I otóż przyszła rzeczywistość... zimna, okrutna, rzeczywistość... która stanie się mą śmiercią!..

Jakób Garaud torturowany temi słowy dziewczęcia, czuł, iż czaszka pęka mu prawie, był pewien, iż dostaje obłądu.

— Maryo! — zawołał — ukochane dziecko... jedyna ty moja pociecho, jedyna radości na świecie, uspokój się... proszę... zaklinam... nie rozpaczaj... ale posłuchaj mnie raczej! Jeśli skłamałem, to dla tego, że nie miał siły patrzeć na ciebie, we łzach bolejącą...

— Wiedziałeś wszakże, że on inną kocha...

— Tak, on mi to powiedział, a ja mu dałem do zrozumienia, że twoje serce zwraca się ku niemu... Zrobiłem porównanie pomiędzy tobą, a tą, którą on chce zaślubić bez majątku... Błysnąłem mu przed oczyma przyszłością... przyszłością piękną, wspaniałą, o jakiej nigdy śnić nie mógł... Prosiłem aby się zastanowił... rozważył... Liczę, że zdołam go jeszcze przekonać... wstrzymać biegnącego na zgubę... Mam nadzieję, że go przywiodę do stóp twoich, gotowego cię kochać... obdarzyć cię szczęściem...

— Szczęście!.. — powtórzyło dziewczę z goryczą — ono już dla mnie nie istnieje!

— A gdybym ci przysiągł na pamięć twej matki, że zostaniesz żoną Lucyana, czy uwierzyłabyś mi natenczas?..

Marya potrząsnęła głową przecząco.

— Nie! — odpowiedziała — raz mnie już zwiodłeś mój ojcze, wierzyć ci nie mogę!

— Mimo to ja ci składam najuroczystsą przysięgę. Złamanie jej z mej strony, byłoby zbrodnią. Nie wątp o mojem słowie... Lucyana cię zaślubi!..

— I kochać mnie będzie?..

— Tak... będzie cię kochał!

Marya rzuciła się ojcu w objęcia.

— Ach! uczyni to... uczyni!.. — wołała — a ocalisz mi życie!.. Rozpacz osiadła w mej duszy... trzeba ją wyrwać z tamtąd, inaczej ja umrę! Lecz ty mój ojcze nie będziesz mógł tego uczynić...

— Dlaczego?

— Ponieważ ona go kocha...

— Któż jest tą, o której mówisz?

— Łucya... szwaczka od pani Augusty, mojej modniarki... dziewczyna, bez znaczenia... porzucone dziecko...

— Porzucone dziecko — powtórzył żywo Garaud — zatem niema ojca, ni matki?

— Ani ojca, ani matki, ani nazwiska, ani rodziny — mówiła Marya ze wzrastającą pogardą. W miejsce nazwiska ma numer... numer dziewiąty, jaki jej w przytułku nadano, i pod którym została zapisaną w księgach rejestrowych... I takiej istocie... takiej... on daje pierwszeństwo!.. — wołała — i taką... taką, on kocha!

— Nie, moje dziecko... on jej nie kocha — rzekł Garaud — on jej kochać nie może! Lucyana jak wszyscy młodzi ludzie, ma kochankę... tą jego kochanką jest ona... Związki tego rodzaju są przemijającymi, łatwymi do zerwania.

— Ach! — zawołała Marya, z oczyma pałającemi gniewem i zemstą — ach! jak ja ją nienawidzę tę wychowaną szpitalal.. Ona mi zabrała wszystką mą radość... całe me szczęście... moje nadzieje... wszystko zabrała mi... wszystko!

W owej chwili wzburzenia, milionerka zmieniła się do niepoznania. Żyły wydeły się na jej czole, usta fioletowemi się stały. Nieprzewidziana gwałtowność ataku mogła spowodzić katastrofę.

— Dziecię ukochane... uspokój się... Ja błagam cię o to na kolanach — mówił Jakób Garaud proszącym głosem. — Uczyniłem przysięgę, której dotrzymam. Zostaniesz żoną Lucyana.

— Lecz ta dziewczyna?

— On ją porzuci.

— A jeśli nie zechce jej porzucić?..

— Znajdzie się sposób usunięcia jej od niego...

— Tak to prawda! — wołała Marya gorączkowo — usunąć ją... usunąć od niego potrzeba... Byłby to jedyny sposób powrócenia mi Lucyana... Lecz jak to uczynić?

— Co cię to obchodzi... abym otrzymał skutek pożądanym... abym powrócił spokój w twą duszę... a w serce nadzieję. Lucyan wyjeżdża obecnie na dni kilkanaście... Kto wie, czyli ta nieobecność nie starczy, aby zapomniał o swej fantazyi...

— Fantazyi — powtórzyła Marya z goryczą — fantazyi, trwającej od dwóch lat przeszło.

— Lecz widzę nie rozumiałaś mnie!..—zawołał Garaud, zatrzymując na Maryi spojrzenie, iskrzące blaskiem ponurym. — Na pamięć twojej matki przysięgam, iż ci powrócę Lucyana i dotrzymam przysięgi! Mówiłem ci, że usuniemy tę dziewczynę i on o niej zapomni. A więc tak się stanie!..

Marya nie słuchała więcej, czyli raczej dosłyszeć nie mogła, łkania dusiły ją prawie. Zwolna nastąpiła reakcja, uspokoiła się, przytłaczał ją jednak smutek głęboki.

— O! nie wiem dlaczego i po co Bóg mi pozwolił się narodzić — szeptała — pozostaje mi jedynie cierpieć do śmierci.

— Nie! potrzeba ci żyć, ażebyś była szczęśliwą!—odrzekł milioner, biorąc ją w objęcia i okrywając pieścizotami.

Marya usiłowała się uśmiechnąć i po chwili wyszła z gabinetu, ponura, z pochyloną głową. Za przybyciem do swego pokoju, pochwycił ją atak nerwowy, trwający blisko godzinę, poczem uspokoiła się, czyli raczej wpadła w obezwładnienie. Opanowała ją silna gorączka, podczas której utraciła przytomność. Cios jaki uderzył w jej słaby, wątły organizm, straszniejszym był na wszelkie niebezpieczeństwo.

Pokojówka rozebrawszy ją, ułożyła na łóżku, poczem poszła zawiadomić Harmanta, że panienka pragnąc wypocząć nie przyjdzie dzisiaj na obiad.

Były nadzorca fabryki Lucyana Labroue, jego morderca i podpalacz z Alfortville, postanowił jak wiemy zgładzić gdyby było potrzeba rywalkę swej córki. Jej rozpacz jakiej był świadkiem, zdwoiła jego nienawiść dla biednej Łucyi. Owóż natychmiast po obiedzie wyszedł pieszo, udając się do małego domku przy ulicy Clichy.

Owidyusz przewidując jego przybycie, stał w oknie, pilnie śledząc; za pierwszym poruszeniem dzwonka pobiegł otworzyć, prowadząc przybyłego do pawilonu.

— Ach! do pioruna... mój stary, oczekiwałem cię niecierpliwie — zawołał, skoro znaleźli się sami.

— Dlaczego niecierpliwie?

— Mam wiele z tobą do pomówienia...

— Mów zatem...

— Śledziłem naszego ptaszka i dzięki zadziwiającej zręczności, jaką pochłubić się mogę, znam nazwisko i adres mieszkania tej... o którą nam chodzi...

— I ja wiem te wszystkie szczegóły — rzekł obojętnie Garaud.

— Czy podobna?

— Tak... jest to prawdziwem...

— Twoja córka więc o wszystkim cię powiadomiła?..

— Ona... ona właśnie...

— Lecz zkąd zna tę osobę?

— Łucya jest jedną z robotnic u jej modniarki.

— Otóż co mi teraz wyjaśnia obecność mojej kuzynki przy ulicy de Bourbon...

— Spotkałeś ją tam?

— Znalazłam się nagle naprzeciw niej, przy okienku odzwiernej.

— Zatem cię poznała?..

— Bynajmniej! — zawołał Owidyusz — jakże licha masz o mnie wyobrażenie? Miałem na sobie ubiór mularza, cały wapnem pokryty. Mularz nigdy nie był prawdziwszym w swojej postaci, jakim ja byłem! Ale... musiała dostać nie lada zawrotu głowy ma piękna kuzynka, zastawszy swego ukochanego u owej szwaczki... he?

— Marya jest owładniona rozpaczą bez granic...

— Nie dziwna... do czarta! dyabelnie ukąszoną została! Radź jej aby uspokoiła swe nerwy... Niechaj się panny Łucyi nie obawia... Ale czy nie wiesz u kogo ona pracuje?

— U pani Augusty, znanej modniarki.

— Która mieszka?..

— Przy ulicy św. Honorjusza, na rogu Castiglione.

— Chodzi codziennie do owej szwalni?

— Niewiem tego.

— Trzeba się o tem powiadomić... Do mnie to należy!

A teraz rozbierzmy poważną stronę tej kwestyi. Kazawszy zniknąć owej osobie, pozostawimy jej rodzinę bez środków utrzymania...

— Łucya nie ma rodziny.

— Sierota zatem bez ojca i matki?

— Opuszczone dziecko, w przytułku wychowane.

— Brawo! tego właśnie nam trzeba. Policją nie znalazłszy nikogo ze strony dziewczyny, któryby się zajął tą sprawą, zwolna działać będzie... Rozpocznie dla formy śledztwo, poszukiwania, wszak nic nie odnajdzie, w obec przedsięwziętych przezemnie środków ostrożności.



— Cóż zrobić zamysłasz?

— Dziwne pytanie, kuzynie... Co myślę zrobić?.. Niech mnie dyabli wezmą, jeśli wiem teraz!.. Najprzód wystudyuję wycieczki i powrót tej małej, ażebym wiedział, o której godzinie wychodzi i o której wraca do siebie, i według otrzymanych wskazówek dopiero rozwinę me plany. Miej ufność we mnie... Wszakże nie jestem głupim zwierzęciem. Zresztą, jak mniemam, ta sprawa bawić mnie będzie, a gdy rzecz jaką zajmuje człeka, przybywa wtedy natchnienie, a z nim odwaga i siła... Ale tylko — dodał, drapiąc się po uchu z zakłopotaniem.

— O cóż chodzi? — zapytał Garaud.

— Sądzę, iż to cię będzie drogo kosztowało...

— Co to znaczy? — odparł przemysłowiec z lekceważeniem.

— Pieniądz jest motorem wojny — wyrzekł Soliveau — wszakże wiesz o tem. Chcąc dobrze spełnić jaką misję, nie należy dać się powstrzymać niczemu...

— Mówiłem ci, ażebyś czerpał z mej kasy... nie chciałeś...

— Zmieniły się obecnie okoliczności.

— Ileż potrzebujesz?

— Nic nie wiem...

— Chcesz dwadzieścia tysięcy franków?

— Niech będzie dwadzieścia tysięcy... Być może, iż ich nie wydam... a może wydam i więcej...

— Powtarzam, nie zważaj na wydatek, ażeby tylko Lucyan powrócił do Maryi i aby ona była szczęśliwą.

— Daj więc dwadzieścia tysięcy... gdyby to niewystarczającym się okazało, wiem gdzie cię znaleźć.

Harmant otworzył pugilares. Wydobył zeń kilka paczek biletów bankowych, każda po dziesięć tysięcy franków, wyjął dwie i takowe podał Owidyuszowi.

— Dziękuję — rzekł tenże, chowając pieniądze. To jest na koszt kampanii, a dla mnie co dajesz?

— Ile żądasz... ułóż rachunek.

Soliveau spojrział na swego mniemanego kuzyna.

— Obecnie — rzekł — nie nie chcę od ciebie. Jesteś dobrym chłopcem, ufam ci... porachujemy się po dokonaniu sprawy.

— Jak chcesz... A kiedyż rozpoczniesz działanie?

— Od jutra.

— Pamiętaj, że Lucyan Labroue będzie nieobecnym tylko przez dni dwadzieścia...

— Przed dwudziestoma dniami wszystko ukończonem zostanie.

Po krótkiej pogadance, obaj współnicy się rozłączyli.

Harmant udał się do swego pałacu. Szedł z podniesioną głową, z sercem rażnem i lekkim, nie myśląc bynajmniej o poleconej i zapłaconej przez siebie zbrodni. Myślał wyłącznie o jednej rzeczy... Jego córka będzie szczęśliwą... Cóż zresztą obchodziło go więcej?

## XXVI.

Lucyan Labroue po przechadźce wraz z Łucyą w ogrodzie Botanicznym, powrócili na ulicę Bourbon. Wspomnienie sceny, jaka miała miejsce w mieszkaniu szwaczki, ulotniło się całkiem z ich pamięci. Pośród wesołej pogadanki młode dziewczę zakrzętało się około przyrządzenia obiadu, w czym Lucyan przychodził jej z pomocą. Z uderzeniem szóstej, Łucya zawołała żartobliwie.

— Panie narzeczony... proszę do stołu, obiad gotowy.

— Matka Eliza nie przyjdzie już chyba — pytał Labroue.

— Zapewne... dziwi mię to wielce... Obawiam się czy pani Lebret gorzej nie słaba.

Zaledwie wymówiła te słowa, dało się słyszeć lekkie we drzwi puknięcie i matka Eliza, czyli raczej Joanna Fortier ukazała się w progu.

Lucyan podbiegł ku niej.

— Witamy panią! — rzekł — właśnie mówiliśmy o tobie przed chwilą.

Lucya uścisnęła przybyłą.

— Siądź pani z nami do obiadu—wyrzekła.

— Nie mogę, drogie dziecko, mimo całej przyjemności, jakąby mi to uczyniło.

— Dlaczego?

— Pani Lebret mocniej jest słabą... Muszę powracać do sklepu. Przyszłam wziąć okrycie, a nie chcąc wchodzić do siebie przed widzeniem się z tobą, przybiegłam na chwilę, aby was oboje pozdrowić, ponieważ spodziewałam się, że tu zastanę pana Lucyana.

— Lucyana, który mnie opuszcza na trzy tygodnie—wyrzekła smutno dziewczyna.

— Odjeżdżasz pan?—pytała wdowa z niepokojem.

— Tak, matko Elizo.

— Gdzie? co cię zmusza do tego?

— Ważna robota na prowincyi, przy której nadzór powierzył mi pan Harmant.

— I twoja nieobecność potrwa aż trzy tygodnie?

— Mniej więcej...

— Ach! to cała wieczność!—zawołała Lucya z westchnieniem.—I jeszcze ciebie przy mnie nie będzie, matko Elizo...

— Smuci mnie to niewypowiedzianie — wyrzekła roznościelka;—nie mogę jednak opuścić tej biednej, chorej kobiety, która jest dla mnie tak dobrą i pragnie, abym ja nad nią czuwała. Bądź jednak spokojną—dodała—przybiegnę, aby cię uścisnąć, ilekroć tylko znajdę wolną chwilę.

— Proszę cię o to, matko Elizo—rzekł Labroue.

— Będę przyśpieszała mój obchód co rano, ażeby zyskać choć kilka minut czasu na pomówienie z Lucyą, przynosząc jej chleb—odparła wdowa.

— Będziemy o nim mówiły!—szepnęło dziewczę, obrzucając tkliwym spojrzeniem swego przyszłego męża.

— A o kimże miałybyśmy mówić, jeśli nie o nim... Lecz przeszkadzam wam w spożyciu obiadu—mówiła dalej wdowa Fortier — pani Lebret oczekuje mego powrotu niecierpliwie. Życzę więc szczęśliwej podróży, panie Lucyanie. Będę prosiła Stwórcy, ażeby cię miał w swojej opiece... Bądź pewien, iż nie zapomnimy tu o tobie. Co do mnie, będę troskliwie czuwała nad ukochanym twym skarbem.

Tu okryła pocałunkami rumiane policzki dziewczęcia.

— Dowidzenia wkrótce. Wyszedszy od siebie, jeszcze raz na chwilę wstąpię tu do was.

Tu weszła do swego pokoju, a zabrawszy potrzebne przedmioty, wróciła, ażeby ucałować Łucyę, uścisnąć rękę Lucyana, poczem udała się do piekarni na ulicę Delfinatu.

Syn Juliana Labroue, mając wyjechać nazajutrz rano pociągiem wychodzącym o szóstej godzinie, potrzebował nieco wcześniej wrócić do swego mieszkania, aby się przygotować do podróży. Około dziesiątej więc pożegnał Łucyę, obiecując jej pisywać codziennie i wsiadłszy do powozu, kazał się zawięzić na ulicę Miromesnil.

Nazajutrz znalazł na stacyi drogi żelaznej nadzorcę i dwóch mechaników, mających mu towarzyszyć do Bellegarde i wkrótce lokomotywa uniosła go zdala od ukochanej.

\*

\*

\*

Od dnia, w którym po raz pierwszy przedstawiliśmy naszym czytelnikom Owidyusza Soliveau, mogli się oni przekonać, iż ów łotr, pełen występków, był zdolnym do najhaniebniejszych zbrodni.

Przypominamy sobie, iż na okręcie *Lord-Major*, wiozącym go do Ameryki, pokusił się o kradzież, a nie było to pierwszą jego próbą na tem polu, ponieważ Ireneusz Bosse objaśnił Harmanta, iż miał w ręku wyrok, skazujący Owidyusza na karę za kradzież z włamaniem. Od kradzieży do morderstwa

przestrzeń jest krótką dla nędznika, uznającego jedno tylko prawo, a mianowicie swój osobisty interes.

Nic bardziej nie przypadło mu do smaku, jak *praca* na rachunek swego mniemanego kuzyna, którego majątek zdawał mu się być niewyczerpanym. Przyjął więc bez wahania, bez najmniejszego skrupułu, potworną zbrodnię, proponowaną sobie przez Jakóba Garaud, z której obiecywał sobie wyciągnąć o ile się da największą dla siebie korzyść. Oprócz tego lubił wzruszenia, jakiegokolwiekbądź byłyby one natury.

Słyszeliśmy go mówiącym, iż projekt tej zbrodni bawił go i zajmował, a skoro jaki projekt wzbudza upodobanie, łatwo przychodzi wynaleźć środki do jego wykonania. Środków tych szukać należało w zwyczajach osobistości, w którą Jakób Garaud uderzył postanowił.

Soliveau zauważył, że ubiór mularza, przywdziany przezeń w wigilię dnia tego, nie był stosownym do rozpoczęcia kampanii, że potrzeba mu będzie rozmaitych przebrań, któreby mu pozwoliły zmieniać się w różne postacie, dla uniknięcia poszukiwań policyi, jakieby nieodmiennie rozpoczętemi być mogły po zniknięciu młodej szwaczki. Wstawszy równo ze świtem, przywdział jedno z najstarszych swych ubrań i wzięwszy walizkę, udał się w stronę Temple, gdzie mieszczą się liczne składy używanej garderoby. Chodząc tam po sklepach, rozmawiając ze sprzedającymi, przedstawił się im jako aktor prowincjonalny, potrzebujący skompletować swą garderobę. Dla potwierdzenia słów swoich, kupił kilka zużytych kostiumów, dołączając do takowych różne sceniczne ozdoby, celem łatwiejszego wprowadzenia w błąd sprzedających. Łotr ten posiadał intuicję prawdziwego komedyanta, szukającego efektu w absolutnej prawdzie, w naturalizmie, ztąd starą bluzę, niegdyś błękitną, dziś wypłowiałą przez użycie, uważał jako ważny czynnik dla dopięcia celu.

Wróciwszy fiakrem na ulicę Clichy, przywiózł nietylko wyładowaną ubiorami walizkę, lecz z pół tuzina grubych pakunków. Przeniósłszy to wszystko do swego gabinetu w pawilo-

nie, zmienił go w garderobę i jak kostiuner teatralny, rozdzielał starannie przedmioty, tworząc z nich metodycznie różną całość. Późno w noc ukończywszy robotę, z wczesnym porankiem nazajutrz postanowił rozpocząć śledzenie zwyczajów Łucyi. Wszystko, co usłyszał od Harmanta o tem młodem dziewczęciu zatrzymał w pamięci. Obecnie potrzeba mu było wiedzieć, czy narzeczona Lucyana chodziła codziennie do pracowni pani Augusty, o której godzinie wychodziła ze swego mieszkania i o której wracała. Przed powiadomieniem się o tych szczegółach niepodobna mu było ułożyć planu.

We wtorek zrana wyszedł z domu w ubiorze miejskiego posłańca i wsiadł na placu Clichy w omnibus, który przystawał w pobliżu wyspy św. Ludwika. Ubrany z najwyższą starannością, stał się posłańcem od stóp do głowy, zmieniony do niepoznania. Wsiadłszy z omnibusu w pobliżu ratusza, udał się pieszo na ulicę de Bourbon. Znalazłszy się nieopodal domu, w którym zamieszkiwała Łucya, wyjął z kieszeni kawałek papieru i zapisał na nim jej adres.

Dziewiąta uderzyła na wieżowym zegarze kościoła św. Ludwika. Mniemany posłaniec wszedł w bramę domu nr. 9, skierował się w podwórze, zwracając ku okienku odźwiernej.

— Panna Łucya tu mieszka? — zapytał, czytając niby adres nakreślony na papierze.

— Tak, na szóstym piętrze, po lewej.

— Czy jest w domu?

— Zastaniesz ją pan napewno.

Soliveau udał się na schody i minął pierwsze piętro. Tu jednak zatrzymał się chwilę.

— Jeśli ta mała — rzekł — nie wyszła o tej godzinie, wiadoczna, iż pracuje w domu u siebie; wychodzi zatem do szwalni jedynie, ażeby odnieść robotę.

Po kilku minutach zeszedł na dół. Odźwierna, zajęta przyrządzaniem śniadania, nie dostrzegła go wcale.

## XXVII.

Z ulicy Bourbon Owidyusz udał się na ulicę św. Honoryusza, gdzie z łatwością przyszło mu odnaleźć zakład pani Augusty. Nazwisko słynnej modniarki było wypisane wielkimi złoconemi literami przez całą długość balkonu.

Mniemany posłaniec szedł prosto do szwalni i zadzwonił. Służący, w liberyę przybrany, otworzywszy mu drzwi, zaprowadził go do panny zarządzającej pracownią, ładnej dziewczyny, ustrojonej według ostatniej mody, która zastępowała manekin, przymierzając na siebie przez cały dzień różne toalety wynalazku modniarki.

Solveau przybrał w rozmowie akcent czystego syna Owernii.

— Zastałem pannę Łucyę?—zapytał, szepleniąc.

— Któż to ta panna Łucya? — odrzekła z uśmiechem zapytana.

— Robotnica, która tu pracuje...

— Ach! Łucya...

— Tak, właśnie... panna Łucya...

— Nie ma jej... ona bierze do domu robotę.

— Mieszka przy ulicy Bourbon?

— Tak... masz pan list do niej?

— Nie, mam jej doręczyć przesyłkę...

— A!... przesyłkę... od kogo?

— Od pewnego młodego pana...

— Od młodego mężczyzny! Ha! ha! rzecz się wydaje pomimowolnie... Ta więc świętoszka ma stosunki z młodymi pannami—mówiła panna z ironicznym uśmiechem—takich poleceń ja nie przyjmuję. Powiedz owemu panu, aby sam jej to doręczył. Łucya jest dumna, zarozumiała, nos w górę zadziera przychodzi tu jedynie, ażeby odnieść robotę i zabrać ztąd nową.

— Dziękuję za objaśnienie—rzekł Solveau, ku drzwiom się zwracając.

— A jak się ów pan nazywa?—zagadnęła panna ciekawie.

— Nie wiem tego, lecz zdaje mi się, że gruba to ryba.

— Tak sądzisz?

— Tak, pani.

Tu skłoniwszy się, nędznik ku drzwiom pośpieszył.

Panna weszła do salonu przymierzania sukciem, uradowana pozyskanem niespodziewanie objaśnieniem, co do tej napuszonej indyczki, jak Łucyę zwykle nazywała.

Wyszedłszy na ulicę, mówił sobie Owidyusz:

— Ona jest, widzę, zazdrosną... nienawidzi swej koleżanki... będzie można z tego dla siebie jakąś korzyść wyciągnąć... Nic nie zaniedbujmy—oto moja dewiza.

Przystanął na trotuarze, rozmyślając, co mu teraz czynić wypada.

— Łucya przychodzi tu tylko odnieść robotę—wyszeptał—przychodzi zatem w dzień biały, a wśród dnia przedsięwziąć nic niepodobna. Trzeba mi zebrać jeszcze rozleglejsze objaśnienia... Lecz kto mi ich udzieli? Ma się rozumieć, że owa panna ze szwalni... Przez nią to znajdę sposób dojścia do celu.

I zamiast odejść, Soliveau postanowił bezzwłocznie myśl swoją w czyn wprowadzić, skutkiem czego wrócił się do domu pani Augusty, przystępując do okienka odźwiernej.

Wysłanego za posyłkami męża zastępowała żona, przyrządzając, podobnie jak odźwierna z ulicy Bourbon, śniadanie.

— Wybacz pani, lecz chcę cię prosić o małe objaśnienie—rzekł mniemany posłaniec.

— O cóż chodzi?

— Powiedz mi pani, o której godzinie robotnice pani Augusty wychodzą z pracowni?

Odźwierna uśmiechnęła się, jako kobieta znająca życie paryżkie i pojmująca, co w tem zapytaniu się kryje.

— Pan nie dla siebie pytasz mnie o to, wszak prawda?—wyrzekła.

Owidysz głośno się roześmiał.



— Odgadłaś pani rzecz za pierwszym spojrzeniem — odpowiedział. — Możesz się pochlubić... masz prawdziwie amerykańską przenikliwość...

To mówiąc, wsunął w rękę kobiety luidora.

— A więc tak, przyznam — mówił dalej — nie dla siebie ją pytam, jest to polecenie, jakie mi spełnić kazano.

Odźwierna, uczuwszy złoty, błyszczący pieniądz w rękę, mile się uśmiechnęła.

— Objaśnię pana — odpowiedziała.

— A zatem?

— W pracowni pani Augusty znajduje się kilka rodzajów robotnic: szwaczki, panny magazynowe, krojczynie i panny do przymierzania sukien.

— O te ja właśnie pytam.

— Wychodzą one o ósmej wieczorem.

— Dużo ich jest w zakładzie?

— Są trzy: panna Irma, panna Ludwika i panna Amanda, ładna, zalotna brunetka, najmłodsza z tych trzech.

— Ta, która ma znamię na prawem policzku?

— O! ta... ta właśnie.

— A w dzień wychodzą one czasami?

— Mają godzinę wolnego czasu na śniadanie i wychodzą kolejno, jedna po drugiej do pobliskiej restauracji, poczynawszy od jedenastej...

— Mówisz więc pani, że owa ładna brunetka z pieprzykiem na prawym policzku, nazywa się panna Amanda?

— Tak jest... i dla dowiedzenia się o niej pan tutaj przychodzisz?

— Być może... — odparł z uśmiechem Soliveau i podziękowawszy za objaśnienie, odszedł.

— Ha! ha! sprytny to człowiek — mówiła, spoglądając za nim odźwierna — zarabiać musi немало... Zna dobrze swoje rzemiosło. Wysłanym widać został przez jakiegoś młokosa który znajomość chce zawrzeć z Amandą.

Zaledwie skończyła te słowa, gdy wspomniona panna Amanda ukazała się na schodach, wbiegając z pośpiechem ku okienku odzwiernej.

— Czy pani nic nie masz dla mnie pani Bardet?—spytała.

— Alboż pani spodziewałaś się czego?—odrzekła ze złośliwym uśmiechem kobieta.

— Śnił mi się tej nocy pies biały — mówiła Amanda— a sennik objaśnia, że biały pies oznacza dobrą wiadomość. Spodziewam się więc dziś czegoś przyjemnego...

— Wszystko to być może—odparła matka Bardet, przygryzając usta fluternie.—Kto wie, czy ów sen się nie sprawdzi?...

— Pani coś wiesz! — zawołała dziewczyna.—Cóż więc, cóż?—powtarzała zaciekawiona—droga, kochana pani Bardet, powiedz mi, proszę!

— Zdaje mi się, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, otrzymasz pani wkrótce wiadomość od osoby, która się tobą bardzo zajmuje...

— Mówiono więc pani o mnie?

— Być może...

— Zatem mówiono... I cóż powiedziano?

— Pytano mnie o panią...

— Lecz kto? elegancki jaki chłopiec przynajmniej?

— Ba! nie ten, który mnie pytał, lecz ten, który wysłał kogoś z zapytaniem, rzecz pewna.

— O cóż on panią zapytywał?

— O której godzinie wychodzicie panie na śniadanie i o której opuszczacie pracownię wieczorem.

— Cóż pani odpowiedziałaś?

— To, co należało odpowiedzieć, prócz tego, przedstawiłam panią w najlepszy sposób.

— O! pani Bardet!—zawołała z przejęciem Amanda—jeżeli mój sen nie kłamie, spotka mnie wkrótce jakieś niezwykle szczęście! Wywdzięczę się pani sownicy... Dostaniesz odemnie loty zegarek z łańcuszkiem.

— Dobrze, liczę już, jak gdybym go miała.

— A teraz biegnę na śniadanie, by się nie opóźnić.

To mówiąc, Amanda, pełna różowych nadziei, pobiegła do restauracyi na ranny posiłek.

Amanda Regamy miała dwadzieścia sześć lat. Wiemy, iż była ładną i w zachwycający sposób ubierać się umiała. To jej jedynie zjednało miejsce w zakładzie mód pani Augusty, ponieważ co do roboty, trudno byłoby znaleźć bardziej od niej niezręczną szwaczkę. Ubierano ją wytwornie, aby na jej kształtnej postaci lepiej wydawały się modne wynalazki sławnej krojczyni i nauczono ją zręcznie ubiory przymierzać.

Jako córka rzemieślniczej rodziny, gdzie mąż w szynkowniach trawił wieczory, a matka uczęszczała na bale pozarogatkowe, dziewczyna wzrosła pośród ulicy, jak opuszczone dziecko, odbierając więcej plag niż pieszczot, mając jedynie dokoła siebie najopłakańsze przykłady.

Pozbawiona wszelkich zasad, nawet elementarnych, wdychała do próżnowania i zbytku, do rozkoszy materyalnych. Jej ideałem było stać się jedną z tych kobiet, których rzemiosłem jest być piękną i zachwycać sobą cały Paryż. Wiedząc, że jest ładną, marzyła o świetnej dla siebie przyszłości, o małym pałacyku w pobliżu ulicy Proсны, o służbie w liberyi, powozie, łoży, na pierwsze przedstawienia teatralne, i kolacyjkać w oddzielnych gabinetach.

Śniący się jej pies biały i słowa pani Bardet, odźwiernej, utrwały w niej wiarę w urzeczywistnienie tych marzeń, wskazując jej w bliskości ową upragnioną erę.

Przez rok zamieszkiwała w Joigny, u pewnej szwaczki, z kąd się wydalić musiała wskutek pewnej awantury, jaką później poznamy. W dniu dzisiejszym niezwykle roztargniona, przymierzała na odwrót kostyummy i nie jedną z klientek pokłuła szpilkami. Minuty dnia zdawały się jej być długimi jak całe wieki!

— Czyż chwila wyjścia z zakładu nie nastąpi wreszcie?! — powtarzała.

— Oczekuje on na mnie bezwątpienia... pragnie iść ze mną... zacząć rozmowę... Jak postąpić... chcąc się utrzymać na przynależnem stanowisku, a niezrazić nieznanjomego, który tak żywo się mną interesuje?

## XXVIII.

Codziennie, o kwadrans na dziesiątą, Amanda wraz z dwiema swojemi towarzyszkami, wchodziły do gabinetu, w rodzaju garderoby na ich użytek przeznaczonego, gdzie zdejmowały bogate suknie pani Augusty, przywdziewając swe własne skromne ubrania.

Amanda cierpiała wiele co wieczór, przy zmienianiu owych ubiorów. Błyskotliwe toalety dziwnie ją nęciły ku sobie; skromne nie były dla niej stosownemi, taki przynajmniej sąd wygłaszała. Skończywszy owo przebranie, spojrzała z gniewem w zwierciadło i wyszła ostatnia.

Nie zatrzymując się tym razem na pogadance z odzwierianą, udała się na ulicę. Tu zatrzymała się, spoglądając na prawo i lewo po trotuarze, w nadziei spotkania jakiegoś młodzieńca z gardenią w butonierce. Spostrzegła jedynie mężczyznę lat około pięćdziesiąt mieć mogącego, o szpakowatych włosach, lecz nader wytwornie ubranego.

— To nie może być ten — szepnęła — zapewne gdzieś dalej tamten oczekuje i iść szybko zaczęła.

W chwili, gdy przechodziła około owego poważnego wiekiem mężczyzny, ten ją pozdrowił ukłonem.

Amanda zatrzymała się.

— Ach! to chyba on — pomyślała — ma pańską powierzchowność, mimo nieco późnych lat wieku. Nie odskłoniła mu się jednak wcale, ale szła wolniej.

Owidyusz, którego czytelnicy zapewne poznali w owym jegomości, patrzył na jej manewry z ironicznym uśmiechem.

— Idź... idź! — myślał, postępując za nią — intryguj... o ile ci się podoba... Znam ja się na tem... Odźwierna zapewne wszystko powiedziała... Wpadłaś ty już sroko w me sidła.

Amanda szła dalej, zatrzymując się przed sklepami, spoglądając ukradkiem, czy ów nieznajomy ją śledzi.

Soliveau postępował za nią w tej samej odległości.

Tak idąc jedno za drugim, minęli ulicę de la Paix, bulwary, przedmieście Montmartre i przybyli na ulicę des Martyrs. Tu panna zatrzymała się przed wystawą bielizny.

Owidyusz obok niej przystanął.

— Radbym panno Amando pomówić z tobą... — wyszepnął.

Dziewczyna spojrzała, udając zdziwienie.

— Ależ ja nie mam zaszczytu znać pana... — odpowiedziała.

— Niepodobna pani znać wszystkich swych wielbicieli — odparł z galanterią Soliveau — masz ich tak wielką liczbę...

Amanda zarumieniła się, wzrok jej zabłysnął zadowolaniem.

— A to uprzejmy i grzeczny człowiek, mimo, że nie jest młodym — myślała i powtórnie iść zaczęła.

Soliveau jednak tym razem, nie za nią, lecz szedł obok niej.

— Ulica des Martyrs — mówił — jest długą, wzgórzystą, a tem samem utrudzającą; racz więc pani wesprzeć się na mojem ramieniu.

— Ależ, kiedy ja nie znam pana — powtórzyła z cicha Amanda.

— Być może... lecz ja znam panią... i znam od dawna. Od dawna pałam pragnieniem poznania pani bliżej... będąc jednakże nieśmiałym, bojaźliwym, nie miałem odwagi wyznać tego pani.

— Nierozumiem o czem pan mówisz...

— Łatwo jest jednak zrozumieć.

- Panu... być może... lecz dla mnie jest to zagadką...
- Dwa słowa wyjaśnią wszystko...
- Jakie?
- Kocham panią!..
- Kochasz mnie pan... — powtórzyła śmiejąc się Amanda... — Wybacz pan... lecz temu nie wierzę.
- Dla czego?
- Ponieważ to zwykła moneta jaką na wszystkie strony szafują mężczyźni dla pozyskania kobiecych względów...
- Inni mogą kłamać... lecz ja mówię prawdę.
- Zatem, jeśli pan rzeczywiście mnie kochasz, powiedz, jakie są twoje nadal zamiary.
- Najuczciwsze... honorowe, nie wąż pani o tem.
- A gdybym pana prosiła o bliższe wyjaśnienia w tym względzie?
- Najchętniej... lecz tu na ulicy rozmowa w tak poważnym przedmiocie jest niemożliwą... Pani zapewne jeszcze nie obiadowałaś?
- Nie panie.
- I ja zarówno... Przyjmij więc zaproszenie do restauracji... Pomówimy o wszystkim przy obiedzie.
- Amanda głośno się roześmiała.
- Sam na sam — zawołała — nie... panie.
- Dlaczego?
- Ponieważ to jest kompromitującym.
- Lecz nie w towarzystwie człowieka w moim wieku... mającego najuczciwsze zamiary... Przyjm pani proszę... bez wachania.
- Przrzekasz mi opiekę ojcowską... poważne zachowanie się?..
- Przysięgam!
- Ufam więc panu... przyjmuję.
- Dzięki! Gdzież pójdziemy na obiad?
- Gdzie pan zechcesz?

— Zatem pod *Bazanta*. Zakład ten jest mniej uczęszczanym.

W pięć minut później Owidyusz wraz z panną ze szwalni pani Augusty siedzieli naprzeciw siebie, obiadując w restauracyi.

Nie będziemy towarzyszyli obiadującym, w którym to czasie nie zaszło nic ważnego. Amanda przy bliższem poznaniu znalazła zachwycającym swego towarzysza, snując ztąd sobie na przyszłość najpiękniejsze nadzieje.

Po ukończonym obiedzie Soliveau kazał zająć fiakrowi.

— Odwiozę panią do mieszkania — rzekł — a potem wrócę do siebie, dokąd obraz twój towarzyszyć mi będzie. Gdzie pani mieszka?

— Przy ulicy Batignolles, numer 20.

Powóz potoczył się i za kwadrans zatrzymał się w miejscu wskazanem.

— Kiedyż się zobaczymy? — pytała wysiadając.

— Jutro... o jedenastej z rana — odrzekł Soliveau.

— O jedenastej... a gdzie?

— W restauracyi... gdzie pani bywasz codzień na śniadaniu.

— Pan wiesz gdzie ja bywam na śniadaniu?

— Wiem... tak wiem o wszystkim co panią dotyczy... Przyjdę tam wcześniej i będę na panią oczekiwał, poleciwszy przygotować dania, z których pani zadowolona będziesz, mam nadzieję...

— Jak pan jesteś uprzejmym... oczarowałeś mnie... Do jutra zatem!

Tu weszła do swego mieszkania.

Soliveau kazał się zawieść na plac Clichy.

— W ciągu pięciu lub sześciu dni — mówił sobie, jadąc — będę wiedział o wszystkim, co się dzieje u pani Augusty, wszystkie szczegóły, dotyczące Łucyi znane mi będą.

Ucieszony z otrzymanych rezultatów, jako i tych, które spodziewał się otrzymać w przyszłości, zasnął wkrótce po udaniu się na spoczynek.

Amanda ze swej strony tonęła w złotych marzeniach.

O jedenastej nazajutrz Owidyusz przybył do restauracji, gdzie rozkazał przygotować śniadanie na kwadrans na dwunastą. Przed rozejściem się, Soliveau z Amandą naznaczyli sobie godzinę obiadu, przyrzekając, iż tak będzie codziennie.

Trzeciego dnia przybywszy na śniadanie o jedenastej, dziewczyna rzekła do starego swego wielbiciela:

— Musimy się dziś spieszyć... mam pójść za załatwieniem zlecenia pani Augusty.

— Gdzie?

— Mam odnieść materję i ozdoby do sukni balowej, jednej ze szwaczek, pracującej po za zakładem. Chodzi tu o pilne wykończenie roboty.

— Jak daleko mieszka ta szwaczka?

— O! na drugim końcu Paryża... przy ulicy de Bourbon numer 9.

— To Łucya! — pomyślał Owidyusz. — Pozwolisz mi pani sobie towarzyszyć? — zapytał głośno — tym sposobem dłużej razem z sobą pozostaniemy.

— Dobrze... zawołaj pan fiakra i czekaj w nim na mnie o kilkanaście kroków.

Amanda po śniadaniu wyszła z restauracji, Owidyusz przywołał fiakra i oczekiwał w nim niedaleko mieszkania pani Augusty.

Po dziesięciu minutach, dziewczyna wyszedłszy ze szwalni, wsiadła do powozu i położywszy pakiet przed sobą, rozkazała jechać woźnicy na ulicę de Bourbon pod numer 9.



XXIX.

— Czy pani Augusta ma dużo robotnic, pracujących w mieście? — jadąc ze swą towarzyszką zapytał Soliveau.

— Nie wiele — rzekła Amanda — nie lubi ona powierzać roboty do domów. Czyni wszelako wyjątki w tym względzie dla tych, które nie chcą lub nie mogą przychodzić do pracowni. Jedną z takich jest Łucya...

— Któż to ta Łucya?

— Szwaczka, do której właśnie jadę.

— Młoda dziewczyna?

— Tak.

— Ładna?

— Ni ładna, ni brzydka, lecz głupia, a zrozumiwała jak nie można więcej. Udała niewiniątko!.. Do prawdy, to śmiesznel.. Sądzi, że kto uwierzy w jej cnotę... Jest ona wszakże bardzo przebiegłą... Potrafiła zjednać sobie względy pani Augusty, która ją tylko widzi i we wszystkim daje jej przed innemi pierwszeństwo. Właśnie wiozę tu materiały na suknię balową, którą pojutrze będzie musiała pójść przymierzać do Garenne de Colombes, a która musi być gotową na sobotę punktualnie o dziewiątej wieczorem. Skończy ją ona, jestem pewna, bo co do tego, nie opóźnia się nigdy.

— Suknia balowa do Garenne de Colombes? — powtórzył zdumiony Owidysz.

— Cóż w tem dziwnego? To suknia dla żony mera, który wraz z nią zaproszonym został na bal do prefekta Sekwany.

— I panna Łucya pójdzie tak daleko dla przymierzenia?

— Pojedzie pociągiem drogi żelaznej. Ja sama jeżdżę kilkakrotnie do tej pani. Wsiada się w wagon na stacyi Saint-Lazare, a wysiada w Bois de Colombes; minawszy następnie linię Wersalskiej drogi żelaznej, idzie się drogą wiodącą przed sam dom mera. Dobra to wprawdzie przechadzka

w dzień — dodała Amanda — lecz skoro w nocy iść tam wypadnie...

— Byłaś więc tam i w nocy? — pytał Soliveau.

— Tak... raz jeden...

— Sama?

— Nie, z Łucyą. Odnosiłyśmy tej pani suknię wieczorową, w którą w naszej obecności ubrać się chciała, by wiedzieć, czy się nie znajdzie coś do poprawienia. Jest ona niezmiernie kapryśną ta klientka; trudno ją zadowolnić... Trzymała nas wtedy blisko do dziesiątej godziny.

— Musiałyście wsiąść zatem panie do pociągu w Bois de Colombes?

— Tak... o północy minut sześć. Mogła była merowa zabrać nas z sobą w karetę, jadąc do Paryża, lecz tego nie uczyniła.

— Nieprzyjemnie to istotnie wracać tak późno, bezludną, opustoszałą drogą — odrzekł Soliveau — musiałyście się panie bardzo obawiać?

— Rzecz pewna, drżałyśmy obie jak w febrze.

— I pani znów będziesz wracała tak samo, odwiózłszy tą suknię? — badał Owidyusz, wskazując na pakiet leżący na przodzie powozu.

— Tego się właśnie obawiam — odpowiedziała Amanda. — Ach! jakże jest przykrem rzemiosło szwaczki!

— Cierpliwości... cierpliwości, moja turkawko, nie będziesz długo tak pracowała. Ktoś... co cię uwielbia; będzie się starał wytworzyć tobie niezadługo świetne stanowisko.

— Ktoś... co mnie uwielbia?.. — powtórzyła panna z miną naiwnej — któż taki?

— Gołąbko! czyż nie wiesz, że to ja jestem?..

Przy tych słowach fiakr się zatrzymał. Przybyli na przeciw domu numer 9 przy ulicy Bourbon.

Amanda wysiadła z pakietem w rękę.

— Czekał pan tu na mnie — wyrzekła — wrócę za kilka minut, poczem zniknęła w bramie domu.

Soliveau wsunął się w kąć powozu, a przymknawszy oczy, rozmyślać zaczął.

Lekko i żywo dziewczyna w mgnieniu oka dosięgnęła szóstego piętra. Stanawszy u drzwi zapukała z lekka.

— Proszę wejść! — ozwała się Łucya z wewnątrz pokoju.

Szwaczka próg przestąpiła.

— Ach! to ty panno Amando — zawołała narzeczona Lucyana — założyć bym się gotowa, że mi przynosisz pilną robotę.

— Wygrałabyś pani... jest bardzo pilną w rzeczy samej.

— Dla kogo?

— Dla jednej z klientek, bardzo dla nas niedogodnej... Zgadnij dla której...

— Dla pani merowej z Garenne de Colombes... — zawołała śmiejąc się Łucya.

— Odgadłaś... suknia balowa.

— A kiedy przymierzyć ją będzie trzeba?

— Pojutrze...

— Ależ to niepodobna...

— Dlaczego?

— Ponieważ wykończam kostium bardzo pilny dla panny Harmant.

— Odlóż ten kostium... Tak rozkazała pani Augusta, a przede wszystkim zabierz się do szycia tej sukni. Masz pójść przymierzyć ją pojutrze o godzinie trzeciej po południu. Pani merowa potrzebuje tej toalety na sobotę, w tym dniu bowiem jest zaproszoną na bal do prefekta Sekwany.

— Na sobotę! — zawołała Łucya, załamując ręce — a dziś mamy już środę.

— Będziesz musiała szyć w nocy. Pani Augusta poleciła mi powiedzieć, iż odpowiednio wynagrodzi cię za to. Wiele jej na tem zależy, aby zadowolnić swą klientkę z Garenne.

— Ha! muszę więc zrobić...—wyrzekło dziewczę. — Czy trzeba będzie zawieźć tę suknię jak ostatnim razem?

— Ma się rozumieć... pojedę z tobą... tak rozporządziła właścicielka magazynu.

— I znów będziemy się tak obawiały jak wtedy, na tej pustej drodze, wśród nocy...

— Zaśpiewamy sobie dla rozweselenia.

— Ha! i cóż począć, skoro koniecznie potrzeba! Objasnij mnie pani, jak ma być ta suknia zrobioną i pokaż mi garni-runki.

Amanda, rozwinąwszy pakiet, poczęła tłumaczyć wszystko szczegółowo.

— Rozumiem—mówiła Łucya—zaraz się do tego zabiorę.

— Pamiętaj, że masz pojechać pojutrze dla przymie-rzenia.

— Nie zapomnę.

— A w sobotę na godzinę dziewiątą suknia ma być go-tową. Lecz gdzie się spotkamy?

— Nie w pracowni, to niepodobna. Zaledwie będę miała czas zjeść śniadanie... Oznajmij to naszej zwierzchnicze.

— Zatem tu wstąpię po ciebie. Do widzenia, Łucyo!

— Do widzenia!

Amanda wyszedłszy, szybko zbiegła ze schodów. Soli-veau, pogrążony w głębokiem rozmyślaniu, drgnął, skoro nagle otwarła drzwiczki powozu.

— Pan spałeś?—zawołała Amanda, siadając obok niego.

— Przymknąłem oczy umyślnie, ażeby cię ujrzeć w ma-rzeniu...

— A! jak to uprzejma, jak miła odpowiedź, jesteś w rze-czy samej pełnym grzeczności człowiekiem. Lecz odwieź mnie tam, zkad przywiozłeś.

W pół godziny później Amanda wchodziła do magazynu pani Augusty, umówiwszy się z Owidyuszem na spotkanie w wieczorowej godzinie.

Soliveau, mocno zajęty lotrowskim swym planem, udał się na przechadzkę po bulwarach, ażeby tam obmyślić szczegóły zbrodni. O ósmej wieczorem czekał na Amandę w pobliżu pracowni i poszedł z nią na obiad.

— Jutro nie będę mógł towarzyszyć ci przy śniadaniu — rzekł do niej; — potrzebuję jechać do Fontainebleau dla załatwienia ważnych interesów.

— Jestem praktyczną odpowiedziała — interesa przede wszystkim.

— Lecz obiadować będziemy razem.

— Ta nadzieja skróci mi chwile naszego rozłączenia.

— Jakżeś dobrą! — zawołał Soliveau. — Lecz cóż będziemy robili wieczorem?

— Pojedziesz zemną do Folie-Bergère... cóż zgoda?

— Wszystko, co zechcesz... gdzie zechcesz... Rozporządzaj mną według woli.

\* \* \*

Lucyan Labroue, wraz z towarzyszącymi sobie mechanikami, przybył do Bellegarde o dziesiątej wieczorem. Na stacyi wskazano im hotel, gdzie znaleźć mogli dobrą wieszczkę i wygodne pomieszczenie. Nazajutrz udał się do fabryki dla porozumienia się z przemysłowcami względem robót, których kierunek przez Harmanta powierzonym mu został, a jakich wykonywanie miało się rozpocząć dnia następnego. Po tem widzeniu postanowił zawiadomić swego pryncypała o szczęśliwym przybyciu na miejsce, oraz o szczegółach rozmowy z klientami.

Podczas podróży młodzieniec oddał się całkiem rozmyśleniu. Marzył o swojej narzeczonej, a obok niej postać Harmanta nieodłącznie mu się ukazywała. Rozważał w pamięci najdrobniejsze szczegóły spotkania, jakie miało miejsce w niedzielę, w pokoiku Łucyi. Widział bladą twarz córki milionera, jej rysy zmienione, oczy nabiegłe łzami. Odczuwał

cierpienia tego biednego dziewiczego serca, złamanego jego obojętnością; męczarnie tej duszy, którą jego miłość dla Łucyi doprowadzała do rozpacz. Cierpiał wraz z Maryą, żalując, iż nie mógł jej kochać, choćby przez litość jedynie.

— Jest bliską śmierci, być może — myślał — a ja zwiększam jej cierpienie... Skracam jej życie, pragnąc dotrzymać przysięgi. Nie byłoby to dobrym uczynkiem, uczynkiem prawdziwego miłosierdzia, pozostawić jej nadzieję, iż kiedyś może zdołam ją pokochać?... Jej już tak mało do życia pozostaje... Nadzieja ta, podtrzymując ją, czyniłaby jej mniej smutnem zbliżanie się zgonu. Gdybym wykonał ów dobry uczynek i Łucyę o tem powiadomił, zgodziłaby się na to, jestem pewien. Ona ma serce nazbyt szlachetne, by tego nie zrozumiała i zaprobować nie chciała.

### XXX.

Pod wrażeniem powyższych myśli Lucyan, pisząc list do Harmanta, zakończył go następującemi słowy:

„Racz pan wyrazić panie Maryi moje uczucia najżywszej wdzięczności i wysokiego poważania. Mimo dzielącej nas obecnie przestrzeni, panna Marya jest bezustannie obecną mym myślom. Pamiętam dobrze i nigdy nie zapomnę, że jeśli zostałem pańskim współpracownikiem, szlachetnej pańskiej córce wszystko to winien jestem.“

Ukończywszy, podpisał i złożył pióro.

— Ach! zdaje mi się, że połowa ciężaru spadła mi z pierśsi — mówił, pieczętując kopertę.

Następnie napisał do Łucyi list, pełen najtkliwszej miłości, obok czego załączył szczegóły swojej podróży, prośbę o pozdrowienie matki Elizy. Posłaniec wieczorem zaniósł listy na pocztę. Jeżeli Łucya była uszczęśliwioną, swój odbierając, mniemany Harmant był nim zarówno, czytając dopisek, jaki przytoczyliśmy powyżej. Słowa te zdawały mu się być

szczęśliwą wróżbą do tego stopnia, że w pierwszej chwili chciał zaniechać powziętego względem postanowienia Łucyi.

— Otóż poczyną się nakłaniać!—zawołał;—odgadłem, że owa wielka namiętność jest w głębi przemijającym tylko dzieciństwem... Rozmyślił się nareszcie... Ha! nie odrzuca się majątku, skoro takowy łatwo zdobyć nam przychodzi... Widzę, że ten chłopiec nie stanowi wyjątku z ogólnej reguły... W ciągu dwóch miesięcy zobaczę go u stóp mej córki, skutkiem czego być może usunięcie bezwładnej rywalki niepotrzebnem się stanie.

Pełen radości, poszedł do pokojów Maryi, ażeby jej odczytać ostatnie wyrazy listu Lucyana. Biedne to dziewczę od chwili spotkania, które miało miejsce przy ulicy de Bourbon, pogrążonem było w smutku głębokim. Pomimo twierdzeń ojca, jego obietnic i przysiąg, nie wierzyła ona w możność małżeństwa z synem Juliana Labroue. Postać Łucyi stawała bezustannie pomiędzy nią a tym, którego ukochała, co zwiększało jej rozpacz.

Jakób Garaud wszedł z rozjaśnioną twarzą.

— Odebrałem—rzekł—wiadomość od Lucyana.

Blady uśmiech ukazał się na ustach dziewczęcia, oczy jej przelotnym zajaśniały blaskiem.

— Pisał do ciebie, ojcze?—spytała.

— Tak.

— I cóż donosi?

— Wielce pocieszające dla ciebie szczegóły.

— Doprawdy?—mówiła gorączkowo.

— Przeczytaj, proszę, te kilka wierszy, a sama osądzisz.

Tu podał córce list, wskazując przypisek. Marya pochwyciła papier drżącą ręką, rumieniec wystąpił na jej blade policzki. Czytała.

— I cóż?—zapytał Harmant.

— Tak... — wyszeptwała z westchnieniem — przypomniał sobie o tej, która wstawiała się za nim... Wierzę w tę wdzięczność z jego strony... wierzę nawet w jego dla mnie przyjaźń...

Lecz w tych kilku wierszach—dodała z cicha—nie ma nic... nic, coby dawało choć przybliżone pojęcie o rodzącej się miłości... Lucyan nie kocha mnie i nigdy kochać nie będzie... Nie może mnie kochać, bo kocha inną!...

Tu smutno opuściła głowę.

Harmant odgadł raczej te cicho wyszeptane wyrazy córki, niż je usłyszał.

— Pisząc do mnie — odpowiedział z pośpiechem — Labroue nie chciał przekroczyć granic, jakie mu dotąd zakreślało jego postępowanie... Jest on człowiekiem dobrze wychowanym, prawdziwym dżentlemenem, jak kiedyś wyraziłaś się o nim. Napisał to, co przyzwoitość wyrazić mu dozwalała, lecz, mojem zdaniem, widnieje tu jasno wpływ naszej ostatniej rozmowy, jaką oba mieliśmy z sobą. Poczyna on słuchać głosu rozumu... Pojmuje, iż złamałby sobie życie, zniweczył swą przyszłość, zaślubiwszy dziewczynę podobną do tej... dziewczynę bez majątku, bez nazwiska, którą chociażby nawet kochał chwilowo...

— On kocha ją wiernie i stale...—przerwała Marya.

— Lecz kochać przestaje widocznie...

— Zkąd sądzisz o tem, mój ojczy?

— Z dopisku jego w tym liście.

— Nie! ty się mylisz! — zawołała Marya.—Moja miłość lepiej mnie objaśnia nad wszelkie rozumowania... Przeczcucie mego serca jest nieomylnem... Ta młoda dziewczyna, ta Lucyca, staje tu zaporą... nieprzełamaną zaporą... Widziałam pewność tę w jej spojrzeniu... Tak! ona kocha... i jest kochaną... Straconą dla mnie nadzieją!

— Nie! stokroć razy nie!...—zawołał Garand; — miej nadzieję, przeciwnie, służy ci do niej prawo... Przysięgam, że list Lucyana jest pierwszym krokiem zwrócenia się jego ku tobie. Zresztą owa zapora, która zdaje ci się być nieprzełamaną, bardzo łatwo zniknąć może...

— W jaki sposób?

— Ta dziewczyna przeniewierzyć się może...



— Nigdy! nigdy!—zawołała Marya.— Jej oczy wyrażały miłość niezachwianą... miłość bez granic!... Ona nie oszuka tego, którego kocha.

— Lecz umrzeć może!...

— W dwudziestym drugim roku życia?

— Śmierć nie przebiera... nie rachuje...

— To prawda... Nie życzę jej, aby umarła, przysięgam! lecz Bóg, w nią uderzając, łaskę okazałby nademną.

— Cóż mam napisać od ciebie Lucyanowi? — zapytał Harmant po chwili.

— Napisz, ojcze, co chcesz.

— To żadna odpowiedź.

— Możesz mu napisać jedno tylko...

— A to?

— Że go kocham!—zawołała Marya z uniesieniem—i że jeżeli mnie kochać nie będzie, ja umrę!

Garaud ze zbolełym sercem uściskał swą córkę i wyszedł, ażeby ukryć łzy, które mu się do oczu cisnęły. Cierpienie Maryi wprowadziło go w podrażnienie.

— Ona ma słuszość—mówił do siebie—głos serca lepiej objaśnia nad wszystko. Poczynam wierzyć, że wdzięczność jedynie podyktowała Lucyanowi te słowa. A jeśli tak jest, chcę, ażeby wdzięczność w miłość się zmieniła. By dopiąć tego, usunąć przeszkodę należy... Łucya tu staje zaporą... Skruszyć... zgnieść ją trzeba! Przedewszystkiem za jakąbądź cenę szczęście mej córki!

W ciągu dnia Harmant odpisał Lucyanowi, a zapełniwszy trzy części listu interesami, zakończył go temi słowy:

„Moja córka z rozkoszą odczytała te kilka wierszy, zwróconych ku sobie przez ciebie, zacny współpracowniku. Sądzi wszelako, iż jedynie uczucie wdzięczności podyktowało ci te słowa, a wdzięczność jest uczuciem bardzo zimnem. Jak ci wiadomo, biedna moja Marya jest chorą, mocno chorą... Aby okonać to zło i żyć jej pozwolić, potrzeba ją otoczyć ciepłą atmosferą wspólnie dzielonej miłości... W niej jest tylko dla

niej zbawienie... Czyż ten, od którego to ocalenie zależy, umrzeć jej pozwoli?...

Tu przemysłowiec zamknął list, będąc pewnym, że te kilka wyrazów przezeń nakreślonych, silne wrażenie sprawi, na Lucyanie i przyspieszą z jego strony decyzję.

My jednak, znając lepiej charakter Lucyana Labroue innego jesteście przekonania.

\*

\*

\*

Przypominamy sobie, że Owidyusz Soliveau, który przedstawił się Amandzie pod szumnym nazwiskiem barona Arnolda de Reiss, oznajmił, iż nie będzie mógł jej towarzyszyć przy śniadaniu z przyczyny interesów, wzywających go do Fontainebleau. Nazajutrz około dziewiątej zrana, wyszedł od siebie, ubrany jak zwykły mieszczanin, przywdziawszy błękitne okulary, które całkowicie zmieniły jego fizyognomię. Skierował się ku stacyi drogi żelaznej Saint-Lazare, zkąd po śniadaniu udał się do sali, w której sprzedawano bilety i kupił jeden dla siebie do Bois-Colombes.

Pociąg miał odejść za chwilę. Wbiegł więc szybko do wagonu i niezadługo wysiadłszy na przystanku według udzielonych sobie przez Amandę dnia poprzedzającego wskazówek, szedł ulicą, biegnącą w prostej linii ku wersalskiej drodze żelaznej. Przybywszy do przejścia, zamkniętego chwilowo z powodu nadchodzącego pociągu, zatrzymał się, czekając dopóki nie podniosą baryery. Następnie przeszedł wpoprzek szyny.

Pamiętał, jak mówiła Amanda:

— Z szerokiej drogi wiedzie mała drożyna na prawo...

Udał się zatem ową drożyną, nie mającą więcej nad dwumetry szerokości. Płot z gęstych cierni otaczał ją z jednej strony, z drugiej zaś dotykała murów zabudowań wiejskich frontami w przeciwną stronę zwróconych.

XXXI.

Rozpatrując się w położeniu tej okolicy, Soliveau przebiegł ze dwieście metrów drożyną, ścieśnioną z prawej i lewej strony tyłami zabudowań, aż wreszcie dosięgnął miejsca, gdzie owe ściany się kończyły. Z lewej widniała równina, zasiana tu i owdzie kępami drzew. Po jednej stronie drożyny biegł płot cierniowy, z drugiej dotykały do niej pola uprawne. Wprost, o ile wzrok mógł dosięgnąć, wyniosłe drzewa odznaczały gościniec. Była to droga, wiodąca z Paryża do Argenteuil.

Owidyusz szedł zwolna obok linii kolejowej, badając wszystko uważnie. Miał jeszcze przed sobą około pięciuset metrów, aby przybyć do szosy, po obu brzegach której wznosiły się domy, ukryte w rozwijającej się zieleni drzew. W połowie tej drogi, po lewej stronie, ujrzał kępę, złożoną z około trzydziestu topoli, rosnących w gąszczu cierni i innych gęstych krzewów. Dosięgnąwszy owego małego gaju, Soliveau zatrzymał się, badając wzrokiem gęstość zarośli. Z boku wiła się ścieżynka, wiodąca na równinę. Poszedł tą ścieżką, okrążył kępę drzew, przejrzał ją starannie, a zwróciwszy się, szedł aż ku pochyłości, przytykającej do traktu, do którego zarówno dostać się było można schodami z darniny, ułożonemi nieco dalej. Minąwszy to przejście, znalazł się w pobliżu mostu, przy którym wznosił się budynek, a w nim skład kupca win.

— Ten ciura — rzekł sam do siebie — z zapadnięciem nocy zamyka na pewno swą budę. I przeszedł most niezatrzymując się wcale, a dosięgnąwszy Colombes, skierował się ku stacyi, z kądem pierwszym z odchodzących pociągów powrócił do Paryża.

Wszedłszy do siebie, przywdział swe eleganckie ubranie, oczem udał się niezwłocznie na oczekiwane wyjście Amandy ze szwalni.

Wszystko to co opowiedzieliśmy, działo się we czwartek.

Nazajutrz o wpół do drugiej w południe, Łucya wychodziła ze swego mieszkania z pakietem w rękę, a wsiadłszy w fiakr, kazała się wieść na stację Saint-Lazare.

O trzy kwadranse na drugą wsiadła na pociąg drogi żelaznej, mający ją powieść do Bois-Colombes. Pragnąc dotrzymać danego przyrzeczenia pani Auguście, jechała do Garenne de Colombes dla przymierzenia sukni żonie mera na bal, mający się odbyć nazajutrz u prefekta Sekwany.

Wysiadłszy w Garenne, szła z wolną, ostrożnie, aby nie pomiąć drogiej, jedwabnej materji, okrytej z wierzchu lekką tkaniną. Przebywszy drogę na której w wigilią dnia tego widzieliśmy Owidyusza Soliveau, minęła Wersalską drogę żelazną, zwracając się ku znanej nam ścieżynce.

Słońce błyszczało pogodnie. Łucya nie obawiała się mimo, iż okolica była pustą zupełnie. Przybywszy do miejsca gdzie kończyły się ściany budowli, a poczynała równina, spostrzegła pracujących na polu wieśniaków, pod ciepłymi promieniami słońca. Doszedłszy kępy drzew, przeglądanych starannie w dniu poprzedzającym przez Owidyusza cofnęła się nagle, wydając okrzyk przest్రachu. Pod topolą na trawie leżał mężczyzna z głową opartą na rękach uspiiony, lub też udający śpiącego.

Mimo wykrzyknienia Łucyi, nieporuszył się wcale.

— Jakżem dziecinna — pomyślało dziewczę, przechodząc obok niego — wylęklam się śpiącego spokojnie człowieka.

Zaledwie się jednak oddaliła, ów śpiący otworzył oczy, śledząc ją pilnie spojrzeniem, poczem przymknął powieki, zdając się zasypiać na nowo.

Punktualnie o trzeciej godzinie, służąca wprowadziła Łucyę do pokoju żony mera.

Pani merowa była silną, otyłą kobietą, nie ładną wcale, lubiącą jednak się stroić i ucześnieć na zabawy.

— Pochwalić panią należy za jej punktualność — wyrzekła do Łucyi uprzejmie — przychodzisz zapewne suknię mi przymierzyć?

— Tak pani.

— Jestem gotową... zdejmę natychmiast mój negliż.

Łucya rozpoczęła przymierzanie, co było rzeczą nie łatwą do wykonania, klientka albowiem pani Augusty była niezmiernie wybredną; wszystko jej się złem być zdawało, wymagała poprawek i zmian bez końca.

Łucya upinała szpilkami, pruća, poprawiała z niewyczerpaną cierpliwością i po trzech kwadransach zaledwie zdołała ukończyć tę znużającą czynność, zachowawszy w pamięci polecenia i szczegółowe uwagi pani merowej.

— Czy pani wie?— spytała ta ostatnia — iż suknia ma być wykończoną na jutro wieczorem?

— Wiem pani.

— Najpóźniej na dziewiątą godzinę.

— Powiadomiono mnie o tem.

— Pani się nie opóźnisz... wszak prawda?

— Możesz pani liczyć na moją punktualność.

— Przywieź pani z sobą wszystko, czego będzie trzeba dla dokonania ostatecznych poprawek; samą mnie w tą suknię ubierzesz... nie odmów proszę... Będziesz wiedziała lepiej niż moja garderobiana, gdzie na staniku i spódnicy przypiąć bukiety z kwiatów naturalnych, jakie mi ogrodnik w ciągu dnia dostarczy.

— Dobrze pani...

— A zatem do jutra panuo Łucyo..

— Do jutra, pani.

Dziewczę uszczęśliwione ukończeniem tyle kłopotliwej czynności, odetchnęło swobodniej, wyszedłszy na powietrze, biegło z pośpiechem tą samą drogą, jaką przybyło.

Doszedłszy kępy drzew, zauważyła, że ów nieznamy mężczyzna spał jeszcze w tem samym miejscu, tym razem jednak minęła go bez obawy. Skoro się oddaliła o jakie kroków trzydzieści, śpiący podniósł głowę jak pierwej, a otworzywszy

oczy, ściagał ją długo spojrzeniem. Skoro weszła na drogę, biegnącą między płotem cierniowym i ścianami budynków, mężczyzna ów powstawszy, rozejrzał się najprzód w około, czyli go kto nie śledzi, następnie podszedłszy chyłkiem do kępy drzew, zniknął w zaroślach. Rozgarnawszy tam krzaki, wyjął z nich małą walizkę, z której dobył tużurek, okrycie i miękki pilśniowy kapelusz. Zrzuciwszy wtedy płócienną swą bluzę i czapkę podartą jaką miał włożoną na rudej peruce, przywdział na siebie ubranie dobyte z walizki i w oka mgnieniu, jak to zgadują czytelnicy, Owidyusz Soliveau stanął we własnej swojej postaci.

Ubiór robotnika zajął w walizce miejsce wyjętego eleganckiego ubrania i Soliveau wdziawszy kapelusz, z walizką w rękę, wyszedł z zarośli, zwracając się ku drożynie, która przecinając wieś wiodła w stronę gościńca.

— Amanda dobrze mnie objaśniła — mruknął z cicha — jest to droga, którą Łucya iść musi i którą pójdzie jutro wieczorem. Nieszczęściem jednak nie będzie sama. Do kroć piorunów!.. Cóż na to poradzić? Tym gorzej dla Amandy...

Przybywszy na gościniec, zbliżył się do fiakra, który nań oczekiwał. Woźnica drzemał na koźle.

Zbudził go Owidyusz.

— Mój przyjacielu — rzekł. — Zabawić wypadło mi dłużej, niż sądziłem.

— Wszystko mi jedno — odparł powożący — wynająłeś mnie pan na godziny. Teraz jest piąta — dodał, patrząc na zegarek. — Gdzie pan jechać rozkażesz?

— Do Courbevoie.

— Gdzie to jest?

— W pobliżu Asnières.

— Wsiadaj pan.

Soliveau wsiadł, powóz potoczył się szybko i w trzy kwadransy później zatrzymał się przy Asnières.

— Pod jaki numer mam jechać? — zapytał woźnica.

— Zapomniałem... zaczekaj tu... wrócę za kilka minut, długo tam bawić nie będę.

Wysiadłszy z fiakra, udał się do fabryki Harmanta, mówiąc odźwiernemu, iż chce się widzieć z pryncypałem.

### XXXII.

Odesłany przez odźwiernego do biura, jakie już znamy, nakreślił tam parę słów ołówkiem, wsunął w kopertę, zakleił, polecając doreczyć to niezwłocznie właścicielowi fabryki.

Harmant wydał rozkaz wypuszczenia przybyłego.

— Cóż cię sprowadza? — zapytał Owidyusza, skoro ten drzwi zamknął za sobą.

— Czy tam na zewnątrz nie słyhać, co się tu mówi?.. — wyszepnął Soliveau przyciszonym głosem.

— Nie. Masz coś nowego?

— Tak...

— Cóż zatem?

— Na jutro więc...

Znaczenie tego krótkiego zdania było jasnym i straszliwym zarazem.

Garaud zbladł i zadrżał.

— Na jutro?.. — powtórzył.

— Tak... i to w najbardziej sprzyjających warunkach.

— Wytłomacz mi jaśniej...

— Posłuchaj! Tu Soliveau opowiedział szczegóły znane już czytelnikom, oraz plan przez siebie ułożony. Cóż o tem wszystkim myślisz? — zakończył.

— Myślę — odpowiedział Garaud, ocierając czoło potem zroszone, myślę, że ta sprawa pójdzie na rachunek jakiego zarogatkowego włączęgi i że nikomu na jedną chwilę nie przyjdzie na myśl, aby nas posądzał. Jesteś bardzo zręcznym mój bracie!..

— Tak... tak... Wiem o tem — mówił z przechwałką Soliveau. — Pracować dla ciebie... dla prawdziwego przyjaciela... to mi dodaje odwagi, sprowadza natchnienie.

— Nie będę skąpym w okazaniu ci mojej wdzięczności...

— Spodziewam się, do czarta. Skoro ukończę rzecz całą i Lucyan zaślubi twą córkę, nie lada świeczkę mi zapalisz!

— Potrzebujesz teraz czego odemnie?

— Tak... w tym celu właśnie przyszedłem.

— Cóż zatem?..

— Wynajdź jakąś pilną robotę, któraby cię zatrzymała tu jutro, do późnej godziny w nocy...

— To fraszka... a potem?

— Dasz mi sposobność wejścia do fabryki i zobaczenia się z tobą, bez potrzeby otwierania drzwi i ukazywania się odźwiernemu.

— Drobnostka zarówno... Dam ci klucz od bocznych drzwi z podwórza... Cóż więcej?

— Powóz niech czeka zaprzężony, którym odjadę do Paryża. Tym sposobem damy wszystkim poznać, żeśmy tu przepędzili noc, pracując wspólnie. Jest to niezbędne, co na wypadek potrzeby, właśnie obmyśliłem.

— Rzecz wysnuje się sama z siebie — odrzekł w zadumie Garaud. — Czy będziesz mógł tu przyjść o szóstej wieczorem?

— Przyjdę.

— Będę na ciebie oczekiwał. Każę podać obiad do mego gabinetu dla nas obu.

— Pamiętaj, że tam na miejscu być muszę o wpół do dziewiątej...

— Obiad prędko zjemy. Odprawię służącego, sami zostaniemy, wyjdiesz ztąd małemi, bocznymi drzwiami. Znalazłszy się na zewnątrz, idź drogą, wiodącą z Paryża do Argenteuil, by osiągnąć Bois-Colombes. Wrócisz tym samym wyjściem... Powóz na rogu oczekiwać będzie... Rzecz jasna,



wszyscy uwierzą, że przez noc pracowaliśmy razem w gabinecie.

— Wyborna kombinacya — zawołał Soliveau. — Pominiona ostrożność jest może nadmiarem przezorności, ponieważ nie mamy się czego obawiać... Wszak nie zaszkodzi... Będę więc jutro tu u ciebie punkt o szóstej. A teraz proszę cię, schowaj gdzie w pewne miejsce tą walizkę...

— Cóż w niej jest? — pytał Garaud, biorąc podany przedmiot.

— Przebranie, którego dziś używałem do mych obserwacji, a jakie będzie mi potrzebnem nazajutrz.

— Schowam je.

To mówiąc Harmant, wyjął z kieszeni pęk kluczków, a otworzywszy wgłębienie w ścianie gabinetu wsunął tam kuferek, zamknąwszy na klucz tę skrytkę.

— Cóż teraz robić zamierzasz? — pytał dalej.

— Wracam do Paryża.

— Tramwajem?

— Nie, mam powóz wynajęty na godziny. Ażeby dobrze poprowadzić tę twoją sprawę, wydatków nie szczędzę.

— Masz słuszność... Jedź do widzenia zatem nazajutrz. Tu dwaj nędznicy rozdzielili się.

Jakób Garaud zatarł ręce z zadowoleniem, dzika radość w oczach mu zabłysła.

— Jutro więc... — wyszepnął — przeszkoda zdruzgotaną zostanie, związek zerwanym... Lucyan Labroue po uronieniu łez kilku nad kochanką i paru dniach żałoby, odda się całkiem nowemu szczęściu i odpowie przywiązaniem na miłość Maryi. Owidyusz w tym razie jest drogocennym dla mnie nabytkiem. Dużo mnie będzie to kosztowało pieniędzy, lecz co to znaczy?.. Dla zapewnienia szczęścia mej córce, oddałbym cały majątek!.. Oddałbym nawet me życie!..

Punktualnie o ósmej wieczorem dnia tego Soliveau pod nazwiskiem Artura barona de Reiss, oczekiwał na Amandę w pobliżu magazynu pani Augusty.

Dziewczyna nadeszła z zachmurzoną twarzą.

— Co ci jest? — pytał niespokojnie Soliveau.

— Gniewam się... niewiem o której godzinie dziś obiadować będziemy. Muszę wsiąść w powóz i jechać na ulicę Bourbon ażeby dowiedzieć się, czy Łucya była w Bois-Colombes.

Owidyusz mógł ją od razu o tem upewnić, wstrzymał się jednak dla ważnych powodów i milczał.

— Odwiozę cię — rzekł — idźmy za wyszukaniem fiakra, a następnie udamy się do restauracji pod *Złotą wieżę*, położoną w pobliżu Bourbon.

\* \* \*

Przechodząc powtórnie koło owego śpiącego człowieka, ukrytego w zaroślach, Łucya nie doświadczała przestachu ani zdziwienia, szła dalej nie oglądając się wcale. Spojrzała tylko na zegarek. Pozostawało jej dziesięć minut czasu do przybycia na stację i pomieszczenia się w pociągu jadącym do Paryża. Przyśpieszywszy kroku, zniknęła wkrótce z przed oczu śledzącego ją, z poza cierniowego płotu i ścian budynków. Szła tą drożyną przez parę minut, gdy nagle zatrzymała się, wydając okrzyk radości. Znalazła się bowiem niespodziewanie naprzeciw matki Elizy, zarówno tem spotkaniem zdumionej.

— Szczęśliwy traf — zawołała wdowa Fortier — zkąd wracasz me dziecię.

Narzeczoną Lucyana opowiedziała wszystko.

— Lecz ty matko Elizo, zkąd idziesz drogą, prowadzącą do Garenne des-Colombes? — dodała — nie wiedziałam, że aż tu chleb roznosisz codziennie.

— Po raz pierwszy jestem w tych stronach — odpowiedziała Joanna i obawiam się ażebym nie zabłądziła.

— Gdzież idziesz?

— Do Garenne des Colombes, przy drodze do Paryża, pod numer 41.

— Tak, jest to właśnie ta sama droga, ale następnie będziesz musiała skręcić na bok i pójść drożyną, wiodącą na lewo, tym sposobem o wiele sobie wędrówkę ukróćisz.

— Dziękuję ci, drogie dziecię... pójdę drożyną, o której mówisz, ponieważ prędko chcę przybyć.

— Do kogóż idziesz, matko Elizo?

— Do pani Lebel, matki mojej pryncypałowej.

— Jakże jej zdrowie?

— Wciąż jednakowo... nie lepiej. Pragnie ona zobaczyć się z matką. Pogniewały się z sobą skutkiem interesów, i od-tąd nie bywają u siebie. Pani Lebret nie śmie prosić męża, aby do jej matki napisał i ztąd posyła mnie do niej z poleceniem, ażeby zechciała zapomnieć dawnych poróżnień i przyszła uściskać swą córkę ciężko chorą.

— Szkoda, że tak spieszyć się muszę — wyrzecz Łucya — gdyż zaczękałabym tu na ciebie matko Elizo... Lecz niepodobna! Mam wykończyć na jutro suknię balową i przynieść ją do Garenne o dziewiątej wieczorem... Rzecz nieprzyjemna chodzić o tak późnej godzinie, ale cóż robić?..

— Uściskaj mnie, me dziecię i wracaj do swojej roboty... Ja idę spełnić zlecenie.

Tu obie kobiety ucałowały się wzajem. Łucya pobiegła ku stacyi, ale opóźniwszy się, musiała czekać na drugi pociąg, wychodzący do Paryża o czwartej po południu. O wpół do piątej była już w mieście, nie powróciła jednak do siebie, ale kazała się zawieźć na ulicę Ratuszową. Wbiegła z pośpiechem na trzecie piętro jednego z domów tam położonych i zadzwoniła do drzwi, nad którymi na mosiężnej tabliczce widniał napis:

### PRACOWNIA SUKIEN.

Otworzyła jej młoda, dwudziestopięcioletnia może kobieta.

— Ach! Łucya!—zawołała radośnie.—Cóż cię tu do mnie sprowadza?

— Przedewszystkiem powiedz mi droga Antosiu—mówiło dziewczę—czy masz dużo roboty w tej chwili?

— Wypadałoby odrzec, że tak. Wyznam ci jednak prawdę, że nie pilnego nie mam obecnie.

— Zatem zechcesz mi może dopomódz?

— Najchętniej.

— Chodzi tu o wykończenie sukni balowej na jutro, na godzinę dziewiątą wieczorem—mówiła Łucya dalej.

— Rozporządzaj mną według woli.

— Lecz będziesz musiała u mnie nocować...

— Czyż to po raz pierwszy?

— Zjemy razem obiad. Ugotuję mocnej kawy, ażebyśmy nad robotą nie zasnęły. No, bierz kapelusz i jedźmy, fiakra czeka na dole.

We dwie minuty później dziewczęta jechały w kierunku ulicy de Bourbon.

### XXXIII.

Matka Eliza, rozłączywszy się z Łucją na drodze, wiodącej do Bois-Colombes, przyśpieszyła kroku, by wynagrodzić czas, stracony na pogadance z dziewczęciem. Idąc drogą, obrzuconą płotem cierniowym, szukała spojrzeniem ścieżki, przez Łucję wskazanej, jaka miała ją zaprowadzić do celu podróży. Przybywszy do kępy drzew, gdzie na kilka chwil przed tem spoczywał Owidyusz, udając śpiącego, ujrzała wreszcie dróżkę, spostrzegłszy zarazem idącego przed sobą w oddaleniu mężczyznę, z walizką w ręku.

— Bezwątpienia to ta ścieżyna być musi — rzekła, zwracając się na nią i w kilka chwil spostrzegła w pobliżu gościniec, wiodący do Paryża.

Przed nią widniały wiejskie budynki, a pośród nich niewielki domek, dzikiem winem i bluszczem owity. Tabliczka nad wejściem przybita nosiła numer 41.

— Tutaj zatem—rzekła Joanna, przechodząc wpoprzek drogę.

Domek okolony był warzywnym i owocowym ogrodem. Wdowa Fortier pociągnęła za łańcuch od dzwonka, na głos którego stara wiejska służąca ukazała się w progu.

— Czego pani żadasz? — spytała, obrzucając przybyłą nieufnem spojrzaniem.

— Przychodzę do pani Lebel... Chcę się z nią widzieć...

— Od kogo? w jakim interesie?

— W interesie jej córki, pani Lebet, właścicielki piekarni przy ulicy Delfinatu.

— Wejdz, pani.

Tu wprowadziła przybyłą na facyatę, gdzie znajdowała się pani Lebel, otyła sześćdziesięcioletnia kobieta.

— Ta pani przybywa od pani Lebet — rzekła służąca, wskazując na Joannę.

— Od mojej córki? — zawołała pani Lebel. — Cóż się tam stało? byłaby słabą?

— Tak, pani—rzekła roznosicielka.

— Od jak dawna jest chorą?

— Od dwóch tygodni.

— I dopiero po dwóch tygodniach mój miły zięć zawiadamia mnie o tem?

— Nie on przysyła mnie do pani.

— Zatem moja córka?

— Tak.

— Wie ona dobrze, iż będąc wypędzoną przez jej męża, nigdy tam nie ukazę się więcej.

— Lecz pani Lebet jest ciężko chorą... ciężko i niebezpiecznie—odpowiedziała Joanna.

— Gdyby nawet miała być bliską śmierci, od czego niech ją Bóg uchowa, nie poszłabym narażać się na zniewagi w do-

mu, który powstał z mego majątku—odparła pani Lebel. Moja córka wie o tem dobrze i dziwię się, że panią przysła tu do mnie, nie powiadomiwszy o tem swego męża.

— Sądziła ona, iż pani posłyszawszy, jak ciężko jest chorą, zapomnieć zechcesz o dawnych nieporozumieniach.

— Nie... nie zapomnę... nie zapomnę nigdy! — mruknęła z gniewem kobieta. — Nie przyjdę do córki, póki pan Lebret listownie mnie o to nie wezwie, dołączywszy najpokorniejsze przeproszenie.

Joannie ścisnęło się serce na słowa owej kobiety, u której miłość własna głużyła wszelkie uczucia macierzyńskie. Chciała coś przemówić, lecz pani Lebel ją uprzedziła.

— Wszystko, cobyś pani chciała przedstawić w tym razie—wyrzekła—na nic się nie przyda. Słyszałaś pani, co powiedziałam... Powtórz mej córce, że smuci mnie mocno jej słabość, lecz nie ukażę się w jej domu, dopóki szanowny pan zięć nie zrobi zadośćuczynienia, to jest, dopóki do mnie nie napisze, iż żałuje swego niekzemnego postępowania i prosi mnie, ażebym przybyła jego żonę odwiedzić. Oto moje *ultimatum*, w którym jednego słowa nie zmienię! Nie jestem chorągiewką na dachu... Co postanowię, spełnić się musi!

— Dobrze, pani...—wyjąkała wdowa Fortier ze wzruszeniem;—powtórzę, co pani zleciłaś.

— Proszę o to—odrzekła nieludzka kobieta.

Roznosicielka wyszła, zasmucona głęboko odpowiedzią tej matki okrutnej. Tąż samą drogą wracała do stacyi. Siódma uderzała, gdy wdowa wchodziła na ulicę Delfinatu. Pani Lebret oczekiwała jej powrotu z niepokojem, właściwym chorym, których chwile są policzone, i pragnącym w ostatniej godzinie uściskać tych, których kochali. Chora znajdowała się sama w pokoju. Służąca pilnowała sklepu, a pan Lebret, jako człowiek przedewszystkiem praktyczny, wyjechał za zakupem mąki, zamierzywszy powrócić dopiero nazajutrz późno wieczorem.

Doktor leczący panią Lebret, wróżył jej zaledwie kilka dni życia.

Gdy Joanna weszła do pokoju, oświetlonego blaskiem słabo płonącej lampki, chora uniosła się na łóżku z wyrazem radości w spojrzeniu.

— I cóż, cóż, Elizo? — pytała słabym głosem — widziałas się z mą matką?

— Widziałam, pani — odpowiedziała wdowa z tak widocznym zakłopotaniem, iż chora odgadła natychmiast rezultat jej bytności w Garenne de Colombes.

— Matka więc nie zapomniała poróżnień z mym mężem? — szepnęła zcicha — odmawia widzenia się ze mną?

— Niestety, tak, pani...

— A czy jej mówiłaś, że ja jestem chorą, ciężko, niebezpiecznie chorą?

— Mówiłam.

— I cóż odpowiedziała?

— Że nie przybędzie, dopóki pan Lebret nie przeprosi jej ustnie lub piśmiennie i dopóki nie będzie jej prosił o przebaczenie.

— Boże, mój Boże! — jęknęła biedna kobieta — zatem nie zobaczę już przed zgonem mej matki!...

— Nie smuć się, pani... Być może, iż pan Lebret nie odmówi napisania listu...

— Lecz mój mąż jest nieobecnym.

— Ale powróci...

— Tak, jutro wieczorem... A kto wie, czy ja doczekam jutrzejszego wieczoru..

Tu chora załamała ręce, grube łzy spływały po jej policzkach.

Joanna patrzyła na nią z boleścią. Chora uspokoiła się zwolna, wpadła w obojętność, a następnie w senność.

Wtedy wdowa Fortier przykłęka przy krześle i z rękami złożonymi modlić się cicho zaczęła.

\*

\*

\*

Jak objaśniliśmy poprzednio, fiaker, w którym znajdował się Owidyusz z Amandą, przystanął naprzeciwko domu nr. 9 przy ulicy de Bourbon.

Młoda dziewczyna, przebiegłszy schody, weszła do pokoju, w którym Łucya pracowała z Antoniną.

— Jakże — pytała — byłaś, Łucyo, w Garenne de Colombes?

— Tak, przymierzałam suknię merowej.

— I będzie gotową?

— Jutro, na oznaczoną godzinę. Widzisz, pani, iż dla pośpiechu prosiłam mej przyjaciółki, aby mi w szyciu pomogła.

— Dobrze zrobiłaś. Pani Augusta kazała mi zapytać, czy zechcesz pójść sama do Garenne, ponieważ mnie posłać ma jutro wieczorem z materiałami do jednej z klientek, mieszkającej w Saint-Mandé.

— Pójdę sama.

— A nie będziesz obawiała się iść w nocy pustą tą ścieżką, obok drogi żelaznej?

— Czego mam się obawiać? Proś pani tylko, aby mi przysłano z pracowni kawał białego kartonu dla owinięcia tej sukni.

— Dobrze, przyślemy go tobie.

I dowiedziawszy się, o czem wiedzieć pragnęła, Amanda wróciła do oczekującego na nią kochanka.

Podczas, gdy ona bawiła u Łucyi, Owidyusz nie siedział już, jak po raz pierwszy w głębi powozu. Jednym ze sklepów, położonych w domu nr. 9, był, jak nadmieniliśmy, skład nożownika. Soliveau zauważył to w dniu, w którym przebrany za mularza, podniósł uronioną z okna chusteczkę Łucyi.

— Otóż sklep, jakiego mi właśnie potrzeba — pomyślał. Poczem, wysiadłszy z powozu, wszedł do składu.

— Co pan sobie życzy? — zapytała siedząca za kontuarem kobieta.

— Chciałbym wybrać nóż kuchenny — rzekł — ostry i silny, w rodzaju tych, jakich używają rzeźnicy do towania mięsa.



— Mam taki właśnie—odrzekła nożownicza, wyjmując z wystawy żądany przedmiot. — Jest to nóż doskonały, naszej fabryki, za trwałość którego poręczyć mogę.

Owidyusz obejrzał ostrze z uwagą.

— Ile pani zań żądasz?—zapytał.

— Dwa franki siedemdziesiąt pięć centymów.

— Dobrze, oto pieniądze, proszę zawinąć.

Kupcowa, owinąwszy nóż w gruby papier i obetkawszy szpiczasty koniec starannie, oddała go nabywcy, który, wyszedłszy z nim, wsiadł do powozu.

Nie spojrzawszy za kupującym nieznanym, nożownicza zapisała jedynie w księgach rejestrowych: „Nóż kuchenny, 2 franki 75 centymów—nie myśląc o tem więcej.

W dwie minuty po wejściu do fiakra Owidyusza ukazała się Amanda. Soliveau podał jej rękę uprzejmie.

— Do restauracyi pod *Złotą wieżę!*—zawołał na woźnicę; a potem zwracając się do swej towarzyszki: — Cóż, suknia będzie na jutro gotową?—zapytał.

— Niezawodnie, ponieważ Łucyi pomaga w szyciu jej przyjaciółka.

— I pójdziesz z nią razem jutro wieczorem?

— Nie... bardzo zrećnie od tego się wymówiłam. Powiedziałam jej, że jestem wysłaną do klientki, Łucya więc pójdzie sama do Garenne de Colombes.

Owidysz zadrżał na te słowa. Złośliwy uśmiech wybiegł mu na usta. Jedyna zaporą, jaka mogłaby przeszkodzić jego zamiarowi, dziwnym zbiegiem okoliczności usuniętą została. Nie potrzebował obawiać się już więcej obecności Amandy. Wykonanie planu łatwiejszem się stawało.

— Tem lepiej! — zawołał — nie zmienimy naszych zwyczajów.

— Będziemy mogli obiadować wcześniej—rzekła Amanda.

— Jakto?

— Jutro o godzinie piątej mam zanieść sztukę mater do jednej z klientek w Saint-Mandé. Gdybyś zechciał

uprzejmym, towarzyszyłbyś mi tam i razem obiadowalibyśm na wsi.

— Brawo!—zawołał Solivean—myśl doskonała.

— Zgadzasz się zatem?

— Z rozkoszą. Ułożymy plan szczegółowy jutro przy śniadaniu.

Nazajutrz o zwykłej godzinie Amanda przybywszy do pracowni, zdała rachunek pani Auguście ze swej bytności u Łucyi, dodając, że robotnica żąda, ażeby jej przysłano kawał białego kartonu do owinięcia sukni, który właścicielka bezzwłocznie wysłać poleciła. O w pół do dwunastej Amanda wyszła na śniadanie. Gdy przechodziła koło okienka odzwiernej, ta zawołała:

— Mam list do pani,

Odebrawszy kopertę, spojrziała.

— To nie z poczty—wyrzekła.

— Nie, przyniósł go posłaniec.

Amanda czytała:

„Nieprzewidziany, a ważny interes nakazuje mi natychmiast wyjechać do Fontainebleau. Nie powrócę, aż jutro rano. Będę z tobą na śniadaniu. Myśl o mnie. Całuję śliczne twe rączki.  
Arnold.“

Dziewczyna zmięła list w palcach gniewliwie.

— Znowu przeciwność!—szepnęła.—Obiecywałam sobie obiadować z nim razem pod *Zieloną jabłonią*...

I przez dzień cały była w najgorszym humorze.



KONIEC TOMU III-go.



Odkwaszone

..- -10- 2011

.....